

STEVE PERRY

Człowiek, który nigdy nie chybiał

Przełożył Marcin Mortka



ŻOŁNIERZ, ZDRAJCA, TERRORYSTA
– OTO, JAK ZACZYNA SIĘ LEGENDA

„Spryt wojownika zwie się strategią”
Miyamoto Musashi

*„Należy więc być lisem,
aby się poznać na sieciach,
i lwem, aby odstraszać wilków”*
Machiavelli

„Prawdziwym złem jest system”
Pen

Dla Dianne – na zawsze

NIECH SZLAG TRAFI KONFED!

Khadaji nabral głęboko tchu i odprężyl się, wydmuchując zarówno powietrze, jak i swój gniew. Ktoś musiał coś z tym zrobić. Ktoś musiał zatrzymać Konfed, musiał poluzować ów żelazny uścisk, musiał zakończyć codzienne szafowanie śmiercią.

Zwrócił twarz ku strugom deszczu. Kto? On? W pojedynkę? Choć przecież nawet największa armia składa się z pojedynczych ludzi. A jeśli człowiek potrafi zachować należytą uwagę, wykazać się sprytem i odpowiednimi umiejętnościami...

Tak! Trenował, uczył się. Wreszcie nadszedł czas, by zacząć działać!

Wyruszył na poszukiwanie człowieka, który tak dobrze władał osobliwą, bezgłośnie bronią...

JEDEN

Śmierć nadchodziła po niego między drzewami.

Nadchodziła pod postacią oddziału taktycznego – jeden człowiek w szpicie i trzech rozstawionych w łuk za jego plecami, optymalna liczba żołnierzy w możliwie najbezpieczniejszej konfiguracji. Często mówiło się, że siły zbrojne Konfedu trenują już tylko po to, by rozegrać ostatnią wojnę. Z pewnością była to prawda, lecz tych ostatnich wojen wybuchało wystarczająco wiele, by zapewnić Konfederacji tyle oddziałów przeznaczonych do walki na pustyni, w dżungli lub w zimnym klimacie, ile dusza zapagnie. Tych czterech żołnierzy przeszło szkolenie do walki w dżungli. Nosili kombinezony kamuflażowe klasy pierwszej z wirusowo-molekularnymi komputerami, które potrafiły dopasować ich barwy do otoczenia w przeciągu jednej czwartej sekundy. Uzbrojeni byli w parkery kalibru.177, krótkie, lecz mordercze karabinki z magazynkami mieszczącymi pięćset pocisków wybuchowych – po przestawieniu na ogień ciągły strzelec mógł dwiema seriami ściąć drzewo grube na pół metra. Na wyposażeniu oddziału znajdowały się również termosensory, implanty komunikacyjne, dopplery oraz broń osobista. Ci chłopcy stanowili najbardziej śmiertcionośną i najlepiej wyposażoną elitę, jaką Konfed mógł wystawić, i bez wątplenia byli dobrzy w swoim fachu. Poruszali się w chłodnym lesie deszczowym w ciszy, nie wykonując zbędnych ruchów, w pełni skupieni na poszukiwaniu śladów Shambiarzy. Gdyby między drzewami coś się poruszyło, w okamgnieniu rozerwaliby to na strzępy kilkoma szybkimi seriami.

Khadaji czuł, że budzi się w nim strach. Czuł chłód w dole brzucha, tego dobrze znanego, choć zawsze nieproszonego gościa. Nauczył się z nim żyć, bo nie miał innego wyjścia, ale nigdy się do niego nie przyzwyczał. Nabrał głęboko tchu i mocniej przywarł plecami do szorstkiego drzewa *sumwin*. Stawał się niewidzialny. Średnica pnia wynosiła trzy metry, nie mogli go zobaczyć, nawet gdyby nie miał ze sobą zakłócacza. Ich kierunkowe dopplery i termosensory nie były w stanie przejrzeć przez tak grube drzewo. Nasłuchiwał, jak przechodzą obok. Miękkie liście paproci ocierały się o ich kombinezony niemalże bezgłośnie, a tysiacletni humus, uginający się pod podszewkami butów, wydawał jeszcze cichsze dźwięki. Mimo to Khadaji dokładnie wiedział, gdzie są jego przeciwnicy, kiedy oderwał się od drzewa.

Znalazł się za nimi – wysoki mężczyzna w brązowym ortoskafandrze ze spetsdodem

przymocowanym do każdej dłoni. Wstrzymał na moment oddech, by uspokoić nerwy, po czym uniósł ręce w geście, jakim zwykły człowiek podniósłby dziecko. Maksymalnie wyprostował palce wskazujące, a wtedy każdy ze spetsdödów wystrzelił z cichym kasznięciem. Dwa trafienia przypominające odgłos stuknięcia o drewno.

Pozostali przeciwnicy okazali się diabło szybcy. Cechował ich doskonale wyćwiczony, bakteryjnie usprawniony refleks, ale w tym akurat przypadku wpojono im niewłaściwe instrukcje. Powinni byli paść na płask, a tymczasem zarówno żołnierz w szpicy, jak i ten, który go osłaniał na lewym odcinku łuku, odwrócili się błyskawicznie z karabinkami gotowymi do otwarcia ognia.

Khadaji znów wystrzelił ze spetsdödów. Strzałki dosięgły żołnierzy, gdy znajdowali się w połowie obrotu i byli zwrócenii do niego bokiem, a nie plecami. Zwiadowca zdążył zacisnąć palec na spuście, nim upadł. Seria wystrzałów z broni kalibru.177 rozbrzmiała w gęstym lesie niezwykle donośnie. W powietrzu poniósł się cierpki zapach elektrochemicznych pocisków wybuchowych.

Ciała czterech żołnierzy znieruchomiały rozrzucone wśród paproci i zielistek. Podległe woli mięśnie zesztyniały niczym w okowach lodu, co zresztą stanowiło przyczynę, dla której joniczno-molekularno-chemiczne strzałki, którymi miały spetsdödy, przezywano Spazmami. Trafieni przez nie ludzie nie umierali, ale przywrócenie ich do stanu używalności wymagało sześciomiesięcznego leczenia. Każdą ofiarę ukąszenia przez spetsdöd czekało pół roku intensywnej terapii fizycznej i psychicznej, co było nie tylko drogie, lecz także czasochłonne i wyczerpujące. Tym oto sposobem spetsdödy stawały się idealną bronią partyzantów – zabity żołnierz nie kosztował wiele, natomiast żołnierz „zaspazmowany” oznaczał masę roboty. Przy zastosowaniu odpowiedniej terapii nie umierał i bił wroga po kieszeni.

Khadaji odwrócił się, by odejść. Któryś z żołnierzy mógł uruchomić radio, a jeśli tak zrobił, na tę pozycję zmierzał już zwiad lotniczy. Ruszając, zerknął na żołnierzy. Na nodze jednego z nich zauważył plamę. Trudno było odgadnąć jej źródło ze względu na kombinezon kamuflażowy, który automatycznie zgrał kolor z tłem, na którym leżał trafiony, ale wyglądało to na krew.

Khadaji podszedł bliżej. Zgadza się. Najwyraźniej rozpaczliwy ogień żołnierza w szpicy zranił niewłaściwą osobę. Cholera!

Rzucił się do ranego. Nie, poprawka, do rannej, choć nie miało to większego znaczenia. Na jej udzie znajdował się krater wielkości jego pięści, co oznaczało, że w kilka minut wykrwawi się na śmierć.

Khadaji przez chwilę myślał intensywnie. Jak dotąd nikogo z nich nie zabił, a ta tutaj nie obciążałaby jego karmy, sam przecież jej nie trafił. W dodatku zwiad lotniczy już mógł być w drodze.

Wymacał medkit i oderwał go od pasa. Z plastikowego opakowania wyjął opatrunek

ciśnieniowy. Nadal mierząc do leżących żołnierzy, przytknął go do broczącej krwią nogi postrzelonej. Opatrunek zasyczał i przyssał się do brzegów rany. Podstawowy ośrodek decyzyjny natychmiast zasklepił odpowiednie arterie i żyły, zatrzymując upływ krwi. Jeśli rzeczywiście ktoś tu leciał, dziewczynie nic się nie stanie. Khadaji wiedział zaś, że gdy tylko wydostanie się z lasu, tak czy owak zadzwoni i złoży raport o pokonanym oddziale, więc nie groziło jej niebezpieczeństwo. Na Greaves, gdzie nie żyły żadne drapieżniki, największym zmartwieniem był deszcz.

Khadaji podniósł się i po raz ostatni obrzucił spojrzeniem znieruchomiałych żołnierzy, a potem ruszył susami w głąb lasu. Chociaż wyraźnie czuł, jak poziom adrenaliny spada i naraz ogarnia go znużenie, wyszczerzył zęby w uśmiechu. Shambiarze znów zaatakowali – wedle oficjalnych raportów ich liczba wahała się teraz między sześcioma a ośmioma setkami. Rozciągnął usta jeszcze szerzej. Gdyby ów oddział, który właśnie położył, okazał się szybszy, Shambiarze zostaliby wyeliminowani – w całości. A to dlatego, że to właśnie on, Emile Antoon Khadaji składał się na cały ruch oporu na Greaves. Sam jeden i nikt poza nim.

Od miejsca, gdzie czekało go kolejne zadanie, dzieliło go sześć kilometrów. Przebiegł cały ten dystans, nie przestając czujnie nasłuchiwać odgłosów zbliżającego się zwiadu lotniczego bądź innych oddziałów. Tymczasem w lesie panowała cisza, a w powietrzu wisiał ciężki zapach grzybów i pleśni, wywołany przez nocny deszcz. Rozmokła ziemia zapadała się pod stopami.

Ta część zadania również nie należała do łatwych, gdyż logistyka, bez względu na posiadane środki, stanowiła coraz większy problem. Kiedyś, na samym początku, była to dla Khadajego bułka z masłem. Machina Konfedu opanowała Greaves, podobnie jak tuzin innych pokojowo nastawionych światów, nie napotykając praktycznie na żaden opór. Nie było tu armii, a wśród rolników i rzemieślników, którzy składali się na większość populacji, nie powstało nawet żadne walki podziemie. Och, znalazło się paru studentów, którzy zaczęli rozprawiać ulotki, ale ich działalność przeszła bez echa. Nie wydarzyło się nic istotnego aż do chwili, gdy zaczęto odnajdywać żołnierzy sparaliżowanych spazmami, gdzieś tak między dziesięcioma a dwudziestoma na dzień. Do komputera komendanta garnizonu w tajemniczy sposób dotarła wiadomość, z której wynikało, że odpowiedzialność za owe czyny biorą na siebie Oddziały Wyzwoleńcze Shamba, natychmiast ochrzczone przez żołnierzy liniowych Shambiarzami.

Khadaji uśmiechał się, biegnąc wąską ścieżką przez las. Uważał za doskonały pomysł nazwanie oddziałów wyzwoleńczych imieniem lorda Johna Reserve Shamby, bohatera wojennego dwudziestego drugiego wieku. Niestety, jedynie on sam mógł docenić ów dowcip. Bezpośrednią inspiracją była odpowiedź, jaką lord Shamba udzielił wojskom Konfedu w odpowiedzi na wezwanie do złożenia broni podczas bitwy pod Mwanamamke w systemie Bibi Arusi. Nie zważając na drobny fakt, że wróg pięćdziesięciokrotnie przewyższał go liczebnie, lord Shamba napisał:

Do Głównodowodzącego Oddziałów Uderzeniowych Konfederacji:

Sir, pierdol się pan.

Będziemy walczyć do ostatniego człowieka.

Dowcip polegał na tym, że gdyby podczas powstania na Greaves siłom Konfedu udało się zastrzelić pierwszego człowieka, byłby to zarazem człowiek ostatni.

Khadaji zwolnił do marszu na jakiś kilometr przed strefą patroli. Sprawdził zakłócacz, by się upewnić, że działa prawidłowo, pochylił się, rozprostował nogi i plecy, a potem wziął kilka głębokich wdechów. Ten sektor patrolowało troje ludzi – kompletne żółtodzioby, z tego co zdołał ustalić. Mógł ich zdjąć, wychodząc z miasta do lasu, ale wtedy musiałby się liczyć z trudnościami w drodze powrotnej. Wojskowi Konfedu przestrzegali surowej dyscypliny i nie należeli do szczególnych bystrzaków, ale nie oznaczało to, że byli kompletnymi głupkami. Gdyby zdjął tych troje, na pewno zastąpiliby ich weterani, którym bardziej zależało na zachowaniu zdolności do wykonywania zadań niż udowodnianiu, jakich twardzieli zrobiło z nich szkolenie.

Wyminięcie pierwszego żołnierza okazało się tak proste, że Khadaji poczuł wręcz rozczarowanie. Przeszedł obok niego w odległości pięciu metrów i nie został zauważony. Chłopak – nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata – stał w cieniu niewielkiej jodły. Nie było szczególnie ciepło, ale on wcisnął się w kombinezon klasy drugiej, co oznaczało, że już w chwilę po jego założeniu spociał się jak mysz. Uniósł więc gogle i ściągnął ciasny kaptur, wystawiając twarz na chłodniejsze powietrze. Gdyby Khadaji był wyższym stopniem oficerem Konfedu, ten żółtodziób znalazłby się w poważnych opałach.

– Przepraszam, jak dojść do Hartman Street?

Chłopak odwrócił się zaskoczony. Już zaczął unosić parkera, ale znieruchomiał, gdy ujrzał wyglądającego całkiem niegroźnie wysokiego mężczyznę z pustymi dłońmi, ubranego w ortoskafander.

– Ja pierdziele, czubku jeden, mam cię oduczyć takiego zachodzenia ludzi od tyłu? – Żołnierz rozluźnił się nieco, widząc, że Khadaji nie ma broni i uśmiecha się.

Shambiarz wzruszył ramionami i podniósł lewą rękę, wyprostowując palec wskazujący.

– Bardzo przepraszam.

Niewielka strzałka trafiła żołnierza prosto w czoło i odrzuciła mu głowę. Nim upadł na ziemię, Spazm przejął nad nim kontrolę. Najsilniejsze mięśnie zeszytniały – chłopak miał dobrze rozwinięte tricepsy i mięśnie czworogłowe uda, więc jego ręce i nogi zamarły rozrzucone.

Khadaji pokręcił głową. Nie bawiło go to. Za jakieś sześć miesięcy ten nieszczęśnik, o ile dopisze mu szczęście, będzie w stanie opowiedzieć o mężczyźnie, który go postrzelił. Nim to

nastąpi, spędzi dużo, aż za dużo czasu na rozmyślaniu o tym, co mu się przytrafiło. Spazm unieruchamiał mięśnie, oszczędzając umysł i pamięć, które nimi kierowały. Teraz chłopak nie wykrztusi z siebie słowa, ale będzie rozpamiętywał własną głupotę. Czekala go surowa kara – i kara zarazem konieczna. Każde działanie podejmowane przez Khadajego podyktowane było koniecznością, choć gdyby nawet poświęcił kilka godzin na wyjaśnienia, ten żołnierz nigdy by jej nie zrozumiał.

Jego towarzysz miał zapięty kombinezon. Druga klasa potrafiła zatrzymać strzałkę, ale do konstrukcji idealnej nieco jej brakowało. Rękawice, nogawki i kaptur zostały zaprojektowane w taki sposób, by zachodziły na inne elementy, ale materiał musiał być cieńszy w miejscach zgięcia rąk i nóg, żeby zapewnić użytkownikowi swobodę ruchu. Khadaji wystrzelił po jakichś dwóch minutach, gdy żołnierz zaczął się przeciągać. Strzałka utkwiała w cienkiej fałdzie materiału po wewnętrznej stronie lewego kolana, w pasemku o szerokości ledwie kilku milimetrów. Był to trudny strzał, ale ekspert w posługiwaniu się spetsdödami potrafił przeciąć ważkę w locie, a potem jeszcze poczęstować strzałkami spadające połówki ciała. Z chwilą wynalezienia spetsdödów umiejętność precyzyjnego celowania wyniesiono do rangi sztuki. Samo słowo „spetsdöd” znaczyło zresztą „precyzyjna śmierć”.

Las niespodziewanie ożył w ogniu karabinka parkera nastawionego na ogień automatyczny, powietrze wypełnił trzask przypominający darcie płótna. Kule rozdzierały krzaki i pnie drzew na wysokości pasa człowieka. Khadaji znalazł się na ziemi, nim pierwsze liście opadły na runo. A więc trzeci z żołnierzy został zaalarmowany. Albo coś usłyszał, albo któremuś z pozostałych udało się uruchomić łączność. Nie miało to zresztą znaczenia. Może i walił do cieni, ale bez wątplenia wezwał już posiłki. Khadaji czołgał się, unikając ostrzału, a gdy wymknął się poza pole widzenia, wstał i rzucił się do biegu. Czuł, jak kolce ocierają się o materiał ortoskafandra, próbując go przebić, lecz bez powodzenia. Wymijał drzewa i większe krzewy, po mniejszej roślinności biegł bez wahania. Nie było czasu na finezję, musiał się znaleźć jak najdalej, nim przybędzie wsparcie.

Wypadł z lasu między szeregi magazynów dzielnicy składowej. Zatrzymał się. Jakieś pół kilometra za jego plecami przerażony żołnierz nadal masakrował poszycie lasu.

Istniało niewiele sposobów na zamaskowanie spetsdödów przymocowanych do wnętrza ręki. Khadaji poluzował plastikową tkankę, która wiązała broń z ciałem, a potem odkleił oba miotacze. Znalazł kosz na śmieci wypełniony złomem i wepchnął je na sam spód. Nie dbał o to, czy ktoś je znajdzie, zostało mu ich całkiem sporo – większa część pojemnika ukradzionego z wojskowego transportu. Znajdowało się w nim dwadzieścia spetsdödów i dziesięć tysięcy Spazmów, a owa liczba – dziesięć tysięcy – znaczyła dla Khadajego bardzo wiele.

Bez broni czuł się nagi, ale mimo to wyszedł na ulicę tak pewny siebie, jakby był jej panem i skierował się ku „Nefrytowemu Kwiatu”. Miał jeszcze mnóstwo czasu, by wziąć stamtąd kolejną parę spetsdödów przed rozpoczęciem realizacji ostatniego zadania. Jak dotąd,

wyeliminował tylko pięciu najlepszych ludzi Konfedu i musiał unieszkodliwić co najmniej ośmiu kolejnych, by wypełnić plan. Średnia, jaką sobie założył – stu tygodniowo – sprawiała mu coraz większy kłopot. Działał tu już prawie pół roku i wiedział, że pierwsi żołnierze niebawem wyjdą z paraliżu wywołanego przez Spazm, a to oznaczało koniec. Nawet gdyby dowództwo Konfedu próbowało zatuszować sprawę i tak rozniosą się plotki, że wszyscy postrzeleni podają ten sam rysopis. Oczywiście, z początku nikt w to nie uwierzy, ale zeznania na pewno zasieją ziarno niepewności.

Wojskowi Konfedu nigdy nie przyznają, że jeden człowiek symulował akcje setek bojowników, a armijny PR wyszodzi podejrzenie, że pojedynczy zabójca wyeliminował kilka tysięcy wyszkolonych żołnierzy. Co gorsza, gdy prawda wyjdzie na jaw, Khadaji będzie zmuszony zakończyć działalność. Do tej pory szukano całych grup uzbrojonych partyzantów, a nie właściciela „Nefrytowego Kwiatu”, największego rekreacyjnego pubu chemicznego w mieście, człowieka, którego interes opierał się na współpracy z wojskiem.

To przecież żołnierze stanowili gros jego klienteli. Żołnierze potrzebowali rekrechemu niemalże tak bardzo jak seksu, a „Nefrytowy Kwiat” zapewniał i jedno, i drugie w wielkiej obfitości. Wpadało do niego nawet kilku sub-befali, a Khadaji dopełnił wszelkich starań, by wyżsi stopniem konfederacji dostawali najlepsze dziwki obu płci, zaś pierwszy drink czy skręt dla klienta o randze powyżej żołnierza liniowego był zawsze na koszt firmy. Khadaji cieszył się w mieście sporą popularnością.

Jeszcze dwa sektory patrolowe, jeszcze ośmiu żołnierzy. Westchnął. Minęło prawie sześć miesięcy, a on był już zmęczony. Mimo że ani razu nie ogarnęły go wątpliwości co do sensu prowadzonych działań, w końcu dopadło go znużenie. Ale jeszcze trochę. Jeszcze tylko kilku żołnierzy.

Westchnął ponownie i przyspieszył kroku. Minął go patrol zmierzający w przeciwnym kierunku. Na jego widok wszyscy uprzejmie skinęli głowami, a Khadaji odpowiedział uśmiechem. Wiedział, że pewnie niedługo znów się z nimi zobaczy.

W tych czy innych okolicznościach.

DWA

Drzwi lokalu „Nefrytowy Kwiat” były zawsze otwarte. Zanim wojska Konfedu zaszczyliły Greaves wizytą ogromnych sił taktycznych, ów pub rekrechemiczny serwował miejscowym niewielki wybór alkoholi, środków nasennych, słabszych halucynogenów i substancji poprawiających nastrój. Klientami zainteresowanymi seksem zajmowały się dwie, trzy pracujące tam dorywczo prostytutki, a sam interes w najlepszym razie wychodził na zero. Przybycie wielkiej ilości wojska, a w ślad za nim rzeszy cywilnej administracji oznaczało, że „Nefrytowy Kwiat” czekają wielkie zmiany. Człowiek chciwy i doskonale przygotowany dorobiłby się dzięki temu fortuny, ale poprzedni właściciel był zmęczonym starcem, ani myślącym obsługiwać tłumy żołnierzy oraz znudzonych małżonków z dziećmi, których Konfed wysyłał na tę planetę. Gdy Khadaji zamachał mu przed nosem odpowiednio grubym plikiem standardów, staruszek z radością zgodził się sprzedać interes.

Khadaji rozejrzał się po głównej sali. Pomimo wczesnej pory – dochodziła dopiero czwarta po południu – w lokalu panował tłok. Nawet po rozluźnieniu zasad lokalnego podziału na strefy na zewnątrz zwykle ciągnęła się kolejka oczekujących na miejsca. Khadaji zawsze trzymał w zapasie około tuzina pokojów dla wyższych rangą oficerów, którzy mieliby ochotę sobie wypić, przyćpać czy popieprzyć. Bramkarz Anjue sprawdzał holoprojekcje każdego oficera o randze wyższej od lojtnanta i gdy takowy się pojawił, natychmiast prowadził go na przód kolejki i zapraszał do środka. Stopień, jak zwykle, wiązał się z przywilejami. Żołnierze liniowi mogli narzekać i zgrzytać zębami, ale wszyscy ci, którzy grzali tyłkami wyższe stołki, co do jednego uśmiechali się na widok Khadajego.

W głównej sali, ośmiokątnej i przyciemnionej, mieściło się sześćdziesiąt okrągłych stołów, a przy każdym cztery taborety. Pierwszą rzeczą, którą Khadaji zlecił po zakupie pubu, było przymocowanie wszystkich tych mebli do podłogi. Gdy ogłosił, że poszukuje bramkarza, otrzymał trzydzieści podań. Pierwszy test polegał na sprawdzeniu, czy kandydat zdoła przesunąć jakikolwiek mebel. Dwóch wyrwało po taborecie, a pewna kobieta z głośnym wrzaskiem odłamała blat stołu. Cóż, wykazała się sprytem. Pozostali oblali. Khadaji przyjął całą trójkę i kazał założyć dłuższe śruby. Gdy dochodziło do rozrób, przynajmniej nikt nie obrywał miejscowym meblem, a zanim atmosfera stawała się nazbyt gorąca, pojawiali się

Bork, Sleel lub Dirisha, by uspokoić towarzystwo. Trudno sprzeczać się z mężczyzną, który trzyma cię jakieś pół metra nad ziemią lub z kobietą, która jednym ciosem łamie trzy żebra. W „Nefrytowym Kwiecie” do awantur dochodziło naprawdę rzadko.

– Hej, Emile, jak leci?

Khadaji spojrział w prawo i dostrzegł lojtnanta Subru palącego skręta. Ciemna twarz mężczyzny niemalże zniknęła za chmurą purpurowo-czarnego dymu.

– Powoli, Subbie, powolutku, jak zwykle – uśmiechnął się szeroko. – A jak tam żołnierska dola?

Lojtnant pokręcił głową i wydmuchnął kłęb aromatycznego dymu. Khadajego otoczył zapach owoców nerkowca.

– Mielśmy dzisiaj kupę roboty, Emile. Słyszałem, że w promieniu pięćdziesięciu kilosów od miasta doszło do kilkunastu potyczek.

Khadaji uniósł brew, próbując udąć zaskoczenie.

– Serio? Dorwaliście jakichś Shambiarzy?

Ciemnoskóry żołnierz pokiwał głową.

– Z tego, co słyszałem, rozwaliliśmy czternastu. Jedna z naszych oberwała, ale się wylży.

Ukrycie uśmiechu nie kosztowało Khadajego zbyt wiele wysiłku. Nie po raz pierwszy zapoznawano go z podobnymi statystykami.

– Nieźle się sprawiliście.

– No, żebyś wiedział. Jeszcze trochę, a całkiem ich wykurzymy. Jedyne problem w tym, że z tego, co słyszałem, wywiad znów zwiększył szacunki związane z ich liczebnością. Wliczając tych, których rozwaliliśmy, partyzanci liczą podobno około tysiąca bojowników.

Khadaji pokręcił głową.

– Skąd oni się biorą?

– Wywiad sam chciałby to wiedzieć, i to bardzo. Słyszałem, że Stary gotów jest oddać lewe jajo i kilo bauksytu za szansę dorwania przywódców podziemia. – Subru pyknął raz jeszcze. – Byłeś kiedyś w wojsku, Emile?

Khadaji uśmiechnął się.

– Pewnie. Przesiedziałem całą służbę na stołku, majstrując przy dyskach oddziału zaopatrzeniowego. Nie robiłem nic poza wciskaniem przycisków. Prochu nigdy nie wahałem.

– Co ty? W której jednostce byłeś?

– 14-788 Korpus Kwatermistrzowski na Tomodachi. Ładnych parę lat temu.

Ta jednostka naprawdę istniała. Khadaji poznał służących w niej ludzi, gdy przechodził szkolenie, ale jego prawdziwy oddział nosił oznaczenie 14-433 Centplex Uderzeniowy i nawąchał się dużo więcej prochu niż większość żołnierzy tego świata. O wiele za dużo.

Lojtnant pokiwał głową, niezbyt zainteresowany opowieścią. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu wolnego taboretu.

– Emile, która dziś się tarza w pościeli? Masz na rozkładzie jazdy jakąś pannę wartą mojej tygodniówki?

– Jest akurat Marj, jest Brin, Roj, Davasito i... niech no spojrzę... Wydaje mi się, że o osiemnastej zaczyna zmianę Siostrzyczka Imadło.

– Siostrzyczka Imadło, powiadasz? Słyszałem, że jest dobra. No i nieźle sobie liczy.

– Niech cię to nie zniechęci, Subbie. Skąd możesz wiedzieć, kiedy cię wytargają z tego klimatyzowanego T-plexu i popędzą na pierwszą linię?

– Kurwa, stary, musieliby mnie końmi ciągnąć. No, ale w sumie racja, jeszcze mnie rozjedzie jakiś czołg poduszkowy na ulicy. Ma osiemnaście lat, powiadasz?

– Szepnę jej słówko, jeśli chcesz. Może dostaniesz oficcerski rabacik.

Lojtnant Subru skinął głową.

– O, fajno. Da radę? Będę wdzięczny.

Wstał i odszedł, ciągnąc za sobą aromat nerkowca.

– Uszanowanie, szefie.

Barman, który nagle wyrósł przed Khadajim, nie wyglądał na zadowolonego.

– Butch. Jakiś problem?

– Kończą się odurzacze średniego kalibru. Dostawa z zeszłego tygodnia była mniejsza niż zwykle. Do następnej kupa czasu, a mamy tylko połowę tego, co trzeba.

– Co proponujesz?

– Myślę, że trzeba oszczędniej wydzielać. Sprzedawać tym frajerom mniejsze porcje.

Khadaji pokręcił głową.

– Nie. Sprzedawaj tyle co zwykle, a kiedy się skończą, proponuj mocniejsze środki za tę samą cenę.

– Rany, szefie, będziemy tracić po pół standarda na pigule!

– A co, nie stać nas? Klienci muszą być zadowoleni.

Teraz to Butch pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, jak pan chce się dorobić, rozdając wszystko za półdarmo.

– Damy sobie radę, Butch. Damy sobie radę.

Barman odszedł z twarzą jeszcze poważniejszą i bardziej ponurą niż wcześniej, a Khadaji ruszył na obchód ośmiokątnej sali, uśmiechając się do klientów, nasłuchując i przyglądając wszystkiemu po drodze.

– ...przone oficerki nie rozpoznałyby Shambiarza, gdyby ten obszczał jednego z drugim...

– ...ona na to, że jest, kurwa, o wiele wrażliwsza ode mnie...

– ...Jammy ciągle na rehabie, a paraliż dalej trzyma...

– ...dzieciak ma ledwo dziewięć ziemskich lat, ale bystry jak cholera, możesz mi wierzyć...

– ...nie wyciągnąłbyś tego z niej, nawet gdybyś chciał...

– ...mówią, że sam Stary to powiedział...

Khadaji wsłuchiwał się w gwar rozmów o rzeczach, które dla żołnierzy zawsze były istotne: o miłości i nienawiści, o seksie i pieniądzach, o rodzinach, głupocie przełożonych czy samej kampanii. Doskonale znał takie gadki. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, gdy zaciągnął się na kolejnych siedem i służył ponad sześć z podobnymi mężczyznami i kobietami. Wielu z nich było bardzo młodych, ale w wojsku szybko się dojrzewało. Teraz, w wieku trzydziestu dziewięciu ziemskich lat, mógłby ojcować większości ludzi na sali. Czasem zresztą czuł się o wiele starszej, niczym staruszek pośród dzieci.

– ...ci w dupę! No, wstawaj, piździelcu!

Zamarł i obrócił się pospiesznie. Dwaj żołnierze stali naprzeciw siebie przy stole jakieś sześć metrów dalej, przygarbieni, z zaciśniętymi pięściami. Każdy czekał, aż przeciwnik wykona pierwszy głupi ruch, choć właściwie obaj już taki zrobili. Prowokowanie bójek w „Nefrytowym Kwiecie” zdecydowanie należało do niemądrych posunięć. Khadaji próbował sobie przypomnieć, kto teraz pełni służbę. Aha. Na jego oczach Dirisha przemknęła płynnie przez zatłoczony pub w kierunku obu kogutów. Była sporą kobietą – ważyła osiemdziesiąt dwa kilogramy, a wzrostem niemalże dorównywała Khadajemu, który mierzył sto osiemdziesiąt trzy centymetry, chociaż nie rzucało się to w oczy ze względu na jej zrównoważoną budowę ciała. Nosila krótkie, ciemne włosy, a w chwilach szczęścia – tak jak teraz – jej twarz ozdabiał czarujący uśmiech. Ponadto doprowadziła do mistrzostwa posługiwanie się trzema najgroźniejszymi sztukami walki. Miała około dwudziestu ośmiu ziemskich lat, a w walce jeden na jeden najprawdopodobniej mogłaby z powodzeniem stawić czoło Borkowi lub Sleelowi, pozostałym bramkarzom.

Teraz wśliznęła się między obu mężczyzn, zwrócona plecami do większego. Khadaji podszedł bliżej.

– Bójki to kiepski pomysł – oznajmiła. – Stary, na liście fajnych rzeczy do zrobienia w tej knajpie znajdują się dupczenie, ćpanie, winko i *simshi* na zimno. Rozwalanie komuś mordy niezbyt pasuje do reszty, no nie?

Żołnierz, do którego mówiła, był mniej więcej jej wzrostu, więc patrzył jej prosto w oczy. Nie ulegało wątpliwości, że aż kipi z wściekłości i nic nie wskazywało, by miał od razu odpuścić.

– Tak? A wiesz co? Nie wydaje mi się, żeby ten piździelec potrafił cokolwiek rozwalić!

Na usta Dirishy wypłynął uśmiech. Perłowe zęby błysnęły na tle czekoladowej skóry.

– Nie chodziło mi o niego, koguciku – ściszyła głos i otaczający ich ludzie nachylili się, by lepiej słyszeć. – Chodziło mi o mnie. Możesz teraz usiąść i dopalić skręta, albo możesz stąd wyjść, ale wszczynać bijatyk nie będziesz – mówiła spokojnym, zrównoważonym głosem, w którym nie było nawet cienia blefu.

Żołnierz wyraźnie stracił rezon.

Khadaji uśmiechnął się. Dirisha rozłożyłaby tego chłystka na łopatki bez mrugnięcia, a on okazał się na tyle bystry, by to zrozumieć, nawet jeśli nigdy dotąd nie wachał prochu. Gdyby

bowiem uczestniczył w jakimś prawdziwym starciu, bez wątpienia usiadłby na sam widok kobiety. Mimo to nie mógł sobie odpuścić ostatniej próby przejęcia inicjatywy.

– A co z nim? – zapytał, wskazując żołdaka za plecami Dirishy.

Ta nawet nie zadała sobie trudu, by się odwrócić.

– Obowiązują go te same zasady co ciebie, koguciku. A zatem siadaj jeden z drugim na tyłek i obgadajcie ten wasz problem jak dwójka porządnych adwokatów.

Ostatnie słowa nie były prośbą.

Napięcie nagle gdzieś wyparowało. Większy z dwóch żołnierzy klapnął na taboret i sięgnął po kufel splasha. Mniejszy wytarł pot spod kołnierza munduru i kiwnął głową.

– Dobra. Nie będziemy robić tu bajzlu. Załatwimy to kiedy indziej.

Uśmiech Dirishy pogłębił się.

– Wreszcie skumałeś, o co biega. Wiesz co? Ten stół zasłużył na kolejkę na koszt firmy. Powiedz kelnerowi, że Dirisha kazała.

Odwróciła się i odeszła pospiesznie w kierunku uśmiechniętego Khadajego. Gdy się zatrzymała, wokół znów panowała typowa knajpiana wrzawa.

– Dobra robota.

Dirisha przytaknęła.

– Przez moment myślałam, że facet się nie opanuje i będę musiała mu przywalić. A człowiek traci reputację, gdy musi komuś przepieprzyć.

Khadaji skinął głową. Doskonale to rozumiał. Sporą część czternastu lat życia po Maro poświęcił na studiowanie rozmaitych sztuk walki, z których większość opierała się na prostej filozofii – chwila, w której trzeba wykorzystać technikę fizyczną, jest swego rodzaju porażką. Mistrz powinien wytworzyć wystarczającą ilość *ki*, by zneutralizować wrogość potencjalnego przeciwnika, a prawdziwy mistrz powinien zapobiec niemalże każdej walce samą swoją obecnością.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad przyszłością, Dirisha?

Bramkarka wzruszyła ramionami.

– Żyję z dnia na dzień.

Khadaji dumął przez chwilę, aż doszedł do wniosku, że to, co ma zamiar powiedzieć, nie jest wcale bardziej ryzykowne od wielu innych rzeczy, których podejmował się w życiu.

– Słyszałaś kiedyś o Renault?

– To taka planeta w systemie Shin, totalne zadupie. Nic o niej nie wiem.

– Warto byłoby się tam znaleźć za jakieś trzy, cztery lata – powiedział, rozglądając się po ośmiokątnej sali ponad ramieniem Dirishy. – Ktoś tam mógłby ci złożyć propozycję, którą uznałabyś za interesującą.

Ogromna kobieta przyjrzała mu się czujnie.

– Jaką ofertę?

Khadaji wzruszył ramionami.

– To nic pewnego. Do tego czasu wiele może się wydarzyć. Ale jeśli założymy, że wszystko potoczy się tak, jak powinno, Renault prawdopodobnie okaże się miejscem, gdzie będziesz mogła się zadekować na chwilę.

– Aha. Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?

– Jest tam taki port, Simplex-by-the-Sea.

Przez chwilę nic nie mówiła.

– Ale jak mogłabym cię opuścić, Emile? – odezwała się w końcu. – Potrzebujesz mnie tutaj.

Uśmiechnął się, słysząc tkliwość w jej głosie.

– Coś mi się zdaje, że niedługo wypadnę z interesu rekreacyjnego.

– A na Renault?

– Nie – westchnął. – Nie spotkasz Emile Khadajego na Renault.

Dirisha zastanowiła się nad tymi słowami i najwidoczniej doszła do wniosku, że nie warto zadawać kolejnych pytań.

– Chyba lepiej będzie, jak wrócę do pracy.

– Dobry pomysł. Ja muszę zajrzeć do Anjue i sprawdzić, jak tam kolejka. Na razie.

Patrzył, jak odchodzi. Jej płynne, swobodne ruchy świadczyły o latach treningu i doskonałej kondycji. Tak naprawdę nie znał jej zbyt dobrze. Dirisha nie dzieliła się swoimi sekretami i spędzała mnóstwo czasu, ćwicząc w którymś z pobliskich *dojo*. Z tego co wiedział, nie miała również kochanków – ani mężczyzn, ani kobiet. Tym niemniej dostrzegał w niej siłę o wiele potężniejszą od fizycznej, wyczuwał potencjał czegoś o wiele głębszego. Ogarnęło go przecucie, że pasowałyby do jego planu.

Ruszył do głównego wejścia, gdzie Anjue wraz z trzema pomocnikami pilnował kolejki.

– Cześć, Anjue. Jak leci?

– O, Emile. Powoli. Na ekranie mam tylko czterdziestu oczekujących. Aha, trzech oficerów zapowiedziało się na siedemnastą. – Przy tych słowach wykonał gest charakterystyczny dla mieszkańców Spandle – zakręcił obiema dłońmi na zewnątrz. – Ale zmierzch oznacza zmianę wart, mniej żołnierzy będzie miało czas. Orzeł też nie przyleciał od paru dni, więc tłoku nie ma. Co mogę ci więcej powiedzieć?

– Nic się nie martw, Anjue. Damy sobie radę.

Khadaji skierował kroki do prywatnych pokojów w piwnicy lokalu. Zatrzymał się przy wkomponowanym w solidny mur z plastokrety okienku ze skondensowanego kryształu grubości trzech centymetrów, za którym zasiadał Butch. Jakość użytych zabezpieczeń wynikała z faktu, że pokój, z którego wydawano narkotyki, mógł stać się kuszącym celem dla złodziei. Drzwi wykonano z grubej, nierdzewnej stali i zaopatrzone w specjalne zamki zwane kosiarczami, a oknu z kryształu zagroziłaby co najwyżej bomba próżniowa. Oplątę za prochy wsuwało się do szuflady pod oknem, a zakupiony towar wyciągało z szuflady obok.

– Idę się zdrzemnąć, Butch. Przez najbliższą godzinę żadnych wizyt czy telefonów.

– Jasne, szefie – metaliczny głos Butcha dobiegł z głośnika zamontowanego w ścianie. – Postaramy się obronić tę budę przed Shambiarzami, jak będzie pan kimał.

– Dzięki, Butch. Doceniam to.

TRZY

Prywatna przestrzeń Khadajego stanowiła połączenie biura i zwykłego mieszkania. Umeblowanie było nader skromne – w jednym z pomieszczeń znajdowało się biurko z terminalem komputerowym, kilka krzeseł, piankowe łóżko, w drugim kabina prysznicowa, umywalka i sedes, a w trzecim i ostatnim niewielka kuchnia. Z pozoru miejsce to przypominało więc skromne, niewyszukane mieszkanie. Przypadkowy gość nie wiedział jednak o magazynku skrytym pod biurkiem ani o tunelu, który zaczynał się pod lodówką w kuchni. Krótki i ciasny tunel Khadaji wykopał za pomocą „pożyczonego” młota pneumatycznego, który zwrócił, nim ktokolwiek zdążył się zorientować o jego braku. Przejście prowadziło z kuchni do pomieszczenia z transformatorem w alejce za „Nefrytowym Kwiatem”. Miejsca starczyło tam tylko na to, by stanąć pomiędzy ceramicznymi izolatorami a siatką wysokiego napięcia. Tylko ktoś naprawdę ostrożny mógł się prześliznąć przez otwór w metalowej kratce i zaczekać do chwili, gdy w alejce nie będzie żywego ducha. Ktoś, komu brakowało odpowiednich umiejętności, usmażyłby się na obwodach.

Khadaji zerknął na zegarek. Dochodziła siedemnasta.

Z magazynka ukrytego pod biurkiem wyciągnął czarny ortoskafander, kolejne dwa spetsdödy wraz z amunicją oraz elastyczną maskę na twarz. Planował działać w mieście i choć było ciemno, obawiał się rozpoznania. Szybko naciągnął skafander, sprawdził, czy maska dobrze przylgnęła do twarzy i uszu, a następnie przyłożył spetsdödy do wewnętrznych części nadgarstka. Minęło kilka sekund, nim sztuczna tkanina rozgrzała się i przywarła do skóry, trwale mocując broń. Odpowiednio założone spetsdödy stawały się niemalże integralną częścią ciała – jak palce. Póki Khadaji nie zwolnił zaczepu, nie można było ich przesunąć ani nimi poruszyć.

Dobrze wiedział, że istniały o wiele skuteczniejsze rodzaje broni. Ręczne miotacze, które rozsyłały impuls w kształcie wachlarza, zdolny wyeliminować pół tuzina ludzi, pistolety rakietowe, które przebijały pancerze nieprzenikalne dla strzałek spetsdödów czy bomby implozyjne, który rozrywały stal jak masło. W tej sytuacji nie miał jednak innej możliwości. Wybór nie należał do łatwych, ale za spetsdödami przemawiało wiele powodów.

Po pierwsze, choć czasami wykorzystywało je wojsko, była to głównie cywilna broń. Po

drugie, nasycona Spazmem strzałka nie zabijała. Po trzecie i najważniejsze: korzystanie ze spetsdödów, w przeciwieństwie do ręcznych miotaczy, broni na amunicję wybuchową czy bomb, wymagało precyzji i doświadczenia. Człowiek, który polował ze spetsdödami na cele w pancerzach drugiej klasy, był albo mistrzem w swoim fachu, albo całkowitym głupcem. Chybiony strzał zwykle równał się wyrokowi śmierci. Umiejętność posługiwania się bronią znaczyła dla Khadajego równie wiele, co pozostałe elementy działalności. Skoro plan miał zadziałać, należało go dobrze przygotować. Khadaji poświęcił całe lata, by wszystko dokładnie przemyśleć i doszedł do wniosku, że tylko spetsdöd spełnia jego wymagania. Jeszcze więcej czasu zabrało mu osiągnięcie mistrzostwa w posługiwaniu się tą bronią. Niewykluczone, że istnieli ludzie sprawniejsi pod tym względem, ale nie miało to znaczenia. Był wystarczająco dobry, przynajmniej jak dotąd.

Spetsdödy w końcu przywarły. Naciągnął gogle noktowizyjne na czoło, a potem wziął tabletkę i poczekał, aż się rozpuści pod językiem. Związek chemiczny, który zawierała, nosił długą i skomplikowaną nazwę, ale ci, którzy z niej korzystali, nazwali ją po prostu „Refleksem”. Oddziaływała na układ nerwowy, zarówno obwodowy, jak i na centralny, a samo działanie sprowadzało się do bardzo prostej rzeczy – przyspieszenia czasu reakcji. Każdy reagował na tabletkę nieco inaczej; Khadaji pod jej wpływem potrafił przez krótką chwilę poruszać się szybciej aniżeli wzmocnieni bakteriologicznie żołnierze frontowi. „Refleks”, oczywiście, miał kilka paskudnych wad – człowiek zażywający go musiał być w doskonałej kondycji, ponieważ działanie środka przyspieszało katabolizm i metabolizm, w związku z czym po ustąpieniu pozytywnych efektów następowało skrajne wycieńczenie organizmu. Co więcej, wywoływał koszmary i uzależniał. Khadaji zażywał go tylko wtedy, gdy wykonywał wyjątkowo ryzykowne zadanie. Zapłaci za to później.

Obejrzał w lustrze nową twarz, wyciągnął zakłócacz ze skrzyni i zawiesił go na pasku, gdzie było jego miejsce. Nabrał głęboko tchu i pokiwał głową, widząc swoje odbicie. Potrzebował już tylko jednej rzeczy – flary fotonowej. Zamocował ją przy pasie i uznał, że jest gotowy.

Ocierając ramionami o ściany wyłożone flexmakiem, przeczołgał się przez tunel. Ostrożnie uniósł płytę zakrywającą wylot i odsunął metalową kratę wewnątrz transformatora. W środku panowała całkowita ciemność, rozpraszana jedynie światłem ulicznym wpadającym przez szczeliny układu chłodzenia nad jego głową tuż obok żeberek rozpraszających. Ściągnął gogle na oczy i uruchomił noktowizor. Pole widzenia rozjarzyło się niesamowitym, zielonym światłem. Umieścił płytę i kratę z powrotem na miejscu, po czym zamarł, nasłuchując.

Przemknął przez niego pierwszy dreszcz „Refleksu”. W tej samej chwili poczuł, jak wypełnia go ciepło, a skóra zaczyna lekko swędzieć. Chciał się ruszyć z miejsca, chciał biec, skakać, krzyżeć – narkotyk już mu śpiewał do ucha, nakłaniał go, by coś zrobił, cokolwiek. On jednakże stał w miejscu i nasłuchiwał. Dopiero po chwili podszedł do szczeliny drzwi i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Aleja pusta, nikogo w pobliżu. Wyłączył gogle.

Nie minęła sekunda, a on już był na zewnątrz i zamykał drzwi. W okamgnieniu znalazł się w cieniu rzucanym przez „Nefrytowy Kwiat” i przywarł do chłodnej ściany z plastokrety. Podczas tej operacji planował kryć się w ciemnościach. Nabrał głęboko tchu i ruszył przed siebie, czując, jak „Refleks” tańczy po jego mięśniach.

* * *

T-plex tonął w blasku. Pół tuzina dużych lamp żarnikowych rzucało dookoła budynku ogromne, nachodzące na siebie jasne plamy światła. Był to typowy dla Konfedu przysadzisty, brzydki gmach, blok z prefabrykatów z utwardzonej pianki z wyciętymi w ścianach drzwiami i oknami. Ludzie pełniący służbę elektroniczną – o ile nie spali – właśnie odczytywali sygnały z zakłóacza Khadajego i zastanawiali się, co to za widma szaleją po ekranach. Zakłóacz był najlepszym urządzeniem tego typu wyprodukowanym przez Konfed, tak nowym, że nie trafił jeszcze na wyposażenie stacjonujących tu oddziałów. Khadaji dał za niego niezłą sumkę jakiś rok temu. Prawdopodobieństwo, że żołnierz prowadzący obserwację rozpozna źródło zakłóceń, oscylowało w granicach zera.

Natomiast, światła stanowiły całkowicie odmienny rodzaj problemu. Miejscowy garnizon dysponował sprzętem do wzmacniania wizji tak dobrym, jak ten używany przez Khadajego. Z włączonymi goglami noktowizyjnymi ludzie Konfedu mogli przy świetle gwiazd przyjrzeć się wybranemu odcinkowi terenu równie dokładnie, jak przy popołudniowym słońcu. Rozwalenie lamp nie dawało zatem żadnej przewagi.

Khadaji uśmiechnął się szeroko. Problem z mentalnością wojskowych polegał na tym, że myśleli oni logicznie dopóty, dopóki ich to satysfakcjonowało – i ani chwili dłużej. Można ich więc było przechytryć, prowadząc logiczne rozumowanie o krok dalej.

Zamocował nieskomplikowaną bombę czasową na nieosłoniętym transformatorze i ustawił opóźnienie na dwadzieścia sekund, po czym rzucił się do ucieczki, nie wychodząc z cienia. Znalazł się przed T-plexem. W skład ochrony wchodziłi czujni, gotowi na wszystko ludzie; z pewnością nie żadne żółtodzioby, a zaprawieni w bojach weterani, co do jednego sub-lojtnanci wyselekcjonowani do tego oddziału ze względu na doświadczenie.

Kobieta po drugiej stronie drzwi, których pilnowali – widoczna teraz przez okno z twardego plastiku – należała do dziesięciu sub-befalhavare przebywających na planecie. Dowodziła tysiącem żołnierzy, co czyniło ją ważną osobą. Jednym z inteligentnych posunięć Konfedu w kwestiach wojskowych było zniesienie tradycyjnej hierarchii stopni, która dotychczas obowiązywała w większości światów. Hierarchia dla oddziałów lądowych została maksymalnie uproszczona: czterech żołnierzy tworzyło drużynę dowodzoną przez sub-lojta, dwadzieścia pięć drużyn składało się na centplex, gdzie z bicia strzelał lojtnant, a dziesięć centplexów na kohortę, nad którą pieczę sprawował sub-befalhavare. Dowódca formacji dziesięciu tysięcy żołnierzy, która nawiasem mówiąc stanowiła siły okupacyjne na Greaves,

nosił rangę pełnego befalhavare. Kolejną rangą był marszałek systemu, over-befalhavare, a nad nim stał już tylko naczelny dowódca Sił Lądowych Konfederacji. Szeregowego żołnierza dzieliło więc od naczelnego dowódcy zaledwie pięć rang.

Rozległ się głośny trzask, światło lamp zaczęło przygasać. Khadaji założył gogle i wyregulował je na minimum. Wzmocnione światło gasnących lamp zamigotało, kłując go w oczy nawet pomimo przymkniętych powiek.

– Włączyć wzmacniacze! – usłyszał krzyk jednego z żołnierzy.

Dobrze. Liczył teraz na ich trening. Nim lampy zgasną całkowicie, ta czwórka powinna być gotowa na walkę w ciemnościach.

Otworzył oczy i dostroił gogle. Widma w różnych odcieniach zieleni nabrały ostrości. Z okien biura sub-befalhavare buchnęła oślepiająca jasność. Khadaji odwrócił spojrzenie, koncentrując uwagę na żołnierzach. Nastawione na maksymalne wzmocnienie gogle potrafiły wzmocnić wszelkie dostępne światło kilka milionów razy – żar skręta z bliska wydałby się ogromny niczym ognisko.

Teraz, gdy jedynym źródłem światła pozostawał blask gwiazd i luna nad miastem, cień stanowiący wcześniej niezłą osłonę tracił swoje znaczenie. Khadaji musiał działać szybko, ale jednocześnie dobrze zaplanować kolejne posunięcia. Wszyscy żołnierze musieli go zobaczyć w tej samej chwili.

– Hej! – wrzasnął.

Wyszkolenie tej drużyny było wprost znakomite. Odwrócili się jak jeden organizm, w okamgnieniu podrywając broń do strzału.

Khadaji zdążył jednak zapamiętać ich pozycje. Zdążył też odbezpieczyć flarę fotonową i cisnąć ją w kierunku zaskoczonych żołnierzy. Odwrócił głowę i zacisnął powieki, ale mimo to odbity od ścian blask wgrzył się w jego oczy. Nie miał czasu myśleć, co się stało z oczami ochroniarzy. Skoczył w lewo i najszybciej, jak mógł, popędził w kierunku budynku.

Chociaż oślepieni, członkowie drużyny otworzyli ogień. Ponad grzechotem serii z parkerów i eksplozji pocisków wybuchowych niósł się donośny, męski głos:

– Toomie, na lewo! Janie, przód! Jason, prawo!

Nim Jason zdołał przenieść lufę karabinu w przydzieloną mu strefę, Khadaji zatoczył koło i uniósł oba spetsdödy. Trafił zarówno Jasona, jak i dowódcę drużyny pierwszymi dwiema strzałkami, a potem wypalił po raz drugi. Położył Janiego, ale chybił czwartego żołnierza, który nadal krył swoją strefę krótkimi seriami z parkera, zwrócony plecami do przeciwnika. Zanim się zorientował, że nikt z jego oddziału nie prowadzi już ognia, Khadaji wpakował mu strzałkę w kark. Chłopak padł, a jego karabinek ucichł.

Nie było czasu do stracenia. Khadaji popędził w stronę drzwi, zrywając gogle z oczu. Nie zwolnił, jedynie zmienił pozycję w biegu, by uderzyć w plastik lewym barkiem. Tani materiał oderwał się od futryny w deszczu szarych odłamków. Khadaji wpadł do środka i od razu przepadł do ziemi.

Powietrze wypełnił podwójny huk pistoletu gładkolufowego, mosiężne kule zrykoszetowały od ściany i pomknęły na zewnątrz. Khadaji przetoczył się i wypalił do kobiety stojącej za biurkiem. Oberwała w pierś, ale zanim upadła, zdołała raz jeszcze nacisnąć spust i wyrwać w białej pianie sufitu wzór przypominający bliźniaczy okular lornetki.

Ciało sub-befalhavare sparaliżowały skurcze wywołane przez truciznę. Jej mięśnie zastygły w chwili, gdy opadła na fotel z dłońmi uniesionymi na wysokość ramion i twarzą wykrzywioną w dzikim grymasie. Trzymała gładkolufowy pistolet w niemalże klasycznej pozycji „przez pierś broń”.

Choć nie było w tym nic zabawnego, Khadaji poczuł nagły przypływ wesołości. Wybuchnął śmiechem, a po chwili pozwolił sobie na mały dowcip. Na biurku stał bukiet kwiatów – wyciągnął z wazonu zieloną różę o długiej łodydze i wsunął ją do lufy pistoletu. W końcu warto dbać o poczucie humoru. Co więcej, dla człowieka inteligentnego mogła to być wskazówka. Zielona róża, nefrytowy kwiat... Nie spodziewał się, by sub-befalhavare również uznała to za zabawne, ale z drugiej strony komizm zawsze zależał od punktu siedzenia, od tego, czy to ty nadepnąłeś na skórę banana, czy zrobił to ktoś inny.

Czas wracać. Khadaji wybiegł z biura. Niewykluczone, że inne drużyny znajdowały się już w drodze i wołał znaleźć się na zapleczu „Nefrytowego Kwiatu”, nim miasto pokryje siatka patroli.

Przeskoczył nad zalegającym przy drzwiach żołnierzem i popędził ulicą. Kolejny łatwy posterunek, pomyślał i zaraz pokręcił głową. Musiał się pilnować, wystrzegać owego poczucia niezwykłości i nieomyślności, które przepajało go przekonaniem, że nie może zawieść. Ten rodzaj myślenia krył w sobie niebezpieczeństwo. Sama świadomość, że wie, kim jest i co robi, nie dawała jeszcze gwarancji sukcesu. Nadmierna pewność siebie zgubiła już wielu ludzi, a zwłaszcza ludzi z wielkimi planami, którzy pozwolili, by monumentalne wizje przyćmiły szczegóły pomniejszych działań. Niejednokrotnie w takich chwilach człowiek sądził, że opiekuje się nim jakieś życzliwe bóstwo, że przeznaczenie prowadzi go za rękę, bo przecież stanowi jego narzędzie. Tak, to było niebezpieczne. Od uświadomienia Khadajego minęło czternaście lat, a on wciąż musiał się zmagać z poczuciem wyższości, które wówczas w niego wstąpiło.

Usłyszał głosy ludzi nadchodzących z bocznej ulicy i przycisnął się w cieniu zsypu na śmieci. Przebiegło obok niego kilka drużyn kierujących się w stronę T-plexa. Blisko.

Tak, mógł się potknąć w każdej chwili. Mogła go załatwić zbłąkana kula wystrzelona przez padającego żołnierza, zwykła utrata równowagi podczas ucieczki czy tysiąc innych drobiazgów. Przez niemalże sześć miesięcy zachowywał czujność, ale trudno też zaprzeczyć, że po prostu dopisywało mu szczęście.

Zmierzając w kierunku „Nefrytowego Kwiatu”, zrozumiał, że źródło jego zmartwień tkwi w świadomości nieubłagania nadchodzącego końca. Na samą myśl o tym poczuł ścisk w

żołądki i mrowienie w mięśniach pośladków, nawet pomimo tego, że biegł.

* * *

– Jak się kimało, szefie?

– Dzięki, już mi lepiej, Butch. A jak interes?

– Całkiem niezłe, póki co. Kilka minut temu słyszałem Anjue na terminalu. Powiedział, że po tym, jak weszła Siostrzyczka Imadło, do kolejki dołączyło piętnastu łebków.

Khadaji pokiwał głową i wolnym krokiem wszedł na salę wypełnioną już po brzegi, jeśli nie liczyć miejsc przeznaczonych dla wyższych rangą. Uśmiechnął się do siebie pod nosem. Przynajmniej jeden sub-befal zwolni dziś miejsce dla innych.

Przy jednym ze stołów siedział samotny mężczyzna i popijał splasha. Khadaji podszedł nieco bliżej i uważniej mu się przyjrzał. Był to dowódca drużyny, jakiś sub-lojt. Wyglądał znajomo, ale właściciel „Nefrytowego Kwiatu” nie potrafił sobie przypomnieć, skąd go zna.

– Dobry wieczór – powiedział.

Żołnierz spojrział w górę i skinął głową, ale nie odezwał się słowem.

– Picie w samotności potrafi być dołujące. Mogę się dosiąść?

Sub-lojt wzruszył ramionami.

– Pewnie. Czemu nie? Właśnie obracam w głowie kilka paskudnych wspomnień.

Kelner przyniósł kieliszek Möt & Chandon, starego szampana z osobistych zapasów szefa. Khadaji powoli wziął łyczek bladobursztynowego napoju.

– Jeszcze jeden splash dla pana sub-lojtnanta – zamówił.

– Dzięki – mruknął żołnierz. Dopił zawartość kufla i rozparł się na krześle. – Wiesz, miałem zamiar dać sobie spokój, gdy skończył mi się kontrakt, ale zaciągnąłem się na jeszcze jedną turę. Gorszego błędu popełnić się nie dało.

Khadaji skinął lekko głową. Chwilowo wołał się nie odzywać.

– Właśnie byłem na rehabie. Gość z mojej drużyny leży tam już drugi miesiąc.

– Dorwali was Shambiarze – powiedział. Jasne, a więc to stąd znał tę twarz, chociaż samej potyczki nie potrafił sobie przypomnieć. Stoczył ich zbyt wiele.

– No. Było ciemno i niczego nie zauważyliśmy aż do chwili, gdy już mieliśmy przesrane. Całe szczęście dorwali tylko Rudy’ego. Odwiedzam go raz na jakiś czas.

– Pewnie nienawidzisz ich jak jasna cholera.

Sub-lojt pokręcił głową.

– Wiesz co? Może to zabawne, ale chyba nie. Niemniej za każdym razem, gdy widzę Rudy’ego, przypominam sobie, w jaki sposób zarabiam na życie. – Przerwał i zapatrzył się w kufel. – Wspominałem pewną chwilę na Wu – odezwał się w końcu. – W systemie Haradali.

Khadaji pokiwał raz jeszcze.

– Słyszałem o nim.

– Taa. No więc kazali rozwalić paru miejscowych rebeliantów, grupę niezadowolonych ze wszystkiego szajbusów, którzy jakimś cudem opanowali całe miasto i robili mnóstwo zamieszania. Prosta operacja, niemalże podręcznikowa, taka, przy której najwięcej roboty kosztuje człowieka rozstawianie latających jednostek bojowych. Powiesiliśmy nad miastem pancernika z eskortą i posłaliśmy w dół parę centplexów, by pokazać zbrojne ramię Konfedu. Pewnie wiesz, na czym to polega.

– Wiem.

– Cóż, zląłem na dół razem z drużyną i utknąłem podczas rutynowego patrolu na zabezpieczonym perymetrze. Wtedy jakiś czubas wśród rebeliantów wpadł na zajebisty pomysł, by puścić grupę zaczepną. Posłali na nas może coś koło stu ludzi, uzbrojonych w kije, noże thero i kilka karabinów na pociski chemiczne.

Sub-lojt przerwał i napił się z nowego kufła.

– Idiota! – parsknął. – Posyłać praktycznie nieuzbrojonych ludzi na drużynę weteranów Konfedu.

Ścieliśmy ich jak na ćwiczeniach. Idioci, cholerni idioci!

Khadaji popijał szampana.

– Nie było w tym naszej winy. Wykonywaliśmy tylko zadanie, a oni rozerwaliby nas pewnie na strzępy. Ale gdy już było po wszystkim, poszedłem z grupą medyczną, by obejrzyć ocalałych. Korzystaliśmy z amunicji harrad.177, więc wielu ich nie znaleźliśmy. Ale była wśród nich jedna dziewczynka. – Żołnierz znów przerwał i upił łyk, zamykając przy tym oczy. – Miała może z trzynaście lat. Leżała na ziemi z obiema nogami odstrzelonymi na wysokości ud. Spojrzała na mnie, gdy lekarze uciskali jej rany i pompowali w nią endorfinę, żeby uśmierzyć ból. Przysięgam, nigdy wcześniej ani nigdy później nie widziałem tak krystalicznie zielonych oczu. Uśmiechnęła się i powiedziała: „Wszystko w porządku. Mój ojciec jest żołnierzem”. A potem umarła. Lekarze powiedzieli, że przyczyną był ogromny hemo-szok.

Sub-lojt dopił splasha i delikatnie odstawił kufel.

– I to, co powiedziała, to była właśnie ta zła część. Zupełnie jakby zastrzelenie jej należało do moich zadań, ponieważ byłem żołnierzem, jak jej ojciec. – Pokręcił głową. – System, który sprawia, że dorośli zabijają dzieci? Coś w tym jest nie w porządku. Jeśli coś takiego jeszcze mi się przydarzy, nie wiem, czy będę w stanie otworzyć ogień. Nigdy nie widziałem żadnego Shambiarza, ale jeśli ujrzę bandę dzieciaków wymachujących kijami, po prostu nie wiem, co zrobić. Potrafisz to zrozumieć? Potrafisz zrozumieć, jak mogę się teraz czuć?

Khadaji pokiwał głową i popatrzył niewidzącym wzrokiem na przeciwległą ścianę ośmiokątnej sali.

– Tak – stwierdził w końcu. – Potrafię to zrozumieć.

CZTERY

O pierwszej trzydziści Khadaji wrócił do mieszkania. Działanie „Refleksu” już praktycznie ustało, ale nadal miał w sobie tyle narkotyku, że bez odpowiedniego wspomaganie nie potrafiłby zasnąć przez kilka kolejnych godzin. Zażył więc trzysta miligramów parametaqualonu – „Pako”, jak nazywano go w pubie – i rozciągnął się na łóżku. Istniały znacznie mocniejsze środki nasenne, ale dawka „Pako” czasami zapobiegała koszmarom, które pojawiały się po „Refleksie”. Czasami.

...dwadzieścia pięć lat i już stopień sub-lojta plus spore szanse na awans na pełnego lojtnanta, o ile zapisze się z wyprzedzeniem na kolejną turę. Przecież wojsko nie jest takie złe, zawsze można trafić gorzej. Sześć lat w Jumptroopers, dwa odznaczenia za wybitną służbę na Nazo, kolejne na Kontrau’lega Break – to wszystko ustawiało go w doskonałej pozycji do rychłego objęcia dowództwa nad centplexem. Tak właśnie mu mówiono, a on nie miał żadnego powodu, by nie wierzyć. Gdy tylko służba na Maro dobiegnie końca, spotka się z jakimś sub-befalhavare Starego i obgada szczegóły. Bo czyż nie był zainteresowany?

Emile Khadaji pokiwał głową, uśmiechając się szeroko. Emile Khadaji – młody facet, który doskonale rozumiał życie w mundurze, życie wcale nie nudne ani bezcelowe. Żył otoczony wieloma kumplami, nie narzekał na powodzenie u kobiet, a nawet u mężczyzn, miał dość standardów, by kupić wszystko, czego zapragnął. Czyż nie był zainteresowany? O tak, był, a jakże...

* * *

...widzisz, jak ryba przepływa przez ten lejek, Emile? Jeden koniec jest bardzo szeroki i łatwo w niego wpłynąć, ale gdy tylko zwierzę znajdzie się po drugiej stronie, będzie miało sporo kłopotów, by go odnaleźć i wrócić.

Chłopiec pokiwał głową. Wpatrywał się w pięćdziesięciokilogramowego strzępiela zataczającego kręgi w pułapce. Oprócz niego było tam jeszcze pięć lub sześć innych wielkich niebiesko-szarych ryb, ciskających się to w jednym, to w drugim kierunku.

– Są głupie – stwierdził. – Dziura w środku lejka jest tej samej grubości z obu stron.

Hamay Khadaji spojrział na dziesięcioletniego syna, a potem znów na przeszkłony zbiornik obserwacyjny.

– Nie, synu, one nie są głupie. Na pewno zaś nie są głupsze od innych ryb. Tu chodzi o to, że patrzą na wszystko inaczej. O to, że mają inne oczy i umysły, przez co odbierają otaczającą je rzeczywistość w sposób różny od nas. To, że coś lub ktoś patrzy na świat inaczej, nie oznacza jeszcze, że jest głupi. Jest po prostu inny...

* * *

– ...och, tak, Emile, wejdź we mnie, jestem gotowa!

Spojrział na śliskie od potu ciało Jedy, na rozrzucone nogi i wilgotne włosy łonowe. Sam również był gotowy, ale nie wiedział, co i jak robić. Powinien tak po prostu się w nią wbić? A może wejść powoli? Powiedziała, że chce gwałtownie, od razu, ale wedle nagrania z instrukcją lepiej wolno, łagodnie i... Niespodziewanie to ona zdecydowała za niego, ledwie się nad nią nachylił. Złapała go obiema dłońmi za pośladki i z całej siły wepchnęła w siebie. Och, tak! To było wprost cudowne uczucie, nie mógł uwierzyć, jak wspaniałe, choć czuł, że nie potrwa długo, że zaraz eksploduje...

...ekspłodowała deszczem krwi i strzępów ciała, szatkowana kulami z jego karabinka. Poruszyło go oszołomienie przez moment widoczne na jej twarzy. Nie sądziła, że można ją zranić, nie wiedziała, że może umrzeć. Gdy padała na ziemię, jej oczy wciąż wyrażały zdumienie. Z całych setek ludzi, którzy przed chwilą puścili się szarżą przez pole skoszonego żyta, tylko jej twarz ujrzał wyraźnie. Z innych, widocznych w tle, odczytał jednak podobne emocje – to nie tak, zdawały się krzyczeć, to wszystko miało być inaczej!

– Khadaji, przesun drużynę w lewo o trzysta stopni! Nadchodzi kolejna fala!

– Jasper, Wilks, Reno, lojt kazał pokryć trzysta!

– Emile, czemu oni ciągle nacierają? – Reno niemalże szlochał. – Kurwa, przecież nawet broni nie mają, padają jak muchy! Pojebało ich, czy co?

– Pieprzeni fanatycy! – rzucił Jasper. – Myślą, że nigdy nie umrą. Ich przywódca wbił im do głów, że są nieśmiertelni. No, to pokażemy tym nieszczęsnym idiotom...

Trzymał karabinek na wysokości biodra i prowadził go raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby podlewał trawę wężem ogrodowym. W odległości jakichś trzystu metrów czterech lub pięciu nadbiegających padło niczym ścięte kłosa i znieruchomiało na polu, które kiedyś rodziło inne owoce.

– Głupie pojeby, głupie pojeby, głupie, głupie...! – wrzeszczał, nie ściągając palca ze spustu. Powietrze płonęło, gdy wraz z innymi drużynami zasypywał nadciągających przeciwników seriami pocisków wybuchowych. Padało ich tak wielu, że miejscami trupy tworzyły dwu-, trzymetrowe sterty, lecz już pieli się na nie kolejni, nadal żywi, nie przerywając natarcia. Tych również trafiały kule, a stopy rosły i rosły.

– Dlaczego nie przestaną? – płakał Reno, celując w morze trupów, raz za razem naciskając spust. – Dlaczego nie przestaną? Dlaczego?

Khadaji czuł się szary, zupełnie jak gdyby wysypano na niego beczkę prochu, a potem wtarto mu go w oczy, nos, usta i mięśnie. Ręce bolały go od dźwigania broni, w nozdrza kłuł zapach elektrochemicznych ładunków miotających, huk eksplozji zlewał się w nieprzerwaną symfonię, słyszalną nawet pomimo zatyczek do uszu. Ale nadal strzelał. Strzelał. Strzelał...

* * *

Khadaji gwałtownie otworzył oczy. Czuł, że przenika go chłód pościeli przemoczonej potem.

To tylko sen, powiedział do siebie. Po prostu zwykły koszmar.

Nawet nie pamiętał jego przebiegu. Kilkakrotnie odetchnął głęboko i wykonał kilka technik relaksacyjnych, ale wciąż był spięty. I wciąż przytomny.

Po kilku minutach wstał z łóżka. Zimne powietrze chłodziło jego nagą skórę. Nachylił się i dotknął palców stóp, a potem wyprostował i wyciągnął w tył, zmuszając do pracy mięśnie brzucha. Był w dobrej formie, ale „Refleks” z wolna go wykańczał. Zawsze po takiej nocy obiecywał sobie, że będzie unikał tego świństwa, ale czasami po prostu go potrzebował. Zresztą jeszcze trochę i da sobie spokój na dobre.

Podszedł do biurka, odsunął je i otworzył magazynek ukryty pod podłogą. W rogu stała niewielka skrzynka zabezpieczona pułapką błyskową, którą dezaktywował, przyciskając palec serdeczny lewej dłoni do czytnika. Wciąż nagi, usiadł po turecku na podłodze i otworzył pojemnik. Intruz, który by go nie odbezpieczył, zostałby potraktowany strumieniem fosforowym o temperaturze ośmiuset stopni Celsjusza prosto w twarz.

W środku znajdowała się stalówka pióra wiecznego i niewielki notes. Na pierwszej stronie widniała liczba: 2376. Wpatrywał się w nią przez minutę, a potem wyrwał kartkę. Czterech w lesie, dwóch na czujce. Razem z tymi czterema przed T-plexem oraz sub-befalhavare – jedenastu. A zatem 2387. Zapisał nowy wynik na kolejnej stronie, wsunął notes do futerału i zamknął wszystko w skrzynce. Liczenie strzałek nie miało sensu, ale wyciągnął magazynki z obu używanych spetsdödów i dwukrotnie je sprawdził. Dwie sztuki spetsdödów wyrzucił do kosza na śmieci po akcji w lesie, lecz amunicję zachował. Przeliczył to, co mu zostało oraz te, w magazynkach. Każdy z nich mieścił dwanaście strzałek, a zatem powinien mieć... Zaraz, zaraz... W pierwszym starciu poszły cztery, w drugim dwie...

Raz jeszcze przeliczył wszystko od początku do końca akcji. Brakowało jednej strzałki. Czyżby błąd?

Zamknął oczy i odtworzył w myślach starcie po starciu. Nie pomylił się ani w pierwszym, ani w drugim, a zatem na pewno w trzecim...

Wystrzelił dwukrotnie, trafił Jasona i dowódcę drużyny, a potem znów dwa razy, z obu

spetsdödów. Trafił Janiego, ale chybił Toomego...

Aha, zgadza się. Chybił, strzelając do ostatniego członka drużyny i musiał zużyć na niego drugą strzałkę. Skrzywił się kwaśno. Stawał się nieostrożny. Wstał i wysunął szufladę biurka. Na jej końcu znajdowała się druga skrzynka z pułapką błyskową, schowana za plikiem standardów. Złodziej, który otworzyłby szufladę, zwinąłby pieniądze i nie przejmował się niepozorną plastikową paczuszką. Gdyby jednak spróbował ją otworzyć, czekało go gorące powitanie. Potrzebowałby wiele szczęścia, żeby uniknąć poparzeń twarzy i rąk.

Khadaji przytknął kciuk we właściwe miejsce. Wewnątrz pojemnika znajdowały się strzałki do spetsdödów. Z początku było ich sto, ale z czasem ich liczba spadła do dziewięćdziesięciu trzech. Przez ostatnie pięć miesięcy wyciągnął ich siedem i każdą umieścił w magazynku w miejsce zmarnowanej. Po wewnętrznej stronie wieka skrzynki wisiała para szczypiec. Skorzystał z nich, by wybrać pojedynczą strzałkę i ostrożnie wsunąć ją do magazynka praworęcznego spetsdöda. No i po wszystkim.

Zamknął skrzynkę i wsunął ją do szuflady. Nieostrożność nie polegała wcale na tym, że chybił, choć samo w sobie stanowiło to porażkę. Problem w tym, że zapomniał o niecelnym strzale. Fakt, wszystko nastąpiło w ogniu walki, ale tak czy owak był to niewybaczalny błąd.

Odłożył broń i zamknął magazynek. Mimo że po dokładnych oględzinach intruz z pewnością odkryłby tajny schowek, samej klapy nie chronił żaden zamek. Khadajemu w niczym to nie przeszkadzało. Póki żył, nie było cienia szansy, by ktoś się tu dostał, a gdyby nie żył... Cóż.

Nagle poczuł zmęczenie. „Refleks” ostatecznie się wypalił, a „Pako” wciąż działał. Tak dojmujące zmęczenie...

Khadaji wrócił do łóżka i zapadł w sen. Jeśli znów nawiedziły go koszmary, to tym razem nie przyniosły ze sobą niepokoju.

* * *

– Dzień dobry, szefie.

Khadaji skinieniem przywitał Borka, największego spośród bramkarzy i jednego z największych ludzi na Greaves. Bork pochodził z Homomue, planety, gdzie panowała wyższa od ziemskiej grawitacja i zwiększona masa mięśni okazywała się błogosławieństwem. Tu, na Greaves, gdzie grawitacja zbliżona była do standardowej, Bork często podnosił ciężary, by nie wypaść z formy. Mógłby bez problemu korzystać z elektrostymulatorów, ale wolał sztangę. To bardziej organiczne, mawiał.

– Cześć, Bork. Był wczoraj spokojny?

– Tajes! Musiałem ostrzec jakiegoś żołnierza, żeby się uciszył, ale potem już nie robił problemów.

Khadaji uśmiechnął się. Zazwyczaj Bork mówił łagodnym głosem, ale „ostrzeżenie”

często oznaczało pochwycenie ofiary jedną ręką za koszulę i poderwanie z podłogi, by mógł jej wejrzeć prosto w oczy. Khadaji widywał już, jak Bork ładował na drążek ponad dwieście siedemdziesiąt pięć kilo i wykonywał serię dziesięciu podrzuceń. Ponadto ważył dobrze ponad sto dwadzieścia pięć kilogramów i niewiele mu brakowało do dwóch metrów wzrostu. Większość żołnierzy uśmiechała się nerwowo, gdy obok nich przechodził.

– Kończysz o ósmej?

– Tak planowałem – odparł Bork – ale Sleel musiał skoczyć do lekarza i obiecałem, że go zastąpię.

– Sleel jest chory?

– No, coś w tym stylu, sir. – Olbrzym wyglądał niepewnie.

Khadaji nie powiedział ani słowa, ale nie spuszczał z niego wzroku. W końcu Bork pokręcił głową.

– Wie pan, jaki jest Sleel. Myśli, że Bóg stworzył go tylko po to, by mógł pokazać całej galaktyce, jak korzystać z fiuta.

– Złapał kolejnego egzotycznego syfa?

– Nie tym razem. On, eee... Założył się z jedną z dziewczyn, że ją przetrzyma.

Khadaji pokręcił głową.

– Nie dałby rady nawet nawalony „Androidem” aż po czubek głowy. Której dotyczył zakład?

– Miałem nic nie... A niech to szlag. Chodziło o Siostrzyczkę Imadło.

Khadaji wybuchnął śmiechem i raz jeszcze pokręcił głową.

– Serio?

– Tajes. Serio.

– Szkoda, że nie mogłem tego zobaczyć – po godzinie czy dwóch. Co mu dolega? Pęcherz? Wyczerpanie organizmu?

– Siostrzyczka nazwała to... za-palenie-rzyg.

– Zapalenie żył?

– Tajes. Powiedziała, że to podrażnione krwinki. Że żyły są w stanie zapalnym. Żyły w tym, no... w jego fiucie.

– To Siostrzyczka jest lekarzem?

– Twierdzi, że kiedyś była. Ale nawet jeśli to bujda, to chyba widziała wystarczająco dużo przypadków.

Khadaji znów się zaśmiał.

– Na pewno masz rację. Biedny Sleel. Może się czegoś nauczyć.

– Wątpię, szefie. Już gada o rewanżu.

– Daj znać, jak dojdzie co do czego, Bork. Postawię na Siostrzyczkę.

– Tajes! – Olbrzym uśmiechnął się. – Ja też!

* * *

Trzy czwarte stolików w ośmiokątnej sali było już zajętych. Chociaż wczesny ranek stanowił najbardziej niemrawy okres w ciągu dnia, na taboretach siedziało prawie dwustu klientów obojga płci. Niektórzy pili, inni palili lub czerpali przyjemność ze stanu zafundowanego im przez jakieś środki rekreacyjne. Dokładnej godziny nie dało się określić bez pomocy zegarka, gdyż sztuczne oświetlenie sprawiało, że zarówno o północy, jak i w samo południe sala wyglądała identycznie.

Khadaji przyglądał się wnętrzu z sentymentem. Pracował w wielu pubach, ale ten bez wątplenia należał do czołówki. Nietrudno byłoby mu sobie wyobrazić, jak dożywa tu starości, usługując wojskowym, wśród których – jak i zresztą wśród miejscowych – cieszył się dobrą opinią, prowadząc przy tym swoją prostą grę. Pokręcił głową. Nie. Nie ma o czym mówić. To piękna wizja, ale tylko wizja i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. „Nefrytowy Kwiat” to tymczasowy punkt zaczepienia i lepiej trwać przy tej filozofii. Spotkał tu paru dobrych ludzi, ba, nawet całkiem sporo, i czuł, że będzie mu ich brakowało, ale tak chciało przeznaczenie.

Lojtnant Subru wszedł do sali frontowym wejściem i w pośpiechu podreptał do okienka, gdzie sprzedawano narkotyki. Khadaji ruszył w jego stronę i nim Subru zdążył odebrać skręta z nerkowca, już przy nim stał.

– Coś się dzieje, lojt?

Żołnierz potarł skręta o szew wygniecionych spodni mundurowych. Końcówka na krótką chwilę zapłonęła, lecz zaraz potem ogień przeszedł w żar. Subru wsunął skręta do ust, zaciągnął się głęboko aromatycznym dymem i na sekundę zatrzymał go w płucach. Potem dmuchnął i zaczął mówić:

– Miał miejsce poważny atak, Emile. Shambiarze napadli zeszłej nocy na T-plex. Zdjęli ochronę, a potem dorwali dowódcę. – Zaciągnął się ponownie. – Wiesz, mogłem być wśród nich. Gdyby zaatakowali dzień wcześniej, to sam, kurwa, we własnej osobie siedziałbym za biurkiem!

– Dorwali któregoś z buntowników?

– Nie wzięli żadnych jeńców. Słyszałem, że w ataku uczestniczyło dwudziestu pięciu, trzydziestu Shambiarzy uzbrojonych w kradzione parkery i spetsdödy.

– Żołnierze powinni mieć na sobie pancerze klasy drugiej lub trzeciej, Subbie.

Lojt spojrział na Khadajego przez kłęby dymu. Wydawał się już bardziej rozluźniony.

– Nie ma ich tu tyle. Służyłeś w kwatermistrzowskim, więc sam dobrze wiesz, jak działa zaopatrzenie. Kohorta dostaje tylko tyle kombinezonów, ile to konieczne, a dodatkowe zamówienia idą całymi miesiącami. Poza tym pancerz klasy drugiej nie chroni przed pociskami.177, a w klasie trzeciej człowiek ledwie się rusza.

– Z tego, co słyszałem, większość ofiar została postrzelona strzałkami z trucizną, a więc klasa druga...

– Gdzie to słyszałeś? – Pomimo odurzenia narkotykiem, Subru niespodziewanie stał się podejrzliwy.

Ostrożnie, napomniał się Khadaji.

– Prowadzę pub, Subbie. Słyszę tysiące rzeczy. Ludzie chleją i ćpają na umór, a potem plotą co im ślina na język przyniesie.

Subru pokręcił głową.

– Posłuchaj, Emile, wiem, że nikomu tego nie wygadasz, ale kadra robi pod siebie na samą myśl o tych strzałkach! Wielu naszych oberwało tymi gównami ze Spazmem nawet pomimo tego, że nosili pancerz klasy drugiej! Cholera, słyszałem o kilku trafionych, którzy mieli trójkę!

– Bzdura – parsknął Khadaji. Wiedział, że to nieprawda, nie był aż tak głupi, żeby próbować położyć strzałką cel w pancerzu klasy trzeciej.

– Moje informacje pochodzą od wysokich szarż, Emile. A jeśli jeszcze kiedykolwiek usłyszysz, jak któryś z naszych zaczyna pieprzyć na niewłaściwe tematy, bo się schlał jak świnia, to spróbuj zamknąć mu ryj, zanim wdepnie w prawdziwe łajno, dobra? Staremu po prostu marzy się jakiś cel, do którego można by postrzelać. Obojętnie jaki cel, może to być nawet jeden z naszych.

– W porządku, Subbie, postaram się, żeby twoi chłopcy nie wpadli w żadne kłopoty. Niewiele bym skorzystał, gdyby ktoś pomyślał, że to właśnie tutaj gada się za dużo. Zamknięcie lokalu z pewnością mi nie pomoże.

– Dzięki, Emile. Doceniam to.

Khadaji pozostawił wstrząśniętego lojtnanta sam na sam ze skrzemem i ruszył w stronę najbliższego wyjścia. Potrzebował zaczerpnąć świeżego, niezatrutego niczym powietrza. Czasami gra, którą prowadził, nawet jemu wydawała się zbyt zagmatwana. Tak czy inaczej lojtnant Subru, który służył w administracji i miał dostęp do wszelkich informacji związanych z kampanią prowadzoną przeciwko Shambiarzom, wierzył w niemożliwe – w to mianowicie, że rebelianci potrafią wyeliminować strzałkami ze spetsdödów ludzi w pancerzach klasy trzeciej.

Cóż, gra była zagmatwana, ale Khadajemu wiodło się w niej lepiej, niż kiedykolwiek na to liczył.

A do końca zostało już tak niewiele.

PIĘĆ

Najwyraźniej nowoczesna medycyna szybko sobie radzi z zapaleniem żył, pomyślał Khadaji na widok Sleela w pubie. Bramkarz rozglądał się czujnie w poszukiwaniu oznak rodzących się awantur. W „Nefrytowym Kwiecie” panował jednak spokój. Butchowi wyczerpał się zapas środków odurzających średniej mocy i zgodnie z zaleceniami Khadajego, choć niechętnie, zaczął sprzedawać mocniejsze środki za tę samą cenę. Żołnierze rzucili się na okazję jak hieny i wielu z nich tkwiło teraz przy stołach w stanie graniczącym ze snem. Nikt nie rozrabiał po zażyciu uśmierzacza dużego kalibru – kosztowało to więcej energii, niż człowiek był w stanie z siebie wykrzesać.

Gdy tylko Khadaji podszedł do drzwi, Anjue zapoznał go z najnowszymi wieściami.

– Mówili ci już o Pendragonie?

– Nie, pierwsze słyszę. To imię jakiegoś żołnierza?

Bramkarz machnął dłonią.

– To jeden z pierwszych, o ile nie pierwszy, trafiony przez Siły Wyzwoleńcze Shamba. Sześć miesięcy temu!

– No i? – Khadaji wzruszył ramionami.

– Wybudził się! Pierwszy, którego wyleczyli z zatrucia!

– Aha.

– Dobre wieści, no nie?

– Istotnie.

W zamyśleniu wrócił do głównej sali. A więc stało się. Pierwszy żołnierz wyszedł z paraliżu. Próbował przypomnieć sobie tych, których załatwił na samym początku. Wspomnienia nakładały się na siebie, mieszały, trudno było wyłowić z nich pojedynczych mężczyzn czy kobiety. Kilka osób oczywiście zapadło mu w pamięć. Para popijająca vöremhölts z kontrabandy w obrotowej wannie, żołnierz, który zakrył twarz dłońmi i zastygł w tej pozycji na sześć miesięcy, dwie nagie kobiety, które natarły na niego z nożami... Było ich jednakże tak wielu, że nie potrafił ich uporządkować, widział jedynie padające, zamarte w paraliżu ciała. A teraz ci wszyscy ludzie powracali do przerwanego życia.

Nie miał pewności, czy Pendragon go widział. Prawdopodobnie nie – na początku

zachowywał daleko posuniętą ostrożność, czasami nosił maski, czasami strzelał z ukrycia. Bywało jednak inaczej. Zresztą wkrótce całe tuziny wyeliminowanych żołnierzy zaczęły wychodzić z paraliżu, a wielu z nich na pewno widziało jego twarz. Niektórzy nawet wiedzieli, kim był. Gra wkrótce dobiegnie końca. Czekają go trudne chwile i zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zadziała szybko, cały jego wysiłek zostanie zaprzepaszczony.

Zorientował się, że szybciej oddycha, puls również przyspieszył. Przygotowywał się na tę chwilę, ale teraz, gdy już nadeszła, poczuł, jak jego ciało przeszywa fala strachu niczym strumień prądu elektrycznego. Lata ćwiczeń ciała i umysłu natychmiast dały o sobie znać, dzięki czemu zdołał spowolnić puls i oddech, ale odzyskanie równowagi hormonalnej nie było już takie proste. Zwyczajny wysiłek woli okazywał się niewystarczający. Khadaji obiecał sobie, że później uda się do mieszkania i zatopi na kilka minut w medytacji. To powinno pomóc. Do tego, co miało nadejść, potrzebował czystego, sprawnie działającego umysłu.

* * *

Czekało go jeszcze jedno zadanie. Wiedział, że to niebezpieczny, a może nawet głupi krok. Wielka holoprojekcja jeszcze się nie zakończyła – właściwie to dopiero się zaczęła – ale ten jej fragment z wolna dobiegał końca. Khadajim targały sprzeczne uczucia. Z jednej strony czuł lęk – jeśli teraz zawali, nie będzie miał już szans na pomyślne doprowadzenie planu do końca. Z drugiej, jeśli dopisze mu szczęście, sfinalizuje go w wielkim stylu. No i bez wątpienia było to zadanie ostatnie. Jeśli mu się powiedzie, wszystko dobrze się skończy, jeśli zaś poniesie porażkę... Cóż, każdy krok kryje w sobie odrobinę ryzyka, nieprawdaż? Jak to ujął Subru, w każdej chwili może cię rozjechać czołg na ulicy. Życie każdego człowieka przebiega w cieniu śmierci.

Przygotowania były doprawdy nieskomplikowane. Z szuflady biurka Khadaji wyciągnął pojemnik z zapasowymi strzałkami, z ukrytego magazynka notatnik z liczbą ofiar i wszystko to wrzucił do niszcarki. Błysnęło, gdy lasery urządzenia podpaliły paczkę, ale niszcarkę zbudowano po to, by dawała sobie radę z o wiele gorszymi odpadami. Wszelkie dowody znikły bez śladu. Przynajmniej jego kryjówka była teraz czysta.

Wrócił do „Nefrytowego Kwiatu”, gdzie skorzystał z publicznego terminalu komunikacyjnego. Czekając na połączenie, rozglądał się dookoła. Chłonał widoki, odgłosy i zapachy pubu. Bodźce były silne, niemalże krystalicznie czyste – istniała przecież szansa, że doświadcza ich po raz ostatni. Niewiarygodne, jak działa ludzki umysł...

– Biuro befalhavare Crega.

Khadaji skupił całą uwagę na komie.

– Tu Emile Khadaji, właściciel „Nefrytowego Kwiatu”. Chciałbym porozmawiać z befalhavare.

– Proszę poczekać, zaraz przełączę do sub...

– Powoli, drogi panie. Muszę pogadać z samym Starym.

– Befalhavare Creg przebywa w tej chwili na konferencji, nie wolno mu przeszkadzać. Jeśli zechce pan zostawić wiadomość, skontaktujemy się z panem, gdy...

– Słuchaj no, jestem w posiadaniu informacji, które są przeznaczone tylko i wyłącznie dla uszu twojego zwierzchnika. Na pewno nie chcesz być tym, przez kogo nie będzie mógł się z nimi zapoznać!

Żołnierz po drugiej stronie linii milczał. Khadaji wyobrażał sobie, jakie myśli kotłują się teraz w jego głowie. Istniały procedury i stałe rozkazy, które z pewnością musiał wypełniać. Za jakiegokolwiek odstępstwo od reguły mógł zebrać ostro po dupie. Z drugiej strony, jeśli Khadaji – człowiek o pewnym statusie, nie pierwszy lepszy z ulicy – rzeczywiście posiadał poufne informacje, a Stary nie otrzyma ich na czas... Cóż, wtedy bez wątplenia wyrwie komuś jaja i użyje ich do gry w kulki. Bez względu na decyzję, żołnierz tak czy owak ponosił ryzyko. Wszystko zależało teraz od jego sprytu.

Okazało się, że jest bystry.

– Proszę chwilę zaczekać, łączę.

Khadaji uśmiechnął się krzywo do terminalu.

Stary nie należał do ludzi przepadających za kwiecistymi sformułowaniami.

– Czego?

– Befalhavare Creg, tu Emile Khadaji, jestem właścicielem...

– Kojarzę, kim pan jest. Czemu nęka pan mojego adiutanta?

Khadaji znów się uśmiechnął.

– Wiem, kim są przywódcy sił Shamba.

– Niech się pan nie rusza z miejsca. Zaraz wyślę po pana drużynę.

Jasne, pomyślał Khadaji. Nie ulegało wątpliwości, że będą namierzać rozmowę, ale nie tak chciał to rozegrać.

– Nie chciałbym stawać się celem. Sam dotrę do pańskiego biura, ale jeśli plotka się rozniesie, to jestem trupem. Chciałbym, żeby póki co zostało to między nami.

– Ma pan moje słowo – zapewnił Creg.

– No to ruszam.

Ucinając połączenie, Khadaji uśmiechał się szeroko. Stary już pewnie latał jak z pęcherzem, szykując analizatory stresu, sprawdzając sprzęt nagrywający i ściągając do biura środki usmierzające. W sprawach tak kluczowych dowódca dziesięcioletniej jednostki na pewno wykaże się maksymalną ostrożnością i zapobiegliwością. Khadaji nie spodziewał się po nim niczego innego. Był pewien, że zanim zdąży opuścić „Nefrytowy Kwiat”, w miasto wybiegnie przynajmniej z dziesięć drużyn, by przejąć go po drodze.

Pierwsza drużyna odnalazła go po dwóch minutach, wkrótce dołączyła do niej druga. Pięciu mężczyzn i trzy kobiety uformowało wokół niego zwarty kordon, który odprowadził

go do biura befalhavare, czujnie rozglądając się za wszelkimi oznakami ewentualnych ataków Shambiarzy. Khadaji pozwolił sobie na krótki wybuch śmiechu.

Ochrona biura naczelnego dowódcy w istocie robiła wrażenie. Budynku strzegło pięćdziesięciu żołnierzy w pancerzach klasy trzeciej oraz obrotowe działko zamontowane na poduszkowcu. Wszelkie szturmy rebeliantów zostałyby odparte. Wchodząc do gmachu z utwardzanej pianki, Khadaji zachował obojętny wyraz twarzy. Na szczęście rebelianci nie musieli szturmować tego miejsca...

W środku Sprawdzone, czy nie ma przy sobie broni. Opróżnił kieszenie i całą ich zawartość – paczkę skrętów oraz garść drobnych – przekazał lojtowi, który dowodził ochroną. Następnie dokładnie go obszukano, a potem przeprowadzono przez fluoproj, by zyskać pewność, że nie schował niczego pod ubraniem czy w zagłębieniach ciała.

– Czyste – oznajmił technik, spoglądając na proj.

Lojt oddał Khadajemu skręty i pieniądze. Ten wysunął paczkę w kierunku oficera.

– Ma pan ochotę na dymka?

– Nie, proszę pana. Nie na służbie.

– To niech sobie pan weźmie na później.

Oficer zawahał się, ale pokręcił głową.

– Lepiej nie. Proszę już wejść.

W środku zapewniono Khadajemu przynajmniej pozory prywatności. Creg siedział za biurkiem, a poza nimi dwoma w pokoju nie było nikogo.

– Proszę usiąść – rozkazał befalhavare.

Khadaji pokręcił głową.

– W pierwszej kolejności chciałbym się upewnić, że dotrę do „Nefrytowego Kwiatu” żywy – powiedział. – Chcę, by wyznaczył pan drużynę, która mnie odprowadzi. Ściągnąłem na siebie wystarczająco dużo uwagi, idąc przez miasto ze zbrojną eskortą.

– Załatwione.

– Nie, sir. Chcę, żeby chwycił pan za kom i przekazał temu miłemu lojtowi za drzwiami, że gdy wyjdę, ma mnie zaprowadzić do „Kwiatu” bez żadnych przystanków po drodze. Proszę mu powiedzieć, że każdy, kto się do mnie zbliży, to prawdopodobnie Shambiarz i bez względu na to, co będzie mówić i jak wyglądać, trzeba go rozwalić.

Głównodowodzący sił wojskowych na Greaves wyglądał na poirytowanego.

– Panie Khadaji, ma pan ważne informacje, a znajdujemy się teraz w strefie chronionej przez wojsko. Wydobyć z pana wszystkiego, co zechcę, zajmie mi pięć minut!

– Zgadza się – odparł Khadaji. Tylko ostrożnie. – Ale przyszedłem tutaj sam, z własnej i nieprzymuszonej woli. Powiem panu wszystko, co wiem, a pan z łatwością te informacje zweryfikuje. Chcę tylko mieć pewność, że przeżyję to zamieszanie. Czy to aż tak nierozsądna prośba?

Befalhavare Creg rozważał w myślach wszystkie opcje. Khadaji widział moment, gdy

podjął decyzję.

– W porządku, panie Khadaji. – Wyciągnął dłoń w kierunku komu stojącego na biurku i dotknął tabliczki dotykowej. – Temms, gdy ten człowiek wyjdzie, masz go odeskortować tam, skąd przyszedł – powiedział cicho. – Nikomu nie wolno się do niego zbliżać. Każdego, kto spróbuje, należy uznać za zabójcę. Każdego, łącznie z twoją matką. Kapujesz?

– Sir!

Stary uniósł wzrok. Miał twarde rysy twarzy i krótką, wojskową fryzurę. Khadaji ocenił, że przekroczył już pięćdziesiątkę i przypuszczalnie jest nieprzejeźdanym służbistą.

– Czy ktoś przysłuchuje się tej rozmowie, befalhavare?

– Dałem ci przecież słowo, nie?

– Ktoś nagrywa?

– Tak, ja. Dobra, miałeś mi coś przekazać.

Khadaji skinął. Wyciągnął paczkę skrętów z kieszeni.

– Nie będzie panu przeszkadzało, jak sobie zapalę?

Creg pokręcił głową.

– Nie, jeśli przejdzie pan wreszcie do sedna.

Khadaji uśmiechnął się. Potarł końcówką skręta o nogawkę i wsunął go między wargi, ale się nie zaciągnął.

– To ja – powiedział.

– Słucham?

– To ja. Ja jestem dowódcą Sił Wyzwoleńczych Shamba. Tak właściwie to jestem całą armią.

Oczy Crega najpierw rozwarły się szeroko, a potem niebezpiecznie zwężyły.

– Nie przepadam za dowcipami, panie...

Khadaji nabrał głęboko tchu, przesunął skręta na środek ust i dmuchnął mocno. W środku cieniutkiej bibułki znajdowała się papierowa tubka, a w niej pojedyncza strzałka wykonana z przezroczystego, niewykrywalnego plastiku. Pocisk wystrzelił z rozżarzonego czubka skręta, przemknął nad biurkiem i wbił się prosto w gardło befalhavare. Creg zdołał poderwać kolano i uderzyć nim w mebel, ale wtedy jego ciałem zawładnęła trucizna. Sparaliżowany oficer padł na blat.

Numer dwa tysiące trzysta osiemdziesiąt osiem, pomyślał Khadaji. Tego już jednak nie zapiszę.

Wstał, podszedł do drzwi, wyszedł na zewnątrz i dokładnie je za sobą zamknął. Lojtnant wyglądał na poruszonego.

– No, czas na nas – rzucił Khadaji.

– Nie zabrało wam to wiele czasu.

Wzruszył ramionami.

– A kim my jesteśmy, by kwestionować decyzje głównodowodzącego?

– Powiniennem do niego zajrzeć...

– Dałbym sobie z tym spokój. Powiedział mi, że potrzebuje chwili, by się zastanowić nad tym, co usłyszał. Chyba dodał, żeby nie łączyć żadnych rozmów z wyjątkiem tych wagi planetarnej.

Lojt pokiwał głową.

– Dobra. Tędy.

Dotarcie do „Nefrytowego Kwiatu” trwało jakieś pięć minut, a musiało minąć około dwudziestu czy trzydziestu, nim ktoś na serio spróbuje zakłócić spokój befalhavare. Potem należało się spodziewać kilku minut zamieszania, nim kolejni oficerowie w łańcuchu dowodzenia pozbierają się na tyle, by sprawdzić nagranie i dojść do tego, co właściwie zaszło. Wreszcie potrzeba było jeszcze kilku minut, by zebrać żołnierzy do szturm na pub. Khadaji liczył więc, że została mu jakaś godzina, przynajmniej godzina. Mnóstwo czasu.

Po dotarciu do „Kwiatu” odnalazł Sleela.

– Wyproś wszystkich – rzucił krótko. – Zamykamy.

– Co?

– Zamykamy „Nefrytowy Kwiat”. Powiedz Anjue, by zaczął rozganiać żołnierzy w kolejce. Mamy piętnaście minut na opróżnienie całego lokalu.

– Ale... Ale...

– Po prostu zrób, co każę – powiedział dobitnie Khadaji i ruszył w kierunku okienka, z którego wydawano narkotyki, świadom, że Sleel nie spuszcza z niego oczu. Załomotał pięścią w szybę ze skondensowanego kryształu, przyciągając uwagę Butcha.

– Co się dzieje, szefie?

– Otwieraj, Butch.

Zamki zgrzytnęły i grube drzwi z nierdzewnej stali otworzyły się szeroko. Główny barman „Kwiatu” stanął w progu.

– Coś się dzieje?

– Idź pomóż Sleelowi. Zamykamy na chwilę interes. Chcę, by wszyscy opuścili lokal.

– Co jest grane?

– Nie twoje zmartwienie, Butch. Za kilka chwil ktoś zacznie o mnie wypytywać. Powiedz mu, gdzie jestem.

Z tymi słowami wszedł do dragerii i chwycił za drzwi, chcąc je zatrzasać.

– Ale o co biega, szefie? Wdepnął pan w jakieś gównno? Możemy ze Sleelem dać im popalić, jeśli...

Khadaji uśmiechnął się.

– Dzięki, Butch. Doceniam to, ale po prostu zrób to, o co cię proszę. W ten sposób najbardziej mi pomożesz.

Zatrzasał drzwi i podszedł do okienka. Stojący po drugiej stronie Butch i Sleel wciąż się na niego gapili. Zorientował się też, że zanim przełączył okno na tryb matowy, zauważyło go

przynajmniej pół tuzina żołnierzy. Kryształ powoli przeszedł w czerń.

Pozostawiony sam sobie, nabrał głęboko tchu i powoli uklęknął na piętach w pozycji zwanej *skiza*. Miał przynajmniej trzy kwadranse, mnóstwo czasu na krótką medytację.

Wyciszenie umysłu przychodziło mu jednak z trudem. Minęło już ponad dziesięć lat, odkąd opanował pierwsze techniki uspokajające, z których dotychczas korzystał. Z czasem stały się dla niego niemalże odruchem, a kontrolował je prawie perfekcyjnie. *Zazen, kujikiri, throndu, mantra, mandala* – znał wszystkie sposoby na uwięzienie i okiełznanie małpki zwanej umysłem. Tym razem jednak małpka wymykała się jego kontroli. Co więcej, miała do towarzystwa większego, agresywniejszego kuzyna, potwora, który spał w głębokiej, ciemnej jamie gdzieś na skraju podświadomości. Nerwowa paplanina przeznaczenia zbudziła kudłatą bestię. *Śmierć?* – zapytała, zwiężając czerwone ślepia. *Nie. Będę walczył ze Śmiercią i zabiję ją! Nie jestem gotów, by umrzeć. Nigdy.*

Khadaji westchnął. Zbyt wiele lat, zbyt wiele przygotowań zbiegało się w tym momencie, zbyt wiele się działo, by mógł odzyskać spokój ducha. Zamiast się wyciszyć, umysł był nienaturalnie ożywiony, przepełniony wspomnieniami, myślami, pragnieniami. Khadaji widział to chłodno, racjonalnie, ale w jego głowie szalała burza, adrenalina huczała mu we krwi niczym fale przyboju. Wspominał.

Wszystko pamiętał, co do szczegółu.

SZEŚĆ

Kobieta eksplodowała deszczem krwi i strzępów ciała, szatkowana kulami z jego karabinka. Poruszyło go oszołomienie przez moment widoczne na jej twarzy. Nie sądziła, że można ją zranić, nie wiedziała, że może umrzeć. Gdy padała na ziemię, jej oczy wciąż wyrażały zdumienie. Z całych setek ludzi, którzy przed chwilą puścili się szarżą przez pole skoszonego żyta, tylko jej twarz ujrzał wyraźnie. Z innych, widocznych w tle, odczytał jednak podobne emocje – to nie tak, zdawały się krzyżeć, to wszystko miało być inaczej!

– Khadaji, przesun drużynę w lewo o trzysta stopni! Nadchodzi kolejna fala!

– Jasper, Wilks, Reno, lojt kazał pokryć trzysta!

– Emile, czemu oni ciągle nacierają? – Reno niemalże szlochał. – Kurwa, przecież nawet broni nie mają, padają jak muchy! Pojebało ich, czy co?

– Pieprzeni fanatycy! – rzucił Jasper. – Myślę, że nigdy nie umrą. Ich przywódca wbił im do głów, że są nieśmiertelni. No, to pokażemy tym nieszczęsnym idiotom...

Trzymał karabinek na wysokości biodra i prowadził go raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby podlewał trawę węzłem ogrodowym. W odległości jakichś trzystu metrów czterech lub pięciu nadbiegających padło niczym ścięte kłosa i znieruchomiało na polu, które kiedyś rodziło inne owoce.

– Głupie pojeby, głupie pojeby, głupie, głupie...! – wrzeszczał, nie ściągając palca ze spustu. Powietrze płonęło, gdy wraz z innymi drużynami zasypywał nadciągających przeciwników seriami pocisków wybuchowych. Padało ich tak wielu, że miejscami trupy tworzyły dwu-, trzymetrowe sterty, lecz już pieli się na nie kolejni, nadal żywi, nie przerywając natarcia. Tych również trafiały kule, a stosy rosły i rosły.

– Dlaczego nie przestaną? – płakał Reno, celując w morze trupów, raz za razem naciskając spust. – Dlaczego nie przestaną? Dlaczego?

Khadaji czuł się szary, zupełnie jak gdyby wysypano na niego beczkę prochu, a potem wtarto mu go w oczy, nos, usta i mięśnie. Ręce bolały go od dźwigania broni, w nozdrza kłuł zapach elektrochemicznych ładunków miotających, huk eksplozji zlewał się w nieprzerwaną symfonię, słyszalną nawet pomimo zatyczek do uszu. Ale nadal strzelał. Strzelał. Strzelał...

...eksplodowała deszczem krwi i strzępów ciała...

...przesuń drużynę w lewo o trzysta stopni!...

...pieprzeni fanatycy!...

...głupie pojeby, głupie, głupie!...

Khadaji odwrócił wzrok od scen rzezi i przypadł do ziemi. Siedząc w kukki, wyrzucił pusty magazynek, wyrwał zza pasa pełny i załadował go z metalicznym kliknięciem. Czujniki broni odnotowały obecność nowego magazynka. Rozległo się ciche jęknięcie, z którym pierwsza kula wsunęła się do komory. Czuł, jak gdyby oblano go płynnym ołowiem. Każdy najdrobniejszy nawet gest sprawiał mu trudność, wyprostowanie się i odwrócenie kosztowało go tyle, co dziesięciokilometrowy bieg. Poruszał się jak w zwolnionym tempie, jak człowiek zanurzony po szyję w gęstym żelu. Wycelował broń ku nacierającym – nie mierzył w nikogo konkretnego, nie było takiej potrzeby – i pociągnął za spust.

Karabinek parkera zawibrował mu w dłoniach, śląc serię pocisków wybuchowych, które wykrawały własny udział w rzezi. Nagle odniósł wrażenie, że urodził się w tym obcym świecie, że spędził tu całe życie, strzelając, przeładowując, strzelając, przeładowując i strzelając, że z pewnością tu dożyje starości i umrze. Jego zegarek musiał się zatrzymać, pokazywał, że upłynęła zaledwie godzina od natarcia pierwszej fali fanatyków – tak, Jasper miał rację – fanatyków, którzy parli tysiącami ku umocnionym konstrukcjom z pianki. Tylko godzina? Nigdy dotąd nie strzelał tak długo. Nie pamiętał dokładnie, kiedy, ale mniej więcej w połowie masakry robot zaopatrzeniowy dostarczył mu nową broń. Cały tuzin tych anodyzowanych puszek z aluminium uwijał się wzdłuż pozycji strzeleckich, zostawiając nowe pasy amunicji i zamieniając zużyta broń, by siła ognia nie osłabła ani na chwilę.

A tamci wciąż nacierali. Musiały ich być miliony, nigdy dotąd nie widział tyle ludzi w jednym miejscu, wszystkich ogarniętych tą samą ideą, działających dla tej samej sprawy. Nie mieli nawet broni! Wszędzie zalegały stosy jeszcze ciepłych trupów, przynajmniej dwieście, trzysta tysięcy ciał, a kolejni atakujący wciąż wbiegali w zasięg zabójczego ostrzału uzbrojonej po zęby kohorty.

Dlaczego? Dlaczego brnęli ku pewnej śmierci, nie wahając się nawet przez chwilę?

Suchy szcęk zamka oznajmił mu, że znów wystrzelał całą amunicję. Wyuczonym odruchem pochylił się i przeładował. Mechanizm karabinka odpowiedział cichym jękiem, co oznaczało, że broń jest gotowa do użycia.

Dlaczego zabijamy tych ludzi?

Khadaji spojrział na swojego parkera. Lufa była gorąca, unosiły się z niej i rozplływały w zimnym powietrzu cienkie języki dymu. Nagle broń wydała mu się czymś obcym, dziwnym instrumentem, którego funkcji nie potrafił pojąć. Na Maro panowała standardowa grawitacja, atmosfera zawierała wystarczająco dużo tlenu, ale to nie był jego świat. Jaskrawe, żółte słońce grzało mocniej od jego słońca, zapachy różniły się od tych z San Yubi. Przywieziono tu dziesięć tysięcy elitarnych żołnierzy Konfederacji, by mogli marnować czas i amunicję na strzeleckim treningu.

Nie. Przecież ci ludzie to nie tarcze, to prawdziwe, czujące istoty, które śmieją się, płaczą, jedzą i pieprzą. A on ich mordował. W imię jakiegokolwiek boga, który kiedykolwiek istniał – dlaczego? Co usprawiedliwiało taką akcję? Co oni zrobili, by zasłużyć na śmierć? Mordowano ich, bo sprzeciwili się Konfederacji? Bo Konfederacja zażyczyła sobie porządku na planecie? Przecież to szaleństwo!

– Khadaji, co jest grane?! Giwera ci się zacięła?

Głos dowódcy centplexu, lojtnanta Hogana, zaryczał ze słuchawki prosto do jego lewego ucha.

– Zacięła? – Słowo to wydało mu się równie pozbawione znaczenia, jak ów kawał martwego plastiku, kryształu i metalu, który trzymał w ręku.

Lojt nie zrozumiał.

– Wysłałam robota. Wytrzymaj minutę.

Khadaji nagle zdał sobie sprawę, że oddycha.

Przytłumiony łoskot ognia ciągłego gdzieś odpłynął, przestał mieć znaczenie, pokrzykiwania żołnierzy ucichły, nie słyszał wrzasków umierających, rejestrował jedynie własny oddech. Wciągał powietrze i wypuszczał je, nieco ochryple, ale równomiernie. Serce biło mu powoli, czuł delikatne pulsowanie pod skórą. Czuł się, jakby otulono go grubym kocem, było mu ciepło i wygodnie, był sam. Wstał powoli i odwrócił się jeszcze wolniej, by przyjrzeć się morzu świeżych i przyszłych trupów.

Dlaczego?

Bo tak.

Nagle niewidzialny koc znikł. Wszystkie dźwięki, zapachy i smaki z impetem powróciły. Smród śmierci i pocisków wybuchowych, wrzaski umierających, krew... W jednej chwili wszystkie te bodźce eksplodowały. Wiedział! Zrozumiał, dlaczego! Nie potrafił tego wyrazić, nie znał właściwych słów, ale Uświadomienie wyłoniło się z wnętrza jego jestestwa. Nie mógł mu niczego zarzucić. Niczego! Nie było dobre ani moralne, ale przez ten jeden drobny, nieskończenie krótki moment poznał je i zrozumiał. Okazało się o wiele potężniejsze od jakiegokolwiek łykniętego w życiu psychodelika, o wiele silniejsze niż wszystko, czego doznał i co czuł. Emile Antoon Khadaji nagle, bez żadnego logicznego powodu, pojął dokładnie, kim jest i gdzie znajduje się jego miejsce we wszechświecie. Wiedząc zaś, kim jest, zrozumiał również, co ma uczynić.

Wyszczrzył zęby i położył dłoń na najwyższym klocu pianki, a potem przesadził go jednym susem i popędził w kierunku nadszarpniętego tłumu. Słońce otuliło go ciepłem, zapachy naraz stały się piękne.

– Buddo! Emile, co ty, do kurwy nędzy, wyprawiasz?!

– Khadaji, wracaj natychmiast!

– Wstrzymać ogień, bo go jeszcze traficie!

– We łbie mu się pomieszało!

W biegu wyrwał słuchawkę z ucha i odrzucił ją daleko, a wraz z nią wszystkie głosy. Nad jego głową przemykały z dzikim wyciem pociski wybuchowe, ale to już nie miało znaczenia. Fakt, czy zostanie trafiony, czy nie, nagle przestał się liczyć, w ogólnym planie wszechświata był pozbawiony znaczenia. Khadaji wiedział, że stanie się to, co ma się stać.

Potknął się i runął na ziemię, gdy jakiś pocisk otarł się o jego lewy but, zdzierając z niego obcas. Udało mu się w ostatniej chwili przekręcić, by paść na ramię, przetoczył się, poderwał i ruszył dalej. Z oderwanym obcasem biegł niepewnie, znów o mało co nie upadł, ale dalej pędził przed siebie. Od linii ognia dzieliło go już pięćdziesiąt metrów, był coraz bliżej pierwszych martwych. Jeszcze kolejnych pięćdziesiąt metrów...

Jakieś ciało tuż obok dostało pociskiem. Oderwana siłą eksplozji ręka zatoczyła łuk w powietrzu i odbiła się od piersi Khadajego, ale on nawet nie zwolnił. Widział już twarze atakujących, puste, przypominające oblicza plastikowych lalek. Nie było na nich ani strachu, ani żadnych innych emocji, gdy biegli do celu. Nie mieli szans do niego dotrzeć, nawet się nie łudził. Dowiadywali się tego z chwilą własnej śmierci; dopiero wtedy na ich pustych twarzach pojawiała się nagle zdumienie.

Minął pierwszy szereg, zignorowali go. Wyglądało na to, że mundur Konfederacji nie robi im żadnej różnicy, zupełnie jakby nie potrafili skupić uwagi na pojedynczym człowieku. Mimo to próbował go ściągnąć, nie zatrzymując się.

Gdy miał już na sobie tylko lekki kombinezon, zwolnił wreszcie do marszu. Szedł, a obok niego w przeciwnym kierunku przebiegały dziesiątki, setki, tysiące. Rozstępowali się, jakby wiedzieli, że oto idzie człowiek obciążony misją, jakby jakimś cudem ujrzeli, że nagle doznał olśnienia.

A on parł naprzód, niepewny, dokąd dojdzie i co dokładnie zrobi. Rozumiał tylko, że musi działać. Nie miał pieniędzy, nie znał sposobu, by wydostać się z tej planety, nie wiedział, gdzie zamieszka. Jedyne życie, które znał, było życie w wojsku, ale to właśnie zakończył. Mimo to nie przejmował się. Nie dręczyły go żadne troski ani problemy zbyt poważne, by nie móc ich rozwiązać. Odpowiedzi zaś niósł w sobie, musiał je tylko odnaleźć.

Niósł w sobie gotowy plan.

SIEDEM

Wspomnienie wciąż było żywe, gdy Khadaji włóczył się po ulicach Notzeerath. Nie dalej jak wczoraj siedemset pięćdziesiąt tysięcy ludzi obojga płci oddało życie w krwawej masakrze, lecz miasto nie dawało tego po sobie poznać. Jego mieszkańcy nie czuli lęku przed Nicością, rozumiał to teraz doskonale. Wierzyli w odnowę duszy, w odrodzenie po upływie każdego cyklu. Najwyższego kapłana uważali za boga i byli gotowi popędzić dla niego prosto w paszczę śmierci. Wielu z nich zresztą właśnie to zrobiło, a jeszcze więcej czekało na swoją kolej. Khadajemu, który pozostawał pod wpływem Uświadomienia, wydawało się to oczywiste. Wiedział, że pozna wszelkie odpowiedzi, których poznać zapragnie – po raz pierwszy w życiu kierował się tylko i wyłącznie intuicją. Nie martwił się, że wojsko będzie go szukać. Z pewnością uznali go za martwego – skoro wszedł prosto w tłum fanatyków, to ani chybi rozszarpali go na strzępy. Wątpił też, by chcieli szukać jego zwłok wśród zwałowisk trupów.

Znalazł się na zakręcie, obmywany zmysłowym duchem miasta. Sześciokołowe pojazdy z silnikami napędzanymi alkoholem przetaczały się po ulicach na twardych oponach z plastiku, ludzie kupowali owoce i warzywa na straganach pod gołym niebem, plastokreta pod bosymi stopami wibrowała lekko od dudnienia publicznego emitora wiadomości. Buty wyrzucił już dawno temu.

– Zgubiłeś drogę, pielgrzymie? – usłyszał za plecami.

Odwrócił się i ujrzał postać spowitą od stóp do głów w zwoje szarego płótna. Na jego tle wyróżniały się jedynie oczy, zielone i czyste oraz potężne, pocięte grubymi żyłami dłonie z krótkimi palcami. Dłonie twardego mężczyzny.

Pewnie mu gorąco w tym kokonie, pomyślał Khadaji.

– Czy się zgubiłem? – zapytał z uśmiechem. – Nie. Nie wiem, gdzie jestem, ale to nie oznacza, że się zgubiłem.

Mężczyzna w szacie roześmiał się.

– Oto odpowiedź rodem z filozofii zen, pielgrzymie, wprost idealna dla świętego męża. Od dawna nim jesteś?

– Nie jestem świętym mężem. Jeszcze kilka dni temu byłem żołnierzem. Coś... coś się

stało. Ja... coś ujrzałem. Poczułem. Nie wiem, jak, ale wiem, że to się stało. To była wizja.

Nieznajomy pokiwał głową.

– Aha. Zostałeś pobłogosławiony, pielgrzymie. *Relampago*.

Khadaji nie znał tego słowa, ale był pewien, że ten człowiek już za chwilę wyjaśni jego znaczenie. I tak się stało.

– Kosmiczne Olsnienie, Błyskawica Istnienia, Boski Palec – *Relampago*. Są ludzie, którzy całe życie ciężko pracują w nadziei, że kiedyś doświadczą *Relampago*, bez końca umęczając ciała modlitwami, czuwaniem i skomplikowanymi rytuałami.

– Nie jestem pewien, czy akurat to mi się przytrafiło...

– Och tak, jak najbardziej, pielgrzymie. To widać. Emanujesz energią niczym na fotografii kirlianowskiej. Dostrzegłaby to każda osoba o wrażliwości nieco większej od przeciętnej. Nawet ślepiec wyczułby to porami skóry.

Wysoki mężczyzna w szarych szatach pokręcił głową. Khadaji zrozumiał, że się przy tym uśmiechnął, choć nie widział jego twarzy.

– Jestem obecnym Penem – rzekł nieznajomy. – A materia, którą się okrywam, wyróżnia mnie jako członka Świętego Zakonu Rodzeństwa Całunu.

– Jesteś kapłanem?

– Prawie. To nieco bardziej skomplikowane, ale od biedy takie określenie też się nada.

Khadaji zamyślił się na chwilę.

– Powiedziałeś, że jesteś obecnym Penem. To imię czy tytuł?

– Imię. Penowie odchodzą i przychodzą, a tak się złożyło, że w tej chwili akurat mnie przyszło nim być. Gdy odejdę, ktoś inny przybierze to imię i będzie kontynuował nasze dzieło. Zawsze istnieje tylko jeden Pen.

Khadaji zrozumiał. Jeszcze tydzień temu zabrzmiałoby to dziwnie, ale teraz było absolutnie logiczne. Nie wiedział, skąd to przekonanie – po prostu je miał.

– W czym mogę ci pomóc, Penie?

Pen uniósł ręce, kierując dłonie ku niebu.

– Nie ty mnie będziesz pomagał, ale ja tobie, pielgrzymie.

– Nazywam się Khadaji. Emile Khadaji.

– Aha. Cóż, Emile Khadaji, zajmuję się wieloma rzeczami, ale jestem również nauczycielem. Czy możesz mi opowiedzieć o swojej wizji?

Khadaji uśmiechnął się.

– Nie potrafię opisać tego uczucia słowami. Ujmę to najtrafniej, jeśli powiem, że nagle usłyszałem, ujrzałem, dotknąłem i powąchałem poczucia... słuszności. Poczucia porządku. Zupełnie jakby odsłonięto przede mną zasady, wedle których powinien działać wszechświat.

– Aha. A w jakich okolicznościach doznałeś tej wizji?

Khadaji opowiedział o masakrze, nie pomijając żadnych szczegółów. Gdy skończył, postać w szarej szacie kiwnęła głową.

– Tak. Tak właśnie objawia się *Relampago*. Czy zechciałbyś posłuchać o psychologicznej i fizjologicznej stronie tego doświadczenia? Chciałbyś je poznać z naukowego punktu widzenia?

Nim Khadaji zdążył się odezwać, Pen podjął:

– Och, wybacz. Całkiem się zapomniałem. Potrzeba ci przecież nowych ubrań i czegoś do jedzenia. Kiedy po raz ostatni jadłeś?

Khadaji zaczął szperać w pamięci.

– Jakies trzy dni temu – odpowiedział. – Przed atakiem. Piłem wodę z miejskich fontann, ale jedzenie nie wydawało mi się przez cały ten czas istotne.

Płótno zakrywające twarz Pena zmieniło nieco położenie. Mężczyzna bez wątpienia znów się uśmiechał.

– A zatem chodź. Znajdziemy jakieś ubranie i wrzucimy coś na ząb, a potem porozmawiamy.

Chociaż fakt, że Pen chce się nim zająć, wydawał się czymś naturalnym, Khadaji poczuł, jak ogarnia go zdumienie. Nim jednak zdążył zadać pytanie, Pen pospieszył z odpowiedzią:

– Gdy ktoś jest gotowy na podjęcie nauki, pojawia się nauczyciel. To samo dotyczy uczniów – gdy pojawia się ktoś ze wszech miar wart uwagi, nauczyciel o tym wie. Dysk obraca się, a my wirujemy wraz z nim, każdy z nas w przypisanym sobie miejscu. To nie przypadek, lecz obroty Dysku sprawiły, że nasze drogi się dziś zeszły, Emile Khadaji. Póki co, istniejemy dla siebie.

Khadaji pokiwał głową. Nigdy dotąd nie zaprzętał sobie myśli mistycyzmem. Został wychowany przez rodziców ateistów i ukształtowany przez pragmatyczne wojsko, ale z drugiej strony nie był już tym samym człowiekiem co kiedyś. Ruszył za barczystym nieznajomym, ponieważ w osobliwy, niewytłumaczalny sposób zrozmiał jego słowa.

* * *

Siedzieli przed restauracyjką w cieniu szerokich liści jakiegoś drzewa strączkowego. Khadaji miał na sobie luźny ortoskafander, niemalże tak szary jak szata Pena, i buty uszyte na miarę. Zajadał powoli z talerza, na którym piętrzyły się ostro przyprawione warzywa i popijał splashem. Ledwie krok dalej toczyło się ruchliwe życie ulicy. Przyglądał się mu i słuchał, nie przerywając jedzenia.

Pen mówił. Nauczał.

– Psychologia doświadczeń religijnych to dziedzina doskonale zbadana i udokumentowana. Ku szczytowi wiedzy mnóstwo dróg, jak choćby uczuciowe ubóstwo lub, wręcz przeciwnie, bogactwo. Częstą przyczyną doświadczenia religijnego jest zatem emocjonalna reakcja na bodźce lub ich brak. Kolejna przyczyna to oczywiście zażywanie narkotyków, od substancji psychoaktywnych po bardziej codzienne depresanty. Następnie

elektropopia, organiczne uszkodzenie mózgu, brak lub nadmiar tlenu, a nawet seks. Czym więc jest doświadczenie religijne w definicji współczesnej nauki? Niczym więcej ponad subiektywny stan mentalny, zbliżony w swej naturze do hipnozy. To figiel, który umysł płała dla własnej uciechy. Iluzja niemająca nic wspólnego z rzeczywistością.

Khadaji wsunął do ust kolejny kęs potrawy, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Pen przechylił nieco głowę.

– Nic z tego, co właśnie powiedziałem, nie ma dla ciebie sensu, co?

Khadaji wzruszył ramionami.

– Wiem, co poczułem. I słyszę to, co mówisz. Rozumiem to tu – postukał się palcem po głowie – ale nijak się to ma do tego, jak czuję to tu – wskazał na brzuch.

– Jesteś pewien, że się nie mylisz?

Khadaji pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział Pen – bo ja też. Niestety, nauka, pomimo wszystkich tych błogosławieństw, jakie nam przynosi, czasami okazuje się rozpaczliwie krótkowzroczna. To produkt małych mózdków, w pewnych przypadkach zbyt nasiąknięty liczbami, równaniami i ograniczeniami. Dzisiejszy mistycyzm stanie się nauką przyszłości.

Khadaji pociągnął łyk splasha, ale lekki koktajl alkoholowy okazywał się mało skuteczny w starciu z ostrymi przyprawami.

– Opowiedziałeś mi o wizji – ciągnął Pen. – Przez ułamek sekundy widziałeś obracający się Dysk, ujrzaleś jego ogrom, jego słusność. Dostrzegłeś też wady i wypaczenia.

– Tak – westchnął Khadaji. – Nie tyle dostrzegłem, co wyczułem. Wszystko było tam poukładane, słuszne, właściwe, ale odkryłem, że jest tam również... Że jest tam również coś niesłusznego. Coś złego. Coś o człowieku.

– Duży obraz powstaje dzięki wielu małym wycinkom. Można go obejrzeć z oddali i uzyskać pewne wrażenie, ale nie pozna się go dogłębnie, póki nie zbada się z bliska wszystkich drobnych elementów. Studiowanie go zabierze sporo czasu i zaprowadzi cię w wiele miejsc. Mogę cię poprowadzić jedynie przez część tej drogi. Pozwolisz mi pokazać to, co potrafię?

Khadaji wiedział, że wszystko, co się właśnie dzieje, jest częścią tego, co ma się zdarzyć. Przepęniało go poczucie misji, poczucie celu tak silne, że nie potrafił mu się oprzeć. Musiał mu ulec.

Kiwnął głową.

– Tak.

* * *

Za budynkiem, w którym mieszkał Pen, znajdował się płaski plac pokryty gęstą, krótko przystrzyżoną trawą. Khadaji czuł, jak żdźbła uginają się lekko pod jego stopami niczym

pluszowy dywan. Odwrócił się w stronę Pena, który przystanął dwa metry za nim.

– Musisz nauczyć się nad sobą panować, by zacząć wywierać wpływ na innych – zaczął nauczyciel. – Kontrola nad własnym ciałem jest najłatwiejsza, ale trzeba ją doprowadzić do perfekcji. Zostałeś wyszkolony na żołnierza, potrafisz korzystać z broni. Jak rozumiem, znasz również techniki walki wręcz?

– Tylko zaczepne – odparł Khadaji. – Znam wojskową odmianę boksu, gdzie korzysta się z rąk i nóg.

– Dobrze. Zaatakuj mnie.

Khadaji zawahał się. Widząc jedynie dłonie i oczy Pena, nie potrafił dokładnie oszacować jego wieku, ale ten tajemniczy mężczyzna z pewnością mógłby być dla niego ojcem, a może nawet dziadkiem.

– W moim krwiobiegu wciąż znajdują się bakterie wzmacniające – powiedział. – Przez najbliższych sześć miesięcy, nim kolonie wyginą, będę znacznie szybszy od jakiegokolwiek człowieka pozbawionego takiego wzmocnienia.

– To nie ma znaczenia. Atakuj.

Khadaji przybrał odpowiednią postawę – lewa stopa wysunięta, lewa dłoń uniesiona wysoko, prawa niżej, palce rozprostowane, sztywne, kciuki mocno zwinięte. Powoli ruszył naprzód, szeroko rozstawiając nogi dla lepszej równowagi. Trenował tę technikę od sześciu lat, był młody, silny i miał sporo wprawy. Nie chciał wyrządzić Penowi krzywdy, więc postanowił przypaść do niego, wymierzyć mu kilka niegroźnych klapsów i szybko odskoczyć. Skupił się na całej jego sylwetce i narzucił sobie regularny rytm oddychania, by niczym nie zdradzić swoich zamiarów.

Pen stał nieruchomo. Wydawał się odprężony, jego ręce zwisały luźno.

Khadaji wyskoczył z nienacką, poruszając się półtora raza szybciej od zwykłego człowieka i wymierzył cios wyprostowanymi palcami prosto w splot słoneczny przeciwnika, szybki, ale lekki.

Pen obrócił się, bez trudu złapał nadgarstek Khadajego między kciuk a palec wskazujący i wykonał coś na kształt podwójnego kroku tanecznego zakończonego piruetem. Khadaji poczuł, że traci oparcie pod nogami. Zdołał okręcić się w powietrzu, by złagodzić upadek, ale i tak wyrznął w ziemię z większą siłą niż planował. Jego zęby uderzyły o siebie z trzaskiem. Poderwał się i znów stanął twarzą w twarz z Penem.

Ten zaś, tak jak przed chwilą, wydawał się zupełnie niewzruszony starciem.

Khadaji zastanowił się, czy nie wykonać rzutu lub jakiejś innej techniki niezwiązanej z boksem, a rodem z zapasów. Dobra. Zafunduje facetowi jakiś wariant judo, jujitsu czy aikido. W porządku. Jeśli tylko odpowiednio rozłoży ciężar ciała i wykorzysta siłę mięśni, uniknie kolejnego upadku.

Przybliżył się i kopnął Pena w pachwinę, szybko, ale nadal lekko, a potem chwycił go za rękę i pociągnął. Stał pewnie, nie było szans, by stracił równowagę przy tym wychyleniu.

Pen drgnął, znów się odwrócił i wydawało się, że lekko machnął dłonią za plecami przeciwnika. Khadaji runął na plecy. Wyciągnął obie ręce, by się podeprzeć, ale i tak rąbnął całkiem mocno. Uderzenie wybiło mu powietrze z płuc. Odruchowo przetoczył się na bok i podniósł niezdarnie, usiłując łapać powietrze drobnymi łykami. Słońce Maro opromieniało mu twarz, po szyi i kręgosłupie spływały krople potu. W powietrzu wisiała ciężka wilgoć. Coś tu się cholernie nie zgadzało. Był szybszy od Pena, wiedział o tym. W porządku. Problem leżał w ataku. Nacierający zawsze ryzykuje więcej niż ten, który się broni, nacierający musi się całkiem zaangażować, podczas gdy przeciwnik jedynie czeka. Khadaji postanowił, że tym razem to on będzie się bronić.

Obaj mężczyźni przez chwilę stali naprzeciw siebie nieruchomo i Khadaji odniósł wrażenie, że upłynęło mnóstwo czasu. Czekał cierpliwie na szeroko rozstawionych nogach w pełnej gotowości do odparcia ataku, z rękami ustawionymi zarówno w górnej, jak i dolnej gardzie. Pen nie trudził się przybieraniem żadnej postawy.

W końcu się poruszył. Uniósł ręce i zwał dłonie, po czym zaczął zaplatać palce w skomplikowany układ. Przebierał nimi, to je krzyżował, to znów rozprostowywał, to splatał, to znów rozplątywał, coraz szybciej i coraz dziwniej. Khadaji wpatrywał się w te palce z oszołomieniem. Cóż on, u licha...

Pen podszedł bliżej, powoli, jakby się nie spieszył. Kopnął przeciwnika w nogę, w tę wysuniętą, tuż pod kolano. Khadaji nie był w stanie nawet drgnąć, by sparować lub zablokować cios. Po raz trzeci padł na ziemię, machając rękoma, ale tym razem już nie wstał. Usiadł na trawie i wbił wzrok w nauczyciela, który roześmiał się tubalnie.

Pokręcił głową.

– Chyba przeoczyłem coś zabawnego.

– To taki mocno wyświechtany motyw – rzekł Pen.

– Nie rozumiem.

– Ta scena. – Machnął ręką, wskazując zarówno Khadajego, jak i okolice. – Oto stary mistrz sztuk walki pokonuje młodego ucznia. Klasyka. Cały wic z podobnymi motywami polega na tym, że na ogół okazują się skuteczne. Nie byłbym w stanie wymyślić lepszego sposobu na udowodnienie ci, że znam coś, czego jeszcze nie umiesz, a czego musisz się nauczyć. Wygląda na to, że czasami nie ma to jak stare metody.

Nachylił się i wyciągnął dłoń do Khadajego, by pomóc mu wstać.

– Owa sztuka zwie się sumito – powiedział. – Jej celem jest wypracowanie całkowitej kontroli nad ciałem, a nie pokonanie przeciwnika. Gdy potrafisz zmusić ręce i nogi, by uderzały dokładnie tam, gdzie tego chcesz, nie ma większego znaczenia, czy ktoś przed tobą stoi.

Khadaji pokręcił głową. Zawsze go uczono, że mięśnie trzeba wyuczyć specyficznych odruchów – jeśli chcesz grać w piłkę grawitacyjną, trenujesz w stanie nieważkości, a jeśli chcesz boksować, potrzebny ci sparring-partner. W przeciwnym razie trening prowadzi

jedynie do poprawienia ogólnej kondycji, a nie wyćwiczenia specyficznych umiejętności. Z drugiej strony dawał sobą pomiatać, jakby był przyglupem bez odrobiny siły, a nie wyćwiczonym żołnierzem wzmocnionym bakteriami. W tym, co ten człowiek mówił, musiało się kryć coś ważnego. Po prostu musiało.

OSIEM

Khadaji wpatrywał się w podłogę, którą pokrywał osobliwy, chaotyczny wzór śladów ludzkich stóp, wymalowany jakby na pamiętkę tańca szaleńca. Uniósł głowę i spojrzał na nauczyciela.

– Co mam zrobić?

– To proste. – Pen uśmiechnął się. – Przejdź od początku do końca.

Khadaji wzruszył ramionami i ruszył po śladach, których rozmiary wydawały się identyczne z jego stopami. Pierwszych pięć kroków okazało się łatwych, lecz śladowi szóstemu przyjrzał się z niedowierzaniem.

– Przecież go nie sięgnę!

– Sięgniesz.

– To niemożliwie, nie jestem człowiekiem-gumą.

– Spróbuj.

Khadaji spróbował. Przeniósł ciężar ciała na lewą nogę, a potem wyciągnął prawą i przekręcił kostkę, by stopa idealnie wpasowała się w wymalowany ślad. Stracił równowagę i niemalże się przewrócił.

– Nie dam rady.

– Nie? – Nakazawszy uczniowi gestem, by się odsunął, Pen zajął jego miejsce i ruszył po śladach. Dotarł do śladu numer sześć, a wtedy w jakiś sposób postawił na nim stopę. Khadaji nie miał pojęcia, jak – po prostu w pierwszej chwili był zwrócony w jednym kierunku, a ułamek sekundy później w drugim. Będąc od niego niższym, Pen miał krótsze nogi, a skoro potrafił się aż tak rozciągnąć, Khadaji nabrał pewności, że i on da radę.

Dał dopiero za dziewiątym razem. Spojrzał na Pena i uśmiechnął się.

Nauczyciel wciąż skrywał twarz za tkaniną, ale skinął lekko głową z aprobatą.

– Bardzo dobrze. To może krok siódmy?

Khadaji spojrzał na podłogę. Na Budę, to przecież niemożliwe! Nikt nie postawiłby tam stopy bez upadku! Przeniósł wzrok na Pena, prowokując go, by ten przeszedł odcinek jako pierwszy.

Nie musiał dwa razy prosić. Tym razem Pen na jego oczach przeszedł cały szlak,

wykonywać prawie sto skomplikowanych kroków. Dziewięćdziesiąt siedem, ściślej mówiąc. Z biegiem czasu Khadaji nauczył się nienawidzić tej liczby. Po upływie sześciu tygodni udawało mu się dojść do kroku pięćdziesiątego. Nie zawsze. Całe ćwiczenie diametralnie różniło się od treningu zaczepnego, jaki przeszedł w wojsku i nie dostrzegał w nim żadnego sensu.

W międzyczasie Pen zaczął go uczyć innych rzeczy. Skakali na jednej nodze, siedzieli nieruchomo przez długi czas, wykonywali ćwiczenia rozciągające, po których odzywał się ból w miejscach, z istnienia których Khadaji nie zdawał sobie dotąd sprawy. Wiedział, że się czegoś uczy. Nie wiedział tylko, czego. W każdym razie czegoś.

Podczas owych ćwiczeń Khadaji uświadomił sobie, że traci nagromadzoną wcześniej wiedzę. Oczywiście, wciąż miał wspomnienia, ale poczucie jedności ze wszechświatem, którego doznał na polu bitwy, bladło i traciło na wyrazistości. Wciąż zdarzały się chwile, gdy mógł go niemalże dotknąć, ale były one coraz rzadsze i krótsze. Mógł to wrażenie przyrównać do przejechania przez magiczne drzwi na pasie transmisyjnym – nadal jechał, a drzwi malały daleko w tyle. Chciał się przy nich zatrzymać, ale nie potrafił. Co więcej, nie wiedział, dokąd zmierza.

A gdy przeszli do kolejnej formy treningu, jego zdumienie nie miało granic.

Siedzieli w największym z pokojów Pena – kwadratowym pomieszczeniu z niskim sufitem i o ścianach szerokich na sześć metrów. Chociaż na zewnątrz trwało upalne lato planety Maro, w środku panował przyjemny chłód. Gorące powietrze wychładzał pasek filtrów typu lindex ciągnący się pod matowym oknem. Całe umeblowanie pomieszczenia składało się z trzech krzeseł z pianki i biurka z terminalem komputerowym, a pod jedną ze ścian stała spora skrzynia.

– Prowadzenie pubu? Mówisz poważnie?

Spośród fałd materiału zakrywających twarz Pena dobiegł stłumiony śmiech.

– Jak najbardziej poważnie. Przecież każdy musi się z czegoś utrzymać.

Khadaji z trudem wyobrażał sobie Pena stojącego za barem i mieszającego drinki bądź skrytego za okienkiem i wydzielającego tabletki. Nie omieszkał głośno dać wyraz wątpliwościom.

– Ale w czym problem? To znakomita praca dla kapłana, nawet mającego tak niewiele wspólnego z kapłaństwem jak ja. Pomyśl tylko – kto ma większe szanse od barmana, by ujrzeć prawdziwe twarze ludzi, kiedy zmęczeni pozbędą się masek? Pijani zwierzą ci się z sekretów, których na trzeźwo nie ujawniliby własnym braciom! Nawalone kobiety zdradzą ci tajemnice, których nie wyjawiałyby nawet w samym środku nocy, wtulone w ramiona kochanka. Niejeden dobry barman wyrósł z grona praktykujących psychologów – lub dołączył do nich po zamknięciu baru.

Khadaji pokręcił głową.

– Nie wiem...

– Ale co chcesz wiedzieć? – Pen machnął ręką. – Będziesz musiał jakoś zarobić na chleb, bo ja nie zamierzam opiekować się tobą przez wieczność. Dobry barman zawsze znajdzie pracę. Poza tym weź pod uwagę, co ci powiedziałem: trudno o lepsze miejsce do studiowania ludzkiej natury. Co więcej, to umiejętność, której mogę cię nauczyć.

Khadaji wstał i podszedł do okna. Dotknął przycisku na parapecie i szyba natychmiast z niemal czarnej stała się przejrzysta. Światło było niemalże oślepiające, a wraz z nim do pomieszczenia wtargnęła fala gorąca. Khadaji ściemnił szybę.

– Mam wrażenie, że nie o to mi tak do końca chodziło.

– A o co?

Zwrócił się ku Penowi.

– Ja... w sumie nie wiem. O coś...

– Aha. Rozumiem. Dobrze, ale póki nie dojdiesz do tego, o co ci właściwie chodzi, być może dobrze by było czegoś się nauczyć.

Khadaji rozważył te słowa. Pen bez wątpienia miał rację, ale martwiło go, że tam, gdzie powinien kształtować się plan, widział jedynie niejasność i pustkę. Prowadzenie baru?

Właściwie czemu nie? – pomyślał. Nie wydaje się to szczególnie trudne.

Wkrótce miał się przekonać, że pod tym względem się mylił – i to bardzo.

Pen wstał i podszedł do terminalu. Z fałd szaty wydobyl małą stalową kulkę. Khadaji od razu ją rozpoznał – był to przenośny twardy dysk. Pomimo niewielkich rozmiarów, mieścił olbrzymie ilości informacji.

– Ten nośnik zawiera siedemnaście lat doświadczeń w pracy barmana – powiedział Pen. – Znajduje się na nim przepis na każdy drink, jaki potrafię mieszać, opis każdego chemu, wszelkie planetarne i lokalne prawa dotyczące obrotu alkoholem i narkotykami, ulubione specjały na poszczególnych planetach, po prostu wszystko. Opisane z odsyłaczami, przypisami i ilustracjami. Podejdz i sam zobacz.

Wsunał uformowaną próżniowo kulkę do okrągłego otworu w terminalu, a potem uruchomił sprzęt. System operacyjny potwierdził odnalezienie pamięci przenośnej gamą kolorów i słów na hologramie, który wykwitł nad klawiaturą, po czym przeszedł do trybu wyboru opcji.

– Komendy ustne – nakazał Pen. – Standardowe Interstitchi. Uruchom.

– Potwierdzam – odparł komputer głębokim kobiecym głosem.

– Przejdź do spisu kategorii. Ekran pierwszy. Poproszę o wizualizację.

– Uruchamiam.

Dwie sekundy później nad terminalem zamigotały cztery słowa. Khadaji zamrugał i wbił w nie wzrok.

NAPOJE, SUBSTANCJE, GAZY, RADIANTY.

Pen odwrócił się do niego.

– Wybierz kategorię.

Ułatwmy sobie tę zabawę, pomyślał Khadaji.

– Napoje.

Pen odwrócił się do komputera.

– Napoje. Proszę podać całkowitą ilość.

– Dziewiętnaście tysięcy trzysta sześćdziesiąt dziewięć.

Khadaji uniósł brwi.

– Na Buddę! Zrobiłeś tyle różnych rodzajów drinków?

– Na to wygląda.

– Ale przecież nikt nie jest w stanie spamiętać ich aż tyle!

– Nie przesadzaj. Pewnie potrafiłbym zapamiętać je co do jednego, ale nie miałyby to sensu. Po to mam tę kulkę. Zazwyczaj wystarczy nauczyć się dziesięciu, dwudziestu najpopularniejszych drinków w danym pubie, by jakoś sobie poradzić. A gdy potrzebujesz czegoś bardziej osobliwego, masz do pomocy pamięć przenośną.

Khadaji znów pokręcił głową, co zresztą ostatnio robił bez przerwy.

– Nigdy bym nie uwierzył, że istnieje aż tyle różnych odmian drinków.

Pen zachichotał.

– Ludzie czy mutki piją niemalże wszystko. Niektóre drinki są naprawdę dziwaczne.

Odwrócił się do komputera.

– Kategoria: napoje, Pocałunek Shin. Proszę o listę składników. Wizualizacja.

– Uruchamiam.

Dwie sekundy później hologram uformował się w słowa:

Pocałunek Shin

30 ml zmiksowanego alkoholu – whisky (Quadrant Comfort)

30 ml ekstraktu owocowego – mleczko kokosowe (Isle of Went)

30 ml ekstraktu warzywnego – sok z ogórka (Shin)

40-45 g proszku z sacharozy

Mieszanka tlenku wodoru oraz dwutlenku węgla

– Zorganizowałem to wszystko w taki sposób, że nie powinieneś mieć żadnego problemu z opanowaniem materiału – mówił Pen. – Najpierw kategorie ogólne, potem szczegółowe, a na koniec poszczególne nazwy drinków, jakie należą do danej grupy.

– Ciekawe – mruknął Khadaji. – Ale ten jakoś nie wydaje się specjalnie dziwny. Spodziewałem się o wiele bardziej odlotowych specyfików.

– Nie daj się zmylić nazwom. Komputer, poproszę o listę składników Pocałunku Shin, ale tym razem bez ogórka.

– Uruchamiam.

W powietrzu wyświetliła się nowa lista, tym razem głównie składników chemicznych.

Woda, amoniak, chlorek sodu, chlorek potasu, kwas moczowy, kreatyna, fosfor, magnez...
Wciąż pojawiały się kolejne nazwy, ale Khadaji nie potrafił wyłuskać z nich sensu.

– Nie rozpoznajesz? – Pen zachichotał. – A powinieneś. To dość powszechny smakołyk.
Uryna.

– Szczyny?... – Khadaji zamrugął z niedowierzaniem.

– Ludzkie szczyny, ściślej mówiąc. Żeby uzyskać Shin, należy moczyć ogórka w ludzkiej
urynie przez tydzień, a potem zmiksować wszystko, aż się zacznie ładnie pieniść.

– Jaja sobie robisz.

– Ależ skąd. Ten drink cieszy się sporą popularnością na niektórych światach, na
przykład na Gazeli Thompsona. Swego czasu pito pewną jego odmianę na Ziemi jako
antidotum na ukąszenia węża. Istniała też kultura, która piła urynę ludzi będących w stanie
odurzenia pewnymi grzybkami, by uzyskać podobny efekt co oni, ale bez paskudnych
efektów ubocznych.

– Ja pierdołę...

– Jak już mówiłem, istnieją pewne dziwaczne istoty, które piją jeszcze osobliwsze rzeczy
– ciągnął Pen obojętnym głosem.

Khadaji zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nauczyciel nie robi go w konia, ale doszedł
do wniosku, że nie.

– W kategorii substancji stałych i proszków znajduje się mniej chemikaliów
wykorzystywanych w rekreacji, jeszcze mniej w kategorii gazów i radiantów. Oczywiście to,
które z nich są legalne na danej planecie, zależy od ich przeznaczenia. To nieco bardziej
skomplikowane niż sądziłeś?

Khadaji wpatrywał się w skład Pocałunku Shin, który nadal jaśniał w powietrzu.

– Trochę.

– Na większości planet nie potrzeba wcale tytułu naukowego, by podejść do egzaminu na
barmana, ale i tak będziesz musiał się kilku rzeczy nauczyć. Właściwie to możemy zacząć od
zaraz.

Khadaji pokiwał głową. Cóż, nauka nie wydawała się złym pomysłem, o ile nie było
więcej takich specjałów jak Pocałunek Shin. O rany...

* * *

Lecąc w powietrzu po raz dziesiąty tego dnia, Khadaji nagle sobie uświadomił, że
nauczył się mnóstwo o padaniu, przewracaniu i toczeniu po ziemi. Skulił się, uderzył w
podłoże pod właściwym kątem i poderwał bez kontuzji ani nawet lekkiego bólu.

– Spaleś – oznajmił Pen. Stał trzy metry od niego, jak zwykle zawinięty w swój całun.
Wiatr był chłodnawy – jesień miała się ku końcowi i w górach już za parę dni spodziewano
się opadów śniegu. Khadaji pokiwał głową. Nie skoncentrował się należycie i efekt dał się

przewidzieć. Sumito wymagało całkowitego zaangażowania, w przeciwnym razie natychmiast traciło się kontrolę nad sytuacją. Po pięciu miejscowych miesiącach szło mu już lepiej, ale wciąż musiał się wiele nauczyć. Podstawa to odruchy mięśniowe, jak mówił mu Pen, i koncentracja ostrzejsza niż koniec igły. No i potrafił już dotrzeć do siedemdziesiątego drugiego kroku.

Co do planety, cóż – przyzwyczajał się i do niej. Zapachy nie wydawały mu się już czymś obcym, podobnie jak delikatne różnice w grawitacji czy aktywności światła słonecznego. Miejscowi wciąż toczyli wojnę z Konfedem i wciąż nie odnosili sukcesów. Na planetę przysłano posiłki, by liczba gotowych na śmierć atakujących nie przytłoczyła siły ogniowej maszyny Konfederacji. Khadaji zastanawiał się czasami, czy on i Pen nie zostaną tu wkrótce jedynymi ludźmi przy życiu, wyłączwszy rzecz jasna żołnierzy Konfederacji.

* * *

Zmarzniętą ziemię zakrywała gruba na pół metra warstwa śniegu. Khadaji i Pen mieli na nogach wysokie buty z płaskimi listwami ze wzmocnionego plastiku, wychodzącymi z podeszew na podobieństwo sztucznych pajęczych sieci. W systemie grzewczym kombinezonu Khadajego była jakaś usterka i ciepło omijało fragment ciała wielkości dłoni na pośladku. Czuł, że miejsce to zaczyna powoli drętwieć.

– Podstawowe sposoby przyjmowania? – pytał Pen. Nie miał na sobie ogrzewanego kombinezonu, wciąż nosił jedynie szaty bractwa.

– Ustny, analny, pochwowy, uszny, nosowy, oczny, skórny – wyrecytował Khadaji. Z każdym słowem z ust buchał mu obłoczek pary.

Jego uzbrojona w pajęczą raketę noga niespodziewanie zapadła się w splachetku miękkiego śniegu i niemalże stracił równowagę.

– Zapomniałeś o metodzie fallicznej – *meatus urinaruus*. Wykorzystaj skojarzenie, a nie zapomnisz.

Khadaji zamrugał. Cholera jasna. W jego umyśle znów rozbłyły pojęcia z pamięci przenośnej. *Ustawiczna Agresja Powoduje U Nagich Obywateli Skurczenie Fiuta*. Pierwsza litera każdego słowa rozpoczynała jednocześnie każdą z podstawowych dróg przyjmowania środka.

– Dobra, to teraz sposoby drugorzędne.

– Podskórnice, domięśniowo, dożylnie, dosercowo.

– Dobrze. Mamy dzisiaj dziewięć kilometrów do przejścia, więc powinno wystarczyć nam czasu na porządne omówienie drogi nosowej. Rozpoczniemy od proszków.

Khadaji pokiwał głową. Zapowiadał się długi, ciężki spacer.

* * *

Khadaji siedział nago w gorących, wirujących wodach miejscowej łaźni. Z boku miał Pena, który nawet na tę okoliczność nie zdjął szat. Nikt jednak nie zwracał uwagi na człowieka owiniętego w całun aż po same oczy, zresztą sam Khadaji zdążył się do tego przyzwyczaić. Mętna woda pieściła jego obolałe mięśnie, a nad jej powierzchnią unosił się aromat mięty. Plastikowy dach chronił ich przed śniegiem i zimnem. Było już późno i w łaźni znajdowało się niewielu ludzi.

– Co byś dostał, gdybyś podał klientowi vöremhöltsa na Primesat?

Khadaji zmienił pozycję, by przepuścić strumień gorącej wody pod lewym pośladkiem prosto między nogi. Jego penis unosił się i falował.

– Pewnie niezły napiwek – odparł. – Vöremhöltsy sporo kosztują w systemie Centauri.

– A gdybyś podał go na Tatsu?

– Od dwóch do pięciu lat w lokalnym więzieniu – wyrecytował mechanicznie.

– A na Gebay?

Khadaji powrócił do poprzedniej pozycji. Gorąca woda sprawiła, że do niektórych miejsc na jego ciele napłynęła krew, powodując stan, na który w chwili obecnej nie miał wpływu. Zerknął na dziewczynę z długimi jasnymi włosami, która siedziała po przeciwnej stronie basenu. Była młoda i miała piękny uśmiech, nie mówiąc o gibkim, smukłym ciele, które zauważył natychmiast, gdy zeszła do wody. Być może ona również miała coś wspólnego z obrzmieniem, którego zniecka doświadczył.

Pen uderzył otwartą dłonią w powierzchnię wody. Bryzgi trafiły Khadajego prosto w twarz.

– Hej! Co się stanie, jak podasz vöremhöltsa na Gebay?

Khadaji starł krople z twarzy. Miał wrażenie, że woda zostawiła na jego skórze lekko tłusty ślad.

– Gebay. Cóż, nic wielkiego by się nie stało. Chyba że w Konta Compund, gdzie legalne są jedynie chemikalia aprobowane przez kościół. Za sprzedawanie nielegalnych narkotyków gołą łeb do gołej skóry. Co w sumie nie wydaje się aż taką surową karą.

Pen pokręcił głową.

– Nie. Nie gołą włosów. Wyrrywają je, włos po włosku. Mówią, że z początku da się wytrzymać, ale z czasem zaczyna to powodować niewiarygodny wprost ból, nie mówiąc już o oczekiwaniu na koniec. W przypadku człowieka o niezbyt bujnym owłosieniu kara trwa, bagatela, trzy doby – a pracują dzień i noc.

Khadaji poczuł ciarki na plecach nawet pomimo tego, że siedział w gorącej wodzie. Gebay. Enklawa religijna – żadnych vöremhöltsów.

– Skład vöremhöltsa?

– Kora jahambu, majani, bylica piołun i grzybki tecal, wszystko rozpuszczone w jednej części wody i jednej części rumu z Koji.

– A gdzie się robi najlepsze vöremhöltsy?

– W systemie Bibi Arusi – zielony księżyc, Rangi ya majani Mwezi.

Pen pokiwał głową, a tkanina otaczająca jego twarz poruszyła się na wodzie jak wodorosty.

– Doskonale. Na dzisiaj koniec z pytaniami.

Khadaji wciągnął powietrze nosem, rozkoszując się lekko drażniącym zapachem mięty.

– W takim razie ja mam pytanie. Czy kiedykolwiek opowiesz mi o swoim bractwie? O Rodzeństwie Całunu?

– To dość zawiły temat – odparł Pen. – Różnie się nas określa. Egzystencjalnymi humanistopacyfistami, elitarystycznymi intelektualnymi panteisto-pozytywistami lub spiskującymi synami Belzebuba. Kilka minut w basenie z gorącą wodą nie wystarczy, by ugryźć choćby drobny kęs zagadnienia. A nawiasem mówiąc, nie jest ważne, byś ty uczył się o mnie. Ważne jest, byś uczył się o sobie. Całun nie jest twoim przeznaczeniem.

– W porządku. Mam więc inne pytanie, na które na pewno umiesz odpowiedzieć. Czy kiedykolwiek zdejmujesz ten swój całun?

Pen roześmiał się.

– Oczywiście. Nie zdejmuję go nigdy przed innymi ludźmi, to wśród nas... nie uchodzi. Wolno nam je zdejmować w chwilach prywatności. Śpimy rozebrani, zazwyczaj kąpiemy się nago, no i oczywiście nago uprawiamy seks. Po ciemku, przynaję.

Ostatnie stwierdzenie zaskoczyło Khadajego. Żywił podświadome przekonanie, że bractwo, do którego należy jego nauczyciel, wyznaje celibat, choć on sam nigdy nic takiego nie twierdził.

Pen najwidoczniej zrozumiał jego spojrzenie, gdyż znów wybuchnął śmiechem.

– Och, mamy takie same potrzeby co inni i czasem im folgujemy. Nawiasem mówiąc, dziś nie będę spał w naszym mieszkaniu.

– Masz coś na oku? – Khadaji wyszczerzył zęby.

– Coś sobie na dzisiejszy wieczór zaplanowałem.

Uśmiech Khadajego stał się jeszcze szerszy. Świetnie, będzie miał całe mieszkanie do własnej dyspozycji, a owa młoda dziewczyna z włosami koloru śniegu być może również jest wolna. Zastanawiał się właśnie nad najlepszym sposobem, by do niej podejść i zagadnąć, gdy Pen ruszył przez basen, zanurzony po pas, ciągnąc za sobą fałdy szaty przez aromatyczną, mętą wodę. Wyciągnął rękę ku dziewczynie, a ona uśmiechnęła się słodko i ujęła jego dłoń. Khadaji przyglądał się jej umięśnionym, podrygującym pośladkom, gdy wraz z Penem wychodziła z basenu i szła ku szatniom. Niespodziewanie przyłapał się na tym, że gapi się na nich z szeroko rozdziawioną gębą. Zamknął usta i zamrugał wściekle – opary mięty nagle wydały mu się irytujące.

Niech mnie szlag trafi, pomyślał.

Niewykluczone, że ci, którzy tak zaciekle krytykowali Rodzeństwo, nie byli całkiem

pozbawieni racji. W każdym razie w tym momencie Pen wydal się Khadajemu straszliwym synem Belzebuba.

DZIEWIĘĆ

Udali się do systemu Beta, a ściślej mówiąc na jej piątą planetę, zwaną Rim. Gdy tylko prom wypadł z orbity, Khadaji wyteżył wzrok i wyrzał przez okienko ze skondensowanego kryształu. Powierzchnię globu zakrywały ciemności tu i ówdzie rozświetlane pasmami rozmazanego światła, które stopniowo stawały się coraz wyraźniejsze, gdy prom zbliżał się do lądowiska.

– Ładny widok. Jak rozumiem, nie dało się załatwić dziennego lądowania, żebyśmy mogli przyjrzeć się temu miejscu?

Pen miał zamknięte oczy i wyglądało na to, że śpi, ale Khadaji zdążył już go poznać. Ten człowiek nigdy nie spał w chwilach, gdy wydawało się, że właśnie to robi.

– Nie chciało ci się poczytać historii, co? Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego to miejsce nazywają Ciemną Planetą?

– Uczylem się do egzaminu barmańskiego. A tak w ogóle to zadałem sobie to pytanie, ale przyszło mi do głowy, że to pewnie z powodu budowy skał, czarnych piasków czy czegoś w tym rodzaju.

Pen uniósł powieki i wyrzał przez okno.

– Prawdziwymi przyczynami są nachylenie osi oraz lokalizacja nadających się do zamieszkania lądów. Większość ludzi na tej planecie mieszka na subkontynencie, który w ciągu całego roku cieszy się światłem słonecznym jedynie przez krótki czas. Za dnia w Cudownym Stanie Khandzharii, rządzonej przez Wysokiego Bzera, panuje coś pomiędzy późnym zmierzchem a głęboką nocą przez przynajmniej dwanaście z trzynastu lokalnych miesięcy.

Prom opadał ku powierzchni z gracją i prędkością zestrzelonego ptaka. Khadaji obserwował, jak rozmazane światła jednego z miast stają się ostrymi, twardymi diamentami, szafirami i rubinami.

– Wspaniałe miejsce dla wampirów – stwierdził.

– Lub albinosów.

* * *

Staruszek nazywał się Kamus i był właścicielem długiego, wąskiego pubu o nazwie „D. W. Dick’s”. Khadaji rozejrzył się dokładnie, nie omijając żadnego szczegółu. Drewniana podłoga już dawno pożegnała się z pierwszą młodością, ale utrzymywano ją w czystości. Stoły miały niewielkie kwadratowe blaty z zaokrąglonymi rogami, zauważył też, że przykręcono je na stałe do podłogi. Sam bar wykonano z antycznego czerwonego plastiku, który lśnił zapewne równie intensywnie jak w dniu, gdy go odlano. Za barem znajdowała się aparatura przetwarzająca chemy, czytnik pasków kredytowych i terminal komputerowy. Na jednej ze ścian zawieszono miecz, a nad nim naturalnej wielkości akrylowe przedstawienie nagiej pary splecionej w namiętnej pozie. Poza nim, staruszkami i Penem miejsce było całkowicie wyludnione. W powietrzu unosił się zapach czystości.

– Nie otwieramy w dniu Si – rzekł Kamus. – Dyrektywa Bzera.

Obrzucił Khadajego ostrożnym spojrzeniem.

– Twój identyfikator zaświadcza, że jesteś dobrze wykwalifikowany, ale goście pubów mają eklektyczne smaki. Jak ukrećisz Samobójstwo Sinclora?

Khadaji powstrzymał się od uśmiechu i zachował pokerową twarz.

– Po dwadzieścia pięć mililitrów dżinu, szkockiej, ambergłow i drożdży ze Spandle. Podawać w wysokiej szklance od szampana z Bern.

Staruszek skinął głową, a na jego czoło zsunął się siwy lok.

– A Szkarłatny Sen?

– Utrzeć pięć gramów czerwonej koki do miążkiego proszku i mieszać z połową grama verisolu. Można podawać w dowolnym inhalatorze, ale najlepsza będzie Marietta numer sześć.

Kamus ponownie skinął głową.

– To jeszcze jeden. Krwawa Mary.

Tym razem Khadaji pozwolił sobie na uśmiech. Pen dawno temu zmusił go, by opanował tę starą recepturę. Drink idealnie leczył objawy zatrucia alkoholowego.

– Czterdzieści pięć mililitrów wódki, dziewięćdziesiąt soku pomidorowego, jeden sosu z Worcester, dwa sosu tabasco, nieco pieprzu, kawałek cytryny, jedna rozpuszczona tabletką AA. Mieszać na zimno z potłuczonym lodem i nalać do wymrożonej szklanki.

Właściciel pubu odpowiedział uśmiechem i spojrzał na Penę.

– Wygląda na to, że zna się na rzeczy. Ręczysz?

– Słowem i staniem.

Kamus wciągnął powietrze przez zęby.

– Dobra. Wezmę cię. Zmiana hieny cmentarnej, podstawa plus dola. Kiedy możesz zacząć?

Khadaji był całkiem zaskoczony. Nie rozumiał nawet połowy tego, co właśnie usłyszał, ale nim zdążył otworzyć usta, odezwał się Pen:

- W porządku, zacznij dzisiaj wieczór. Gdzie się możemy zatrzymać?
- Zaraz, zaraz, poczekaj! Ja... – zaczął Khadaji, ale Pen nie pozwolił mu dokończyć.
- Cicho. To co z kwaterą?

Kamus wyszczerzył zęby, chrząknął i wytłumaczył Penowi, gdzie znajdzie pokoje.

Khadaji zasypał nauczyciela gradem pytań, gdy już opuścili pub i znaleźli się na ciemnej, lecz ciepłej ulicy.

- Co to jest zmiana hieny cementarnej?

– Od północy do świtu, od dwunastej do szóstej. W początkach ludzkiego osadnictwa na Rim ludzie grzebali tu bliskich.

Khadaji pokręcił głową.

– Zupełnie jak kiedyś na matce Ziemi. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego to robili... Taka strata surowców. A podstawa plus doła? O co tu chodzi?

– Otrzymasz na początek minimalną pensję w standardach, ale do tego doliczą ci dołą z ogólnej sumy napiwków, która zazwyczaj dzielona jest po równo między wszystkich pracowników.

- A to „słowem i staniem”?

– Dawno temu pracowałem dla poprzedniego właściciela lokalu. Krótko mówiąc, dobrze mnie tu wspominają. Skoro jestem gotów ręczyć za ciebie słowem, to punkt na twoją korzyść. A jeśli z jakiegoś powodu przypadnie ci zmiana, stanę za ciebie.

– No to nieźle byś dostał po tyłku – stwierdził Khadaji. – Praca na swojej i jeszcze mojej zmianie...

Pen przystanął. Obszerne szaty jak zwykle zakrywały również jego twarz, ale Khadaji był pewien, że jego nauczyciel szeroko się uśmiechnął.

– Czy ja choć raz wspominałem, że sam też zamierzam pracować? Teraz to ty będziesz nas utrzymywał przez jakiś czas, Emile. Ja mam medytacje do nadrobienia.

Khadaji poświęcił tym słowom chwilę uwagi. Cóż, Pen miał rację. Było nie było, sponsorował go od chwili, gdy się spotkali.

* * *

Pierwszej nocy Pen przyprowadził Khadajego do pubu i stanął z tyłu, gdy Kamus przedstawiał go reszcie personelu. Nawet po włożeniu zatyczek do uszu hałas był ogłuszający – w lokalu tłoczyło się niemalże sto osób. Kamus ryknął na Banrose, głównego kelnera, posłał wymuszony uśmiech Shandu i Gretyl, stojącym za barem kelnerkom, a na koniec został zaszczycony lodowatym spojrzeniem Manga, „oficera od kontroli tłumu”.

– Oto cały personel za wyjątkiem Juete, która się jak zwykle spóźnia – rzekł Kamus. – No, to wskakuj i popracuj sobie przez chwilę z Lu Shan. Zapoznaj się, gdzie co leży.

Khadaji zerknął na Pena, który stał nieopodal i przyglądał się gościom, a potem skinął

głową.

– Robi się, proszę pana.

– Ani mi się waż tak mnie nazywać – burknął z uśmiechem Kamus. – Gdy ostatnim razem ktoś się tak do mnie zwrócił, zaraz potem musiałem paść na ziemię, żeby mnie nie zastrzelił. Mów do mnie po imieniu.

Khadaji ponownie skinął i ruszył za bar. Nabrał głęboko tchu i powoli wypuścił powietrze z płuc. Bitwa na Maro oraz poczucie owej kosmicznej świadomości wciąż były trwale zapisane w jego umyśle, ale póki co musiał posłuchać rady Pena, musiał gdzieś zacząć nowe życie. Barman Khadaji. Cóż, to brzmiało naprawdę nieźle.

* * *

Khadaji miał pełne ręce roboty. Liczył, że gdy już pozna lokalizację poszczególnych chemów i sposoby, by szybciej mieszać co powszechniejsze drinki, praca będzie go kosztować mniej wysiłku, ale póki co uwijał się jak w ukropie, próbując realizować zamówienia na czas. Ze standardowymi jednoskładnikowymi chemami nie miał żadnych problemów, wystarczyło raz dotknąć tabliczki i komputer wydawał je samoczynnie. Niektórzy z gości mieli jednakże dziwaczne życzenia, zgodnie zresztą z tym, co wcześniej mówił mu Pen. Pochylał się właśnie nad miksturą zwaną Kurze Zęby, gdy zza pleców dobiegł go łagodny, a zarazem głęboki kobiecy głos:

– Daj mi cztery splashe, Pierścień Czarodzieja i podwójną ognistą brandy.

Podniósł się, lekko zirytowany.

Potem gotów był przysiąc, że jego serce zatrzymało się na moment, a struny głosowe pochwyił paraliż. Stała przed nim najpiękniejsza istota, jaką kiedykolwiek widział. Dziewczyna najwyraźniej nie pierwszy raz spotykała się z podobną reakcją, gdyż uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

– Mam na imię Juete. To ty jesteś tym nowym barmanem, prawda?

Khadajemu udało się mrugnąć, ale nadal nie mógł wykrztusić z siebie słowa. Jak ona się nazwała? Szu-et-tej? Cudowna. Zdumiewająca. Mierzyła nieco ponad sto sześćdziesiąt centymetrów, ważyła góra pięćdziesiąt pięć kilo i miała gładką, jasną skórę, białe włosy aż po pośladki i różowe oczy. Tego ostatniego nie był pewien z powodu przyciemnionych światel, ale nie ulegało wątpliwości, że jest najbardziej klasyczną albinoską, jaką w życiu widział.

Miała na sobie czarne koronkowe body, które zakrywało jej ciało od stóp aż po szyję, ale było na tyle prześwitujące, że równie dobrze dziewczyna mogła przyjść do pracy całkiem naga. W kontraście z ciemnym materiałem jej dłonie i twarz wydawały się jaśnieć czystą bielą.

– No to co z moim zamówieniem?

Khadaji niemalże upuścił drinka, którego właśnie przygotowywał. Odstawił go,

rozlawszy nie więcej niż połowę i popędził wypełnić polecenie. Zrobił to nie bez trudności, a potem dziewczyna znikła w tłumie. Patrzył za nią, czując się jak głupek, dokładnie tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy kochał się z kobietą.

Kamus zachichotał za jego plecami.

– Nigdy wcześniej nie widziałeś egzotyczki, to jasne jak słońce.

Khadaji otrząsnął się z oszołomienia i pospiesznie wrócił do pracy nad Kurzymi Zębami. Staruszek deptał mu po piętach.

– Genetyczna restrukturyzacja – wyjaśnił. – Komuś przyszło do głowy, że skoro ciągle jest tu ciemno, albinosi będą czuli się jak w domu. Miało to miejsce na długo przed Ustawą Chromosomową i wprowadzeniem praw genetycznych, ale ci mnożą się bez przeszkód.

– Ona... – Khadaji usiłował powiedzieć cokolwiek mądrego. – Ona jest... jest...

Staruszek zaniósł się śmiechem, którzy przeszedł w rżenie, a potem kaszel. Gdy odzyskał oddech, powiedział:

– Doskonale cię rozumiem, synu. Dlatego właśnie spóźnianie się uchodzi jej na sucho. Ta dziewczyna dobrze wpływa na interesy.

Znów się zaśmiał, a potem odszedł. Gdy mijał miecz zawieszony pod akrylowym przedstawieniem, zatrzymał się i pogłaskał jego rękojeść.

* * *

Nim Juete przydzieliła mu zamówienie numer dwadzieścia, Khadaji rozluźnił się do tego stopnia, że mógł mówić i zachowywać się w miarę normalne. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Tematy ich rozmów ograniczały się jednak do drinków i proszków, bo oboje mieli zbyt dużo pracy, żeby znaleźć czas na pogawędkę. Khadaji odkrył w międzyczasie, że trudno mu odgadnąć wiek dziewczyny Z początku sądził, że jest młodzianka i wedle ogólnoludzkich standardów dopiero co zakończyła okres dojrzewania. Niemniej poruszała się ze zbyt dużą gracją – jej chód był dobrze wyćwiczony, a wprawa tego typu pojawia się wyłącznie z wiekiem. Patrzenie na nią sprawiało mu prawdziwą rozkosz, ta kobieta, ona... Ach.

Pokręcił głową. Był młodym mężczyzną, ale przecież nie prawiczkim świeżo po szkole! Spędził sześć lat w wojsku, odwiedził wiele przybytków, gdzie sprzedawano seks i spał z niejedną kobietą. Dlaczego ta kobieta była taka... taka... Cholera, właściwie jaka? Przez sposób, w jaki na nią reagował, czuł się oczarowany – oraz ogłupiony.

Przebrnął przez zmianę bez większych klęsk czy niepowodzeń. Och, schrzanił kilka zamówień – na przykład dodał gorzkiej przyprawy do drinka, który miał być słodki – ale w sumie wszystko poszło w miarę sprawnie. Był zmęczony, lecz raczej zadowolony. I nadal oczarowany. Około szóstej nad ranem zastąpiła ich druga zmiana. Khadaji próbował odnaleźć dziewczynę, ale bez powodzenia.

Za to w wypełnionym dymem pomieszczeniu pojawił się znikąd Pen.

– Feromony – rzucił tylko jedno słowo.

– Co?

– Mówię o tej egzotyczce. Wydziela zwiększone dawki skondensowanych sygnałów seksualnochemicznych ukierunkowanych na samców. To część oryginalnego programu genetycznego wprowadzonego do systemu przez jej przodków. Zostali zaprojektowani jako zabawki erotyczne, sam wiesz.

Khadaji przełknął ślinę i pokręcił głową.

– Nie. Nie wiedziałem.

– Wydała ci się atrakcyjna. Sto razy bardziej od innych kobiet.

– No.

Doskonale pamiętał to uczucie. Fakt, że teraz znał jego powód, nie miał znaczenia. Znowu czuł, jak ściera się w nim umysł z ciałem. Umysł wiedział lepiej, ale ciało czuło, a w tym przypadku jego fascynacją kierował pewien szczególny element anatomii.

Pen nie odezwał się słowem. Stał tylko pośród dymu, stęchłych zapachów ludzkich ciał i chemikaliów unoszących się w powietrzu. Czekał.

– Chodźmy już na kwaterę – powiedział w końcu Khadaji. – Jestem nieco zmęczony.

* * *

Wkrótce utrwaliła się pewna tradycja. Za dnia Khadaji uczył się sztuk walki pod okiem Pena, w nocy spali (w każdym razie on spał), a wczesnym rankiem udawał się do pubu. Potrzebował kilku tygodni, by się we wszystkim połapać. Poznał lepiej kelnerów Banrose'a, Shandu i Gretyl, nawiązał przelotny kontakt z bramkarzem Mangiem. Rankami słuchał Kamusa, gdy ten zaczynał snuć opowieści o swoich przygodach. Juete wydawała się go unikać, a ich jedyną formą kontaktu pozostawało przekazywanie zamówień. Pominąwszy ten jeden problem, Khadaji doszedł do wniosku, że jego nowe życie stało się wygodne.

Zbyt wygodne, pomyślał. Niedługo wydarzy się coś, co wszystko spieprzy.

I rzeczywiście, pewnej spokojnej środowej nocy około czwartej nad ranem coś się wydarzyło.

Kamus stał przy prawym skrzydle baru i oparty o twarde plastik opowiadał jakąś historię grupie słuchaczy w jego wieku. Dick, jak nazywała pub większość bywalców, był niemalże pusty, bawiło w nim jedynie około tuzina nocnych marków, którzy palili lub popijali w spokoju przy stolikach. Khadaji ochrzcił ich w myślach mianem wampirów, gdyż pojawiali się po północy.

– ...gigantyczny pajak – mówił Kamus. – Wielki jak jasna cholera, rozmiarami dorównywał potężnemu psu. Cóż, muszę przyznać, że trochę się zmartwiłem...

Khadaji wymieszał koktajl, który po spryskaniu nitrogenem przypominał breję. Wrzucił

do środka wiśnię i zabrał się za kolejny drink. Przy stoliku ustawionym blisko lewej części baru trzech mężczyzn zaczęło podnosić głos, przekrzykując zwyczajowy harmider pubu, ale wciąż mówiąc ciszej od starego Kamusa:

– ...no i przebiłem skurwiela moim ostrzem, a ten dalej wije się, szarpie i próbuje mnie sięgnąć...

Jeszcze dwutlenek węgla dla bąbelków i... Nie, zaraz, co to właściwie miało być? Aha, miało być bez bąbelków...

Trzej mężczyźni rozmawiali coraz głośniejsze. Najwyraźniej toczyli jakąś kłótnię. Obsługiwała ich Juete, która wydawała się w jakiś sposób wmieszana w ich wymianę zdań. Khadaji dostrzegł, że Mang zmierza już w kierunku stolika.

– ...miał zieloną juchę! Twór oparty na miedzi, myślę sobie, a ten tryska juchą po mnie i po mieczu...

Khadaji sięgał po mikser, gdy rozległ się huk wystrzału z pistoletu pneumatycznego. Nasłuchał się tego odgłosu aż nadto podczas starć o Kontrau' Break. Instynktownie pochylił głowę i błyskawicznie rozejrzał się po sali.

Jeden z mężczyzn biorących udział w sprzeczce stał teraz przy stole i celował pistoletem o długiej lufie prosto w leżące na ziemi ciało drugiego. Na oczach Khadajego wymierzył dokładnie w głowę i ponownie pociągnął za spust. Łoskot wystrzału złał się z mokrym plaśnięciem, z jakim stalowy pocisk rozbił czaszkę leżącego.

Mang skoczył na mordercę, sięgając po broń. Nim jednak zdążył wyszarpnąć paralizator, trzeci mężczyzna odkopnął krzesło i wymierzył ręczny miotacz w kierunku rozpedzonego bramkarza. Nacisnął spust – błysnął impuls, który powalił zarówno Manga, jak i dwóch gości, którzy poderwali się, słysząc pierwszy strzał. Dwóch dalszych, którzy mieli pecha znaleźć się w maksymalnym zasięgu impulsu, również padło na podłogę.

Wszystko potrwało może pięć sekund.

Khadaji przeanalizował sytuację i błyskawicznie zdecydował, że nie uśmiecha mu się kariera martwego bohatera. Postanowił, że nawet nie drgnie, by nie przyciągać uwagi, a jeśli wycelują w jego kierunku, schowa się za barem.

Człowiek z pistoletem pneumatycznym uśmiechnął się szeroko i wymierzył w Juete.

– Twój czas dobiegł końca, zdiro.

Khadaji poczuł, jak lód ścina mu krew w żyłach. Bez sekundy zawahania przesadził bar, spadł na podłogę i wykonał dwa długie susy. Złapał obiema dłońmi za pistolet i wykręcił ciasny półokrąg. Rozległ się trzask pękającego nadgarstka, pistolet grzmotnął o drewnianą podłogę, a zabójca stracił równowagę. Całe szkolenie skupiło się w tej jednej chwili, gdy Khadaji odkopnął pistolet i patrzył, jak zabójca pada. Kontrolował sytuację, doskonale wiedział, co zrobić. Odwrócił się ku jego kompanowi, który chciał skorzystać z miotacza. Mężczyzna nie musiał dokładnie celować, miotacz działał jak rozpylacz, a on znajdował się...

Nagle w przytłumionym świetle pubu błysnęła stal.

Dłoń trzymająca miotacz spadła na podłogę, pistolet potoczył się po niej ze stukotem. Zabójca wrzasnął przenikliwie i złapał za krwawiący nadgarstek. Poblądł straszliwie i osunął się na kolana. Z każdym uderzeniem jego serca z kikuta tryskał strumień krwi. Spojrzenie Khadajego umknęło od okaleczonego zabójcy i odnalazło Kamusa, który dzierżył miecz w pomarszczonych, sękatych dłoniach. Przez krótką chwilę ujrzał w nim tego mężczyznę, którym musiał być wiele lat temu – ogień w jego sercu przygasł, ale nadal płonął.

– Wołać pogotowie – rozkazał Kamus.

Ktoś podbiegł do komu.

Gretyl znalazła opatrunek ciśnieniowy i jakimś cudem nałożyła go na kikut, by powstrzymać krwawienie.

– Zajmijcie się tą dłonią! – Kamus wydawał dalsze instrukcje. – Wsadzić ją do torebki piankowej, a potem do lodówki, niech poczeka na lekarzy.

Khadaji nagle poczuł się gorzej. Adrenalina traciła zbawczą moc, czuł, jak ogarnia go zmęczenie i lęk. Ręce zaczęły mu drżeć. Znał tę reakcję, niejednokrotnie przechodził podobne stany po starciach zbrojnych i wiedział, że to minie, ale mimo to pokusa, by wybiec na ulicę i gdzieś się schować była bardzo silna.

Ktoś dotknął jego ramienia. Juete.

– Dziękuję – powiedziała. – On by mnie zabił.

Pomimo uczucia mdłości i rozdygotanych dłoni, Khadajego ogarnęła nagle fala żądy. Chciał pochwycić tę kobietę, zmiażdżyć jej usta pocałunkiem, zedrzyć z niej body i przycisnąć nagie ciało do swojego. Czy to też stanowiło reakcję na walkę? Czy może znów śpiewały mu do ucha jej feromony, teraz jeszcze intensywniejsze z powodu strachu? Zmusił się do zdawkowego skinienia głową.

– Nie ma o czym mówić. Znałaś go?

– Kiedyś dla niego pracowałam – odparła Juete, zerkając na człowieka ze złamanym nadgarstkiem. – Był moim... agentem.

Khadaji znów skinął głową. Nie pytał, jaką pracę wykonywała dla człowieka, który właśnie zabił innego. Nie był pewien, czy w ogóle chce to wiedzieć.

Juete dotknęła jego ramienia tuż nad łokciem. Miał na sobie koszulę, ale mimo to poczuł ciepło palców.

– Dużo dla mnie ryzykowałeś.

Nagle odniósł wrażenie, jakby jej łagodny i głęboki głos wyszarpywał coś z głębi jego duszy.

– Nie mogę chyba pozwolić, żeby jacyś frajerzy strzelali do moich kelnerów, co nie?

Jeszcze zanim skończył mówić, zrozumiał, jak idiotycznie to zabrzmiało, ale przynajmniej rozładowało napięcie. Juete parsknęła śmiechem, a Khadaji jej zawtórował. Posłała mu czarujący uśmiech, nie cofając dłoni.

– Tak. Kryje się w tobie więcej, niż chcesz pokazać, ale przede mną niczego nie ukryjesz.

Pogadamy kiedyś o tym?

Khadaji poczuł, jak usta zalewa mu klej, język staje kołkiem, a gardło ściska plastokreta. Tym razem nie udało mu się nawet skinąć głową, ale Juete dojrzała odpowiedź w jego oczach i znów się uśmiechnęła.

– Koniec zabawy – oznajmił tymczasem Kamus. – Sprzątamy i wracamy do roboty.

Dźgnął człowieka ze złamanym nadgarstkiem ostrzem miecza, a ten wstał i podszedł do baru. Chwilę później zjawili się lekarze wraz z gliniarzami i zabrali zarówno trupa, jak i rannych. Okazało się, że Mang przeżyje, ale będzie wyłączony z akcji przynajmniej na miesiąc. Życiu pozostałych klientów również nie zagrażało niebezpieczeństwo. Nie można było pomóc jedynie człowiekowi, którego zastrzelił „agent” Juete – ubytki w mózgu okazały się zbyt rozległe. Cięcie Ramusa nie uszkodziło zanadto ręki człowieka z miotaczem, dzięki czemu dłoń bez trudu udało się później przyszyć.

Khadaji zapamiętał owo wydarzenie jako szczęśliwe, nawet pomimo tego, że poląła się krew. Przecież Juete uśmiechnęła się do niego, a nawet go dotknęła!

Przez resztę zmiany nie opuszczało go wrażenie, że tkwi w dziwnym stanie zawieszenia. Automatycznie, bez udziału świadomości mieszał drinki, a Kamus ścierał krew z klingi. Gładził wypolerowaną na połysk stal i od czasu do czasu chichotał pod nosem.

DZIESIĘĆ

Pen pokazał mu nóż, nim wyszli na zewnątrz.

Khadaji zważył broń w rękę, przeciął nią kilkakrotnie powietrze, a potem przyjrzał się ostrzu.

– Przypomina banana – stwierdził.

Pen pokiwał głową.

– Tak naprawdę ukształtowano go na podobieństwo zęba. W południowej części tego subkontynentu żył niegdyś pewien szablatozębny mięsożerca, spore zwierzę przypominające kota. Z każdej strony paszczy miał rząd czterech długich, ostrych kłów.

Khadaji już dawno się nauczył, że wypowiedzi Pena zawsze są sformułowane w taki sposób, by sprowokować go do zadania konkretnego pytania. Tak więc zadał je:

– Ciekawe, z jakich powodów zwierzę wykształciło taką broń?

– To przez korzenie – odpowiedział Pen, a Khadaji odniósł wrażenie, że w jego głosie pojawiła się nutka zadowolenia. – Południowe obszary są skaliste i pełne jaskiń. Swego czasu zamieszkiwało je mnóstwo zwierząt i tam właśnie szablatozębne drapieżniki urządziły polowania. Istnieje jednak pewna roślina, która wiąże zdobycz w systemie lepkich korzeni, a potem wysysa płyny z ich ciał. Wygląda na to, że owe kły wyewoluowały po to, by ów drapieżnik mógł łatwiej rozrywać wiążące go korzenie.

– Ciekawe. I skuteczne?

– Nie na dłuższą metę. Rośliny okazały się bardziej nieustępliwe i wciąż porastają południe kraju, a tymczasem drapieżniki zostały wytepione.

Khadaji zerknął na nóż. Rękojeść wykonano z ciemnego drewna o gęstej strukturze, a miejsce, z którego wychodziło zakrzywione ostrze, wieńczyła mosiężna nasadka. Po wewnętrznej stronie klinga była ostra, a po zewnętrznej, blisko rękojeści, ząbkowana. Skierowawszy nóż ostrzem do ziemi, Khadaji bez trudu wyobraził sobie, że trzyma kiel mięsożernej istoty.

– W tamtych rejonach prowadzi się obecnie sporo prac górniczych – ciągnął Pen. – Noże w kształcie kła były bardzo popularne wśród górników w początkach ludzkiego osadnictwa na tej planecie. Ręczne miotacze ognia czasami wybuchały w rękach, kiedy indziej

wyczerpywały im się akumulatory. Nóż okazał się więc bardziej niezawodną bronią.

Khadaji miał niewyraźne przecucie, że Pen do czegoś zmierza, ale nie potrafił odgadnąć, do czego.

– Wydaje mi się, że o wiele łatwiej byłoby po prostu ominąć te korzenie – stwierdził.

– I w tym sęk. Korzenie wyrastają niewiarygodnie szybko, są odporne na większość środków chwastobójczych i opanowały sztukę wtapiania się w ściany, sufit lub podłogę jaskiń i tuneli, przez co trudno je zauważyć. Wystarczy, by zwierzę czy człowiek znalazł się w pobliżu, a natychmiast ruszają do ataku.

Gdzie on się tego wszystkiego dowiedział?

– Rozumiem.

– Sam widzisz, że czasami problemu nie da się uniknąć. A w wielu przypadkach najprostsze środki okazują się najlepsze.

Pen wyciągnął dłoń po nóż.

– Idziemy? – zapytał, kierując się ku drzwiom zajmowanego przez nich pokoju. Khadaji wyszedł w ślad za nim.

Na zewnątrz jak zwykle panował mrok rozjaśniony jednym z dwóch księżyców planety i tysiącami gwiazd skraju galaktyki, aż po grupę ochrzczonej Włochami Dziwki. Powietrze było ciepłe i wilgotne, unosiła się w nim delikatna woń palonego drewna. Wokół bzyczały sennie insekty. Obaj mężczyźni podeszli do kręgu światła rzucanego przez lampę sodową.

Pen odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Khadajim. Wydawał się zrelaksowany, nie zdradzał postawą swoich zamiarów. Trzymał zakrzywiony nóż ostrzem w dół, tuż przy prawej nodze – z tej pozycji Khadaji nie potrafił go dostrzec, choć wiedział, że tam jest. Wiedział również, co jego nauczyciel zamierza z nim zrobić...

Pen niespodziewanie ruszył. Nie wykonał pchnięcia, nie skoczył, nie zerwał się – wystarczyło, że ledwie drgnął i nagle stał tuż przy przeciwniku, błyskawicznie pokonawszy dzielące ich dwa metry. Poderwał broń, celując prosto w jego mosznę. Gdyby doprowadził cios do końca, rozprułby go od pachwiny aż po mostek.

Khadaji usunął się na bok. Nie był to gwałtowny, chaotyczny odskok, a raczej płynna zmiana pozycji przypominająca ruch Pena.

Pen zakreślił nożem pętlę i znów ciął, tym razem w poprzek, mierząc w krtań.

Khadaji zanurkował i ostrze rozcięło powietrze nad jego głową. Płynnie cofnął się jeszcze o krok, oczekując następnego ataku.

Nóż zatoczył kolejną pętlę i wzniosł się wyżej, by runąć na czubek czaszki Khadajego. Ten znów zdążył się odsunąć.

Pen przystanął. Spojrzał na ucznia, trzymając broń za plecami, chcąc ukryć ją przed jego wzrokiem.

– Aha. Przez owo starcie zeszłej nocy w pubie zaszła w tobie przemiana.

Khadaji odpowiedział uśmiechem.

– Przecież ci ludzie byli gotowi mnie zabić.

– A ja nie? Wystarczyłoby, żebyś nie odsunął się na czas. – Pen podszedł bliżej. – Myślisz, że powstrzymałbym ostrze?

– Nie. Ale nie chcesz też, żebym umarł. Gdybyś musiał mnie trafić, zrobiłbyś to tak, by mnie nie zabić.

– Tak sądzisz? Dlaczego miałbym chcieć utrzymać cię przy życiu, gdyby się okazało, że nauka sumito nic nie daje?

Pen drgnął. Nóż wystrzelił zza jego pleców i zakreślił kilka ósemek z taką prędkością, że na chwilę stał się lśniąca smuga.

Khadaji z łatwością wycofał się poza jego zasięg.

– To nie tak, jak myślisz – powiedział. – Trudno to wyjaśnić. Ja czuję moc, ty jesteś nauczycielem, a oni mordercami.

Pen wybuchnął śmiechem.

– Bałeś się ich?

– Tak. Zwłaszcza gdy wszystko się skończyło.

– To dobrze. Ale nie pozwoliłeś, by strach cię sparaliżował.

Khadaji odrzucił włosy, gotów na kolejny atak.

– Było w tym jeszcze coś więcej – dodał. – Bałem się, ale zarazem czułem, że żyję. O wiele bardziej niż zwykle. No i... No i czułem niepokój.

Pen natarł i znów rozciął ciepły mrok stałą osadzoną w zębie zamierchłego drapieczy. Usunąwszy się z linii ataku, Khadaji zdołał w tej samej sekundzie uderzyć kantem dłoni w nadgarstek Pena. Mężczyzna w porę cofnął rękę. Próbował jeszcze obrócić nóż, by zadać czysty cios, lecz przeciwnik skutecznie mu to uniemożliwił.

– Dobrze – powiedział Pen. – A więc mówisz, że się niepokoiłeś. O tę egzotyczną?

– Tak.

Rzucił się na ucznia, ostrze zawirowało niczym łopata wirnika. Khadaji przypadł do ziemi, odtoczył się i poderwał już poza zasięgiem przeciwnika. Próbował go podciąć prawą nogą, ale Pen przeskoczył nad nią i w locie pchnął go w twarz. Tym razem blok eks-żołnierza okazał się skuteczny i uzbrojona ręka odskoczyła w tył. Pen przerzucił nóż do drugiej.

– Nie jestem człowiekiem, który udziela rad w podobnych sytuacjach – stwierdził. – My, bractwo Całunu, zazwyczaj wolimy uczyć tych rzeczy, których uczyć potrafimy. Jeśli chodzi o sprawy serc – lub gonad – nie jesteśmy w nich ekspertami. Miłości, podobnie jak zen, nie da się nauczyć. Można ją tylko poczuć.

Khadaji zaczął analizować jego słowa, a tymczasem Pen przeszedł po łuku na jego lewą stronę, luźno trzymając nóż.

– Ale masz swoje zdanie na jej temat.

– Moje zdanie nie ma znaczenia. – Pen wzruszył ramionami. – W tym przypadku ważne jest to, co ty myślisz. Chodzę po Dysku od jakiegoś czasu i wiem, że każdy z nas

przynajmniej raz w życiu dociera do tego punktu, co ty, nawet pomimo tego, że znajduje się wówczas na spirali dążącej w dół lub ku górze.

Znów się poruszył, celując w ucznia nożem.

Khadaji uskoczył przed śmiercionośnym ostrzem. Spróbował przewrócić nauczyciela, gdy ten przemknął obok niego, lecz chybił.

– Czy to właśnie z tego powodu nigdy nie mówisz mi o Całunie? – zapytał Khadaji. – Sądziś, że to kolejna rzecz, której nie da się nauczyć?

– Nie, raczej nie. Chodzi o to, że ty poruszasz się po innej płaszczyźnie. Nigdy nie zostaniesz kapłanem, Emile. Staniesz się wielkim człowiekiem na swój sposób. Kiedyś.

I wtedy nastąpił kolejny atak. Khadaji ujrzał koniec tej wymiany ciosów, gdy tylko zareagował. Dobrze wiedział, że przybrał idealną pozycję i doskonale nad sobą panował. Skoro to on stanowił cel ataku, miał pewną przewagę, nawet pomimo wieloletniego doświadczenia nauczyciela. W przeciwieństwie do broniącego się, atakujący musi bowiem wyjść poza siebie. Przy założeniu, że obaj dysponują identycznymi umiejętnościami, dawało to przewagę atakowanemu.

Podczas gdy Pen ciął w dół, Khadaji zawirował i wbił zagłębienie prawej dłoni w jego ramię, jednocześnie lewą ręką łapiąc go za lewy nadgarstek. Szarpnął mocno – nóż wypadł z dłoni Pena i obróciwszy się leniwie, wbił w ziemię – ale nie puszczał. Przyklęknął na jedno kolano, przez co Pen nagle znalazł się za jego plecami. Mężczyzna potknął się i potoczył po ziemi, miękko i czysto, lecz bardziej na podobieństwo jajka niż piłki. Poderwał się i stanął naprzeciwko Khadajego.

– Bardzo dobrze – powiedział z uznaniem. – Doskonale.

Khadaji wyszczerzył zęby. Po raz pierwszy udało mu się powalić Pena, choć od ich pierwszego treningu minął już niespełna rok. Czuł, że rozpierają go duma i zadowolenie, choć jakiś szepczący głos na skraju świadomości zadawał mu pytanie, czy przypadkiem stary nauczyciel nie pozwolił uczniowi zwyciężyć z powodów znanych tylko jemu samemu.

* * *

Blask przyciemnionych świateł na jaskrawym, czerwonym plastiku baru nadał jej policzkom różowego koloru, gdy się do niego uśmiechnęła.

– Chciałbyś zjeść ze mną śniadanie po zakończeniu zmiany? – zapytała.

– Tak – odparł, czując, jak serce zaczyna szybciej bić. – I to bardzo.

– W porządku. Mam trochę liści Mikkela z farszem, przywiózł je znajomy ze słonecznego pasma. Ugotuję je dla nas.

Khadaji z trudem przełknął ślinę przez nagle suche gardło. Patrzył, jak Juete odchodzi, niosąc tacę z chemami. Śniadanie. W jej mieszkaniu. Tylko we dwoje. Czując, jak jego penis budzi się do życia, odwrócił się szybko, by zrealizować kolejne zamówienie.

Ona tylko zaprosiła cię na śniadanie, durniu, nic ponad to! Tylko śniadanie!
Zaraz potem wyobraził sobie, jak Juete ściąga body i rozlał prawie pół butelki wina.
To się nigdy nie wydarzy, pomyślał.

* * *

Łóżko zakrywała czarna jedwabna pościel, niewiarygodnie kontrastująca z nagą skórą Juete. Opalona ręka Khadajego wyglądała obco, gdy sięgnął ku ramieniu kochanki. Obrócił ją do siebie, przyciągnął i pocałował delikatnie. Rozchyliła usta, jej język wolno pieścił jego.

– Ummm – mruknęła cicho.

Khadaji odchylił głowę, by się jej przyjrzeć. Tak, zdecydowanie miała różowe oczy. I różowe sutki, sterzące teraz niczym malutkie, zwarte różyczki. Idealnie białe włosy łonowe, równie miękkie i puszyste jak na główce dziecka. Jej ciało było smukłe i naprężone, czuł twarde mięśnie, gdy się o niego ocierała. Przesunął dłonią po jej plecach, aż dotarł do pośladka, podziwiając gładkość śnieżnobiałej skóry. Pogłaskał ją po biodrze, po ostrej kości wyraźnie odznaczającej się pod elastyczną skórą. Juete uniosła nogę, robiąc dla niego miejsce. Jej wargi sromowe były delikatne, gorące i lepkie. Znow cicho jęknęła, gdy natrafił na nie palcami, najpierw na większe, potem na mniejsze. Aż zadrżała, gdy odnalazł lechtaczkę i wbiła paznokcie w jego plecy. Przesunął się powoli w dół, chcąc jej posmakować, chcąc odetchnąć zapachem kobiecości. Wodził językiem tam, gdzie przed momentem zagłębił się jego palec, z początku smakując delikatnie, potem coraz zachłanniej.

– O, na bogów... – szepnęła. – Och, tak!

Złapał ją za nogi i odepchnął, przyciskając jej kolana do brzucha, a sobie robiąc więcej miejsca. Wgryzał się coraz głębiej. W odpowiedzi na jego pieszczotę Juete zaczęła się poruszać w najstarszym ze znanych ludzkości rytmie. Napierała na niego, aż uświadomił sobie, że czuje jej puls na ustach. Uśmiechnął się i jeszcze kilka razy poruszył językiem.

Wsunęła mu palce we włosy i odciągnęła jego głowę.

– Powoli. Daj mi złapać nieco tchu przed kolejną rundą.

– Na życzenie.

Nagle się poruszyła. Prześliznęła się po gładkich jedwabkach, odwróciła i jednym płynnym ruchem wzięła do ust jego członka. Khadaji poczuł, jak zamyka wargi i wsuwa sobie go całego do gardła. Cholera! Znow stał się młodym chłopcem z członkiem tak naprężonym, jakby miał zaraz pęknąć. Wszystkie techniki, których wyuczył się z najrozmaitszymi partnerkami na przestrzeni lat, poszły w niepamięć, zupełnie nad sobą nie panował. Kiedy Juete odnalazła palcem jego prostatę i nacisnęła, w jego lędźwiach jakby pękła tama. O Boże!

Gdy spazm rozkoszy minął, cofnęła się powoli, oblizując czubek wciąż napęczniałego penisa. Wspięła się wyżej, by go objąć.

– Teraz wiem, jak się czuje lawina – powiedział.

– Fajnie było, no nie? – odparła z uśmiechem.

Khadaji oparł się na łokciu. Nie miał wątpliwości, że patrzy na najpiękniejszą kobietę swojego życia. Wydawała się przez cały czas promieniować seksualnym powabem, teraz, po wstrząsającym orgazmie, jaki mu zafundowała, nawet bardziej niż wcześniej. Objął ją i przytulił, a potem gładko w nią wszedł. Opadła na plecy i wpiła dłonie w jego pośladki. W środku była ciasna, ale wilgotna, pasowali do siebie, jakby zostali dla siebie stworzeni. Poruszali się coraz szybciej, aż ich podrygiwanie przeszło w szaleństwo.

– Ko-cham-cię... – wydyszał Khadaji w rytm kolejnych pchnięć, ale słowa utonęły w wirze namiętności.

* * *

Gdy Khadaji wszedł do pokoju, Pen z zamkniętymi oczami siedział na środku łóżka. Było już późno, zmiana Khadajego rozpoczynała się za kilka godzin, a on czuł narastające zmęczenie. Pod żadnym pozorem nie mógłby jednak nazwać siebie nieszczęśliwym.

– I? – spytał Pen.

Nie musiał mówić nic więcej. Obaj mężczyźni wykształcili umiejętność odczytywania wzajemnie swoich nastrojów.

– Jest cudowna – powiedział Khadaji. – Kocham ją.

Pen pokiwał głową, ale nie odezwał się już słowem. Nastąpiła chwila ciszy.

– Nie umiem tego wyjaśnić. Ona...

– Nie trzeba niczego wyjaśniać. Rozumiem. Ten moment się zbliżał, aż wreszcie nadszedł.

Słowa starego nauczyciela zabrzmiały dziwnie złowieszczo.

– Jaki moment?

– Abym ponownie wyruszył w moją wędrówkę. A ty w swoją.

– Co... co takiego?

– Będziesz teraz chciał spędzać czas z ukochaną. – Pen uśmiechnął się. – Jest wiele rzeczy, których możesz się od niej nauczyć.

– Ale... ale przecież... przecież to nie oznacza, że...

– Ależ oznacza – rzekł cicho Pen. Rozprostował nogi skrzyżowane dotychczas w pozycji odpowiedniej do medytacji, przesunął się na krawędź łóżka, a potem wstał. Wciąż uśmiechnięty, podszedł do Khadajego.

– Nauczyłeś się wszystkiego, co mogę ci przekazać. Teraz potrzeba ci innych nauczycieli oraz czasu, a wiele luk wypełni doświadczenie.

Khadaji wpatrywał się w otuloną całunem postać, wciąż nie potrafiąc wyjść z szoku. Pewnie, przecież Pen mówił na samym początku, że będzie mu towarzyszył tylko przez jakiś czas, ale tak czy owak to było nie w porządku. Tu chodziło o Juete, to ona stanowiła sedno

sprawy, to przez nią Pen postanowił odejść. Khadaji zaczął myśleć jednocześnie o Juete i o nim, o mężczyźnie, który był dla niego zarazem ojcem, bratem i nauczycielem od chwili, gdy się poznali. Wiedział, po prostu wiedział, że jeśli obieca zapomnieć o tej kobiecie, Pen zostanie.

A zatem to kolejny test.

W tej samej chwili jednakże powrócił myślami do dziewczyny i do dnia, który spędzili razem, wychodząc z łóżka tylko po to, by się załatwić lub przynieść coś do picia. Pomyślał o pasji, jaka nim owładnęła, o uczuciu, które więziło go nawet teraz. Czy było w tym coś więcej niż pożądanie? Czy kochał, tak jak nieraz to wyznawał? O tak, co do tego akurat nie miał wątpliwości. Ale czy potrafiłby zrezygnować z miłości, by zatrzymać Pena? A jeśli Pen naprawdę postanowił odejść? Czy wówczas propozycja rzucenia Juete nie byłaby jedynie próżnym gestem? Przypomniał sobie jej usta i dłonie, przypomniał sobie jej dotyk. Pen odszedłby tak czy owak, a Juete tylko to przyspieszyła. Khadaji stwierdził w duchu, że nie jest to bynajmniej żadne usprawiedliwienie z jego strony, ale daleko na skraj świadomości jakiś cichy głos śmiał się z niego złośliwie.

* * *

Juete posłała Khadajemu uśmiech znad czerwonego baru, a on odruchowo odpowiedział tym samym. Patrzył, jak znika w tłumie i znów ogarnęło go pożądanie, nawet pomimo tego, że czuł do siebie obrzydzenie. Czy właśnie nie robił tego, co robiło tak wielu wojskowych? Czy nie myślał fiutem?

Pokręcił głową i zabrał się za ścieranie plam z baru. Nie. Kochał tę egzotyczkę i chodziło o coś więcej niż tylko o seks. Ona intrygowała, kryła w sobie głębię, ona była... egzotyczna w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. A Pen...

Pen wyjechał. Khadaji osobiście odprowadził go do kosmodromu, ale jego nauczyciel nie wydawał się wówczas smutny czy zdenerwowany. Śmiał się, wyściskał ucznia, powiedział mu, by niczym się nie przejmował. Dodał, że wszystko się ułoży, bo przecież on, Khadaji, urodził się przeznaczony do tego, do czego był przeznaczony. Któż mógł wiedzieć, dokąd zabierze go kolejny obrót Dysku?

Czekając, aż prom zejdzie w dół, zanurzył dłoń w fałdach szaty i wydobył niewielką stalową kulkę. Podał ją uczniowi.

– Co to takiego? – spytał Khadaji.

– Moje kompendium. Zapis barmańskiej kariery.

– Nie mogę tego przyjąć...

– Mam kopię, Emile.

– Ale przecież tyle mi już ofiarowałaś...

– Dałem ci tylko tyle, ile mogłem, a to wcale nie tak dużo. Któregoś dnia, gdy dotrzesz

tam, gdzie ci to pisane, uśmiechnę się i pożałuję, że nie wysiliłem się bardziej.

Khadaji poczuł ostre ukłucie winy.

– Nie musisz odchodzić, Pen.

– Muszę, Emile, ale jest jedna rzecz, którą chciałbym zrobić, zanim cię opuszczę.

Z tymi słowami Pen wsunął dłonie pod kaptur i ściągnął szal. Po raz pierwszy Khadaji ujrzał twarz człowieka, u boku którego spędził prawie rok. Pen pochylił się powoli, bardzo powoli, ucałował Khadajego prosto w usta, a potem znów obwiązał twarz. Nikt z garstki podróżnych stojących w poczekalni nie widział jego twarzy, nikt z wyjątkiem Khadajego. Łzy spływały mu po policzkach, gdy patrzył, jak stary nauczyciel wchodzi na prom i znika z jego życia.

JEDENAŚCIE

Praca w pubie zamieniła się w wygodną rutynę. Raz na jakiś czas ktoś zamawiał rzadkiego drinka czy proszek, a od święta nawet jakiś radiant. Kamus szwendał się dookoła, uśmiechał i ukradkiem gładził rękojeść starego miecza. Wyglądało na to, że jest zadowolony z pracy Khadajego. Pen znikł, ale jego uczeń nadal w samotności ćwiczył sztukę samokontroli i taniec sumito. Było tak, jak zwykł mawiać Pen – jeśli potrafisz precyzyjnie kontrolować swoje ruchy, właściwie nie potrzebujesz przeciwnika.

Do tego dochodziła jeszcze Juete. Niewiele czasu zostawało Khadajemu na cokolwiek innego.

Juete. Niewiarygodna dziewczyna. Potrafiła go zmęczyć jak żadna inna. Czasami kochali się tak długo, że przestawał pamiętać, kim w ogóle jest, bez reszty pogrążony w rozkosznym odurzeniu, z głupkowatym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Poznawał ją jednak również na inne sposoby. Pewnego poranka, po cichej, senniejszej miłości, leżała na łóżku, tuląc jego głowę i gładząc policzki koniuszkami palców.

– Ależ z ciebie słodki chłopiec – powiedziała nagle.

– Chłopiec?

Uśmiechnęła się do niego z góry.

– Wszystko jest względne, mój kochanku. Nie mam aż tylu lat, żebym mogła uchodzić za twoją matkę, ale zdecydowanie mogłabym być twoją starszą siostrą.

– Musiałbym najpierw odkryć w sobie zapędy kazirodcze – odparł Khadaji.

– Istnieją gorsze rzeczy. Ale z pewnością jestem o kilka standardowych lat starsza od ciebie.

Już wcześniej zdążył się tego domyślić, ale ograniczył się do krótkiego:

– No i?

Juete wydawała się patrzeć gdzieś daleko, przenikać wzrokiem ściany. W powietrzu wisiał zapach seksu, z wolna ustępując aromatom kadzidełka, które przed chwilą rozpalila.

Drzewo sandałowe, pomyślał. A może jakiś rodzaj piżma?

– Starsza nie zawsze oznacza mądrzejsza, Emile – odezwała się w końcu. – Ale zawsze to kilka lat więcej. Czyli więcej doświadczenia. Dłuższy staż w radzeniu sobie z całą galaktyką,

w dbaniu o siebie.

W jej głosie pojawiła się jakaś niepokojąca nuta i Emile zapragnął ożywić nastrój.

– Wiesz, ja nie przyszedłem na świat wczoraj – powiedział. – Co nieco rozumiem.

Próbował się roześmiać, ale nie wyszło to przekonująco.

Pochyliła się, by go pocałować, najpierw w czoło, a potem w przymknięte powieki. Nie musiała mówić tego na głos – milczący gest powiedział za nią.

Nie, nie rozumiesz, Emile.

* * *

Zbliżał się koniec zmiany i ruch na chwilę ustał. Khadaji przysłuchiwał się opowieści, którą staruszek Kamus snuł przy kilku stałych bywalcach. Juete wyszła wcześniej – w pubie niewiele się działo, a ona stwierdziła, że jest już zmęczona. Kiedy Kamus dokończył opowieść, grono słuchaczy zaczęło się rozchodzić. Właściciel lokalu odwrócił się wówczas do Khadajego.

– Wygląda na to, że nieźle dajesz sobie radę – stwierdził. – Interes przez ciebie nie ucierpiał, a nawet wręcz przeciwnie.

Khadaji poczuł, jak łechce go duma, ale odparł:

– Po prostu robię to, za co mi płacisz, Kamus.

– Tak, ale jednocześnie umiesz się dogadać z klientami. Lubią cię, a odkąd jesteś z Juete, podczas zmiany higieny cementarnej zrobiło się o wiele spokojniej.

– Spokojniej? – Khadaji nie zrozumiał.

Staruszek pociągnął tęgi łyk z kufla ze splashem, a potem oparł się o bar.

– Pewnie. Nie masz pojęcia o egzotyczkach, synu, nawet pomimo tego, że z jedną żyjesz. Wywołują sporo zamieszania wśród zwykłych ludzi.

Khadaji poczuł, że bezwiednie napina mięśnie. Usiłował się uspokoić, korzystając z jednej z mantr Pena, ale uwadze Kamusa nie umknęło jego pobudzenie.

– Nie bierz tego do siebie, synu. Juete to porządna babka, ale nic nie poradzi, że jest egzotyczką. Wszyscy oni tak działają na innych, bez względu na to, czy są kobietami, czy facetami, czy są starzy, czy młodzi. Ludzie lgną do nich jak muchy do gówna. To chyba jest jakaś chemia, czy co.

Khadaji przypomniał sobie uwagę Pena na temat feromonów.

Ale to przecież bez znaczenia...

– Tak czy owak, wielu ludzi dostaje na ich punkcie szajby. Wiesz, że wiele egzotycznych to prostytutki?

Khadaji skinął głową. Sama Juete mu o tym wspominała.

– Wiele z nich nie ma na to zbytnej ochoty, ale w sumie po to właśnie zostały stworzone. Zazwyczaj ciężko natknąć się na egzotyczkę, której nie otacza grupka ludzi, a każdy z nich

intensywnie główkuje, jakby się do niej dobrać.

Khadaji nie powiedział ani słowa, ale zaczął się zastanawiać, do czego staruszek zmierza.

– Hej, Emile, zrobisz mi jeszcze jeden wypalacz?

Uniósł głowę i uśmiechnął się do niskiego człowieka siedzącego przy drugim końcu baru. Podczas gdy sporządzał drinka, Kamus wciąż gadał.

– Z reguły miejscowi pamiętają, żeby nie wszczynać burd w „Dicku”. – Zerknął na wiszący na ścianie miecz. – Jak mnie trafi szlag, to staję się niebezpieczny i ludzie dobrze o tym wiedzą. Ale mimo to bywały noce, kiedy Mang musiał siłą wywaląć facetów – i kobiety – którzy na widok Juete wywalali jęczory. Wielu ludzi przy niej staje się zaborczych. Po tym, jak dałeś wycisk temu kurwiarzowi i jego psu, poniosła się plotka, że jesteś szybki i niebezpieczny. Tak więc ludzie ostrożniej próbują się dobrać do Juete. Przynajmniej tutaj, w pubie.

Coś w tonie głosu Kamusa sprawiło, że Khadaji poczuł w brzuchu przeszywające zimno, zupełnie jakby ktoś wbił mu w trzewia sople. Tutaj, w pubie? Co on miał na myśli? I jak się wyraził? Kurwiarz?

Kamus odszedł, żeby zamienić kilka słów z dwiema starszymi kobietami, które właśnie weszły do lokalu i Khadaji stracił okazję, by go przepytac. Nie był jednak pewien, czy odważyłyby się głośno powiedzieć o swoich wątpliwościach, nawet gdyby staruszek nigdzie się nie ruszył.

* * *

Gdy wreszcie dotarł do mieszkania, Juete czekała na niego w progu – całkiem naga. Wszelkie lęki czy wątpliwości uleciały w jednej chwili, gdy tylko ujrzał, jak opada na kolana, by zdjąć mu spodnie. Chwilę później poczuł miękki dotyk ust na twardej męskości.

* * *

Zgodnie z przewidywaniami Pena, ludzie w pubie często rozmawiali z Khadajim. Słuchał ich, częściowo skupiony na pracy, a częściowo na ich słowach. Wielu z jego rozmówców sądziło, że ich temat bądź problem jest jedyny w swoim rodzaju, ale nie minęło wiele czasu, gdy w opowiadanych mu historiach zaczął dostrzegać wspólne elementy.

– ...i mówi mi, że się, kurwa, na rzeczy nie znam! Uwierzyłyś w coś takiego? No to mówię mu: słuchaj, lachociągu jeden, jestem tu od dwudziestu dwóch lat! Zacząłem tę robotę, zanim ty nauczyłeś się podstaw i znam ją, kurwa, o wiele lepiej od ciebie! Jak ci się nie podoba, to spierdalaj z tym do zarządcy, mówię mu. I wal się na ryj!...

– ...a jemu w głowie tylko młodsze i bardziej gibkie! Buddo, zapłaciłam za tę cholerną operację, odmłodziłam się na maksa, ile tylko się dało. Nie wyglądam na sześćdziesiątkę,

wyglądam na trzydzieści pięć góra, widzisz, jak mi cycki sterczą? I znam się na rzeczy, stary, wierz mi. Jak się postaram, to mężczyzna będzie wyl jak pies! A ten palant dupczy jakąś sikę, która mogłaby być naszą wnuczką! Co taka gówniara może wiedzieć o seksie? Czemu on to robi? Nie rozumiem facetów, są takimi dupkami...

– ...oblałem ten egzamin, całkiem, dałem dupy że hej. Dla moich starych, rodzeństwa i klasy jestem zerem. Wszyscy się ze mnie nabijają, kapujesz? Jasne, mam jeszcze drugie podejście, ale to dopiero za sześć miesięcy, i to podczas Światła! Kto by tam chciał zakuwać przy świetle słonecznym...

Khadaji udzielał rad, kiwał głową, wydawał z siebie mruknięcia współczucia i zrozumienia, stąd też wielu klientów wychodziło z założenia, że wie więcej niż w rzeczywistości. Ale uczył się szybko. Na rodzaj ludzki składało się wiele typów indywidualności i opowiadane przez nich historie, chociaż podobne, były prawdziwe. Miłość, nienawiść, żądza, strach – wszystkie i wszędzie okazywały się podobne. Odkrył jednakże, że istnieje jeszcze jeden rodzaj emocji.

Ów mężczyzna pracował jako mechanik na frachtowcu, który dostarczał ciężkie maszyny spoza systemu. Był wielki, dobrze zbudowany i atrakcyjny. Siedział za barem w brudnym od smarów kombinezonie, wciągał spirale *kick-dustu* i śmiał się głośno. Rozmawiał właśnie z jednym z miejscowych.

– ...w życiu nie trafiłem na lepszą! Posuwałem panienki na dwunastu planetach w czterech systemach, ale ta cipa była wręcz utalentowana! Nigdy dotąd nie rznąłem egzotycznej i okazuje się, że plotki nie kłamią! – Zarechotał, ubawiony własnymi słowami. – Nie sposób jej było nasycić, co rusz chciała inaczej, chłopie! Normalnie żalowałem, że nie mam fiuta androida, bo bałem się, że mi coś tam popęka! I wiesz co? Nie wzięła ani pół standarda. Najlepsza cizia w moim życiu za darmo! Kurwa, aż się zastanawiam, czy nie zerwać się ze statku i nie zostać tutaj...

Nagle urwał i wbił wzrok w tłum. Szturchnął miejscowego mięsistą dłonią i wykrzyknął:

– Kurwa, to ona!

Khadaji odwrócił się, ciekawy, kto dał owemu mechanikowi tyle szczęścia.

I odkrył, że mężczyzna spogląda na Juete.

To musiała być jakaś cholerna pomyłka. Wystarczyło jednak, by chwilę pomyślał, a już wiedział, że to najszczęsza prawda. Juete nie należała do dziewczyn, które można tak po prostu zapomnieć. Nadzieją nagle napełniła go myśl, że ona i ten mechanik spotkali się wcześniej, jeszcze zanim ją pokochał. Nie mógł rościć sobie pretensji do jej przeszłości, nie mógł jej za nią winić.

Tymczasem olbrzym zsunął się z krzesła. Na jego twarzy widniał szeroki uśmiech.

– Minęły już dwa dni! Jestem gotów na kolejną porcję! – oznajmił.

Dwa dni. Khadaji poczuł, jak w jego brzuch ponownie wbija się ostry soplel i błyskawicznie dociera do mózgu, paralizując ciało. Zapomniał o otaczającej go

rzeczywistości, cały jego świat ograniczał się do mechanika z frachtowca podchodzącego do Juete. Dwa dni temu wyszła wcześniej z pracy. Minęły długie godziny, nim się spotkali. Nie, to przecież niemożliwe.

Spojrzenie, którym Juete obdarzyła barczystego mężczyznę, nie było spojrzeniem, jakim wita się nieznanego. Uśmiechnęła się i coś powiedziała – Khadaji znajdował się zbyt daleko, by usłyszeć słowa – a mechanik zareagował na to uśmiechem. Khadaji odwrócił się i wbił wzrok w ścianę, nie chcąc patrzeć na tę scenę.

Wiedział, że kieruje nim irracjonalne uczucie. Monogamia była przestarzałą tradycją, w której słusność sam zresztą dotąd nie wierzył. W cywilizowanych społeczeństwach ludzie nie posiadali siebie na własność, nikt nie oczekiwał, że jego partner bądź partnerka stanie się częścią majątku ruchomego. Sam bez wątpienia przeżył dotychczasowe życie w dość liberalny sposób i nie miał powodów, by spodziewać się po Juete innego podejścia. Przez jego umysł przemknęło słowo „kurwiarz”, którego użył Kamus, a nad którym nie chciał się dotychczas zastanawiać. Nie, jej przeszłość należała do niej, była jej sprawą, podobnie jak jej terażniejszość i przyszłość. Khadaji wiedział o tym doskonale. Tak mu przynajmniej podpowiadał umysł.

Dlaczego więc miał ochotę wrzeszczeć? Czyżby zachowywał się tak jak wszyscy inni, którzy łazili za egzotycznymi z wywalonymi jęzorami? Czyżby był zaborczy? Zazdrosny?

– Nie teraz! – krzyknęła głośno Juete.

Khadaji odwrócił się błyskawicznie i ujrzał, jak olbrzymi mechanik ciągnie ją za rękę ku wyjściu. Spojrzała na Khadajego, a w jej oczach odbiła się prośba.

Nie pamiętał, by się w ogóle poruszył, ale niespodziewanie znalazł się po drugiej stronie baru i napierał w ich kierunku. W jego umyśle pojawiały się wizje morderstwa. Miał ochotę rozerwać ciało tego gnojka na krwawe strzępy...

Kamus zastąpił mu drogę.

– Spokojnie, synu. Mang to załatwi.

Khadaji zawahał się. W pierwszej chwili zamierzał powiedzieć staruszkowi, by się wynosił do wszystkich diabłów, ale wtedy ujrzał bramkarza wlekącego mechanika w ten sam sposób, w jaki on przed momentem włókł Juete.

Czuł, jak kipi w nim furia i ledwie sekundy dzieli go od eksplozji. Nie! Nie chciał, by Mang po prostu wyprowadził tego skurwysyna! Chciał załatwić to sam! Ona była jego kobietą! Chciał... Chciał...

Czego byś chciał, Khadaji? – zapytał cichy głos gdzieś z otchłani jego umysłu. Zabić go? Tak jak tych fanatyków na Maro? Czy to oznaka cywilizowanego społeczeństwa? Kiedy ogarnia cię wściekłość, rozwiązujesz problem, mordując?

Świadomość tego, co właśnie chciał zrobić, wstrząsnęła nim do głębi, aż przestał na moment oddychać. Staruszek nadal stał mu na drodze i przyglądał mu się uważnie. Khadaji w końcu wypuścił powietrze, a wraz z nim gniew i nienawiść. W tym, co jeszcze przed chwilą

zamierzał, kryło się coś bardzo złego, coś przypominającego działania Konfederacji, która pragnęła ujarzmić światy i systemy galaktyki. Wiedział, że to coś ważnego, ale nie potrafił tego zrozumieć, prawdziwe znaczenie wciąż mu się wymykało.

– W porządku, synu?

Khadaji pokiwał głową, choć było to dalekie od prawdy.

Zaraz potem podeszła do nich Juete i Kamus szybko się ulotnił.

– On był twoim kochankiem – powiedział Khadaji. Jego gniew należał już do przeszłości, ale wciąż dławiła go zazdrość.

– Tak. Przez krótką chwilę.

– Dwa dni temu. Gdy wyszłaś wcześniej z pracy.

– Tak.

– Byli jeszcze inni, odkąd my...

– Tak.

Khadaji odwrócił głowę, nie chcąc na nią patrzeć. Za barem Kamus mieszał jakieś chemy, a klienci nie zwracali na nich dwoje uwagi.

– Przeszkadza ci to – stwierdziła Juete. – Właśnie dlatego nic ci nie mówiłam.

– Ale... ale dlaczego? Czyżbym ja ci nie wystarczał?

Nie spodziewał się usłyszeć takiej odpowiedzi:

– Nie. Nie wystarczasz.

Zabolało. Przez moment chciał ją uderzyć, ale zamiast tego zacisnął pięści. Poczuł, jak paznokcie przebijają mu skórę dłoni. Było w tym coś złego...

– To nie twoja wina – dodała Juete ciszej. – My po prostu takie jesteśmy. To, co przyciąga cię do mnie, działa w obie strony, Emile, lecz moje żądze są o wiele intensywniejsze od twoich czy od żądz jakiegokolwiek innego człowieka. Ja po prostu muszę czerpać tę energię, ta potrzeba jest zaprogramowana we mnie w ten sam sposób, co kolor włosów czy oczu.

Khadaji nie zareagował. Stał nieruchomo i wpatrywał się w nią.

– Ja to po prostu lubię, Emile. Lubię seks. Lubię cały proces, od poznawania kogoś nowego, przez konsumpcję, na przyjemności po wszystkim kończąc.

– Ale przecież ja cię kocham! – niemal krzyknął, a jego słowa zabrzmiały płaczkliwie.

– Wiem. A ja kocham cię. Moje potrzeby nie mają z tym nic wspólnego.

Znów nie był w stanie wykrztusić z siebie choćby słowa.

– Nic nie rozumiesz. Ale tak to już jest z normalnymi ludźmi. – Dotknęła jego ramienia. – Wiesz, co stanowi najczęstszą przyczynę śmierci wśród zwykłych ludzi? Ponieważ większość chorób daje się już uleczyć, ludzie umierają przede wszystkim w wyniku wypadków lub po prostu ze starości. Wśród egzotycznych główną przyczyną jest morderstwo.

– Morderstwo?

– Tak. – Juete pokiwała głową. – Giniemy zazwyczaj z ręki nieegzotyków. Jesteśmy

mordowane przez zazdrosnych kochanków, kurwiarzy i alfonsów, którzy nas wynajmują, przez desperatów, którzy chcieliby być tacy jak my. Trzy na pięć martwych egzotyczek ginie z czyjejś ręki. Ba, czasami nawet zabijamy siebie nawzajem.

– Ja... nie zdawałem sobie sprawy...

– Oczywiście, że nie. To, czym jesteśmy i co robimy, sprawia, że stajemy się celem dla wszystkich, którzy nas otaczają.

– Ale... Ale czy nie mogłabyś... Nie dałoby się jakoś tego wyciszyć? Na pewno są jakieś lekarstwa czy terapie, które mogłyby...

– Powstrzymać seksualne pragnienia? Pewnie, są. Ale czy ty zdecydowałbyś się na taką opcję? Nawet gdybyś to zrobił, mógłbyś później odkryć, że tak naprawdę w niczym to nie pomogło. Nawet po terapii nadal jesteśmy pożądane. Spójrz tylko na siebie – nadal mnie pragniesz pomimo tego, co ci właśnie powiedziałam.

Khadaji raptem poczuł się winny. Nie pomyliła się, pragnął jej, miał erekcję i był gotowy.

– Mogłabym łykać kombinację hormonów, wytlumiaczy feromonalnych i innych substancji, po których stałabym się bardziej normalna. Mogłabym zmienić kolor włosów i skóry, założyć barwne soczewki i zachowywać się jak zwykła kobieta. Mogłabym. Gdybym tylko chciała...

– Gdybym tylko chciała – podjęła po chwili milczenia. – Ale nie chcę. Lubię być atrakcyjna. Lubię zaciągać do łóżka nowych kochanków, zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Na tym polega moja natura. Skoro naprawdę mnie kochasz, będziesz musiał nauczyć się to tolerować.

Gdzieś na skraju umysłu Khadajego pojawiła się myśl, której w ogóle nie chciał brać pod uwagę, ale która nie dawała się przegonić.

– Zwabiłaś mnie do łóżka, bo mogłem ochronić cię przed ludźmi pokroju tego mechanika? Lub tego kurwiarza?

– Uratowałaś mi życie – odpowiedziała. – Chciałam ci okazać wdzięczność najlepiej, jak potrafię. A potem chciałam to ciągnąć, bo jesteś dobrym kochankiem. Ale... Ale bez wątpienia uznałam twoje warunki fizyczne za zaletę.

Poczuł się ogłupiony.

Oto cały ty, Khadaji. Ślepy, głuchy i głupi, no nie?

– Przykro mi, jeśli cię zraniłam, Emile. Naprawdę uważam, że słodki z ciebie chłopiec.

– Jestem mężczyzną, a nie chłopcem!

– To zachowuj się jak mężczyzna. Rozważ to, co tracisz i zastanów się, czy to, co zostanie, nadal ci odpowiada. Już ci mówiłam, że potrafię zatroszczyć się o siebie. Musisz to zrozumieć.

Juete zsunęła dłoń z ramienia Khadajego i musnęła jego krocze. Gdy tylko cofnęła rękę, poczuł, jak już sztywny członek nabrzmiewa jeszcze bardziej. Chciał się odwrócić i odejść, czuł się zdradzony, chciał jej powiedzieć, że nie będzie ciągnął jej gry. Ale nie dał rady.

Gdy Juete wyszła z pracy, Khadaji ruszył za nią.

Nigdy dotąd nie kochali się tak intensywnie, nigdy dotąd nie zaznali takich rozkoszy.

Później, gdy Juete zasnęła, Khadaji cicho płakał. Co miał teraz począć? Do tej pory sądził, że ta kobieta będzie jego na wieki i że kocha go równie mocno, jak on ją. Czy nauczy się tolerować jej kochanków? Nauczy się akceptować żądze, które czyniły ją tak odmienną? Wydawało mu się, że temu podoła. Nawet w tej sytuacji byłby to o wiele lepszy związek niż jakikolwiek z jego dotychczasowych, chociaż nie taki, jak to sobie do tej pory wyobrażał.

Wreszcie zrozumiał, jakim był naiwniakiem. Naraz przypomniał sobie coś, co usłyszał kiedyś od Pena – że będzie potrzebował innych nauczycieli. Cóż, czegoś się nauczył. O sobie. Od niej.

Spojrzał na Juete, na idealnie białe ciało okryte czarnym jedwabiem. Wyglądała pięknie... a on naprawdę ją kochał. Ale nigdy już nie będzie tak jak wcześniej.

Nigdy.

DWANAŚCIE

Wygodny rytm pracy, ćwiczeń i spotkań z Juete pozornie nie uległ zmianie. Praca przychodziła Khadajemu coraz łatwiej, stawała się wręcz nudna. Raz na jakiś czas musiał poszukać nowej receptury, ale w większości przypadków potrafił w dwie minuty sporządzić drinka, przy którym kilka miesięcy wcześniej męczyłby się dziesięć. Ćwiczenia sumito również przynosiły rezultaty – poświęcał im czas codziennie, a jego kontrola zwiększała się powoli, lecz równomiernie. Juete przynosiła mu tyle satysfakcji, co zawsze. Starła się zachowywać dyskrecję i Khadaji nigdy nie był pewien, czy ma akurat jakiegoś kochanka. Mimo to zdawał sobie sprawę, że spotyka się z innymi mężczyznami, a może i kobietami. Spędzała z nim dużo wolnego czasu, lecz nie cały. I chociaż często kusiło go, by ją o to wypytać, nigdy tego nie zrobił. Dopóki nie musiał o niczym wiedzieć, dopóty jakoś to znosił. Gdy zaś zaczynał o tym myśleć, zdobywał się przynajmniej na tyle uczciwości, by przyznać, że najprawdopodobniej jego wyobraźnia maluje wizje o wiele gorsze od rzeczywistości. I wciąż jakoś to znosił.

Dni i tygodnie zlewały się w monochromatyczną rutynę, która dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Z rzadka ogarniał go entuzjazm, ale przynajmniej nie zdarzało się, by wiodło mu się gorzej. Praca, ćwiczenia, Juete... Nie było czegoś, na co naprawdę mógłby narzekać, czegoś, co stanowiłoby prawdziwy problem. Nie czuł, że coś się dzieje źle, nie dręczyły go wyrzuty sumienia – krótko mówiąc, wszystko we względnym porządku. Żył w ten sposób z dnia na dzień, trwając w stanie nieokreślonego niepokoju ducha.

W końcu to jeden z gości doprowadził do tego, że świat wokół Khadajego na powrót nabrał barw, a w jego życiu pojawił się cel. Owym gościem była starsza kobieta niemalże zatopiona w odmętach drogiego wina. Rozmawiała z Khadajim tylko dlatego, że akurat znajdował się pod ręką, a on sam miał wrażenie, że gdyby nawet znikł, nieznajoma opowiedziałaby wszystko ścianie.

– ...dziewięćdziesiąt siedem lat, chłopcze. Tyle właśnie mam. Może zostało mi jeszcze jakieś, no... dwadzieścia pięć. Byłoby w porządku, gdybym to jeszcze tylko miałam te sssame ciałko co w wieku lat szter... szterdziestu. Ale teraz? Z tym, co mam? Co ja sobie wogle łeb zaszłam? A mogłam zostać kimś, wiesz? Miałam szanse. Mogłam po... polecieć

na Ziemię i zostać panienką jakiejś bogatej zdziry. Mogłam być bogata, mogłam mieśś władzę, mogłam być kimś! Ale nie. Olałam to, nie chciałam ryzykowaćś. Myślałam sobie, że mam czas, kupę czasu. Byłam młoda, miałam szczerdziechę! A teraz jestem stara i wszystko już minęło, za późno.

Uniosła głowę znad kieliszka i zapatrzyła się w Khadajego, który stał w ciszy za barem. Pub niemalże opustoszał i nie było dla kogo przyrządzać kolejnych chemów.

– Ale ty nis nie kapujesz. Jesteś młody, myślisz sobie, że masz czasu od cholery na wszystko, no nie? Przeputam se roczek tutaj, potem przehulam roczek tam, pies to trącał, mam kupę czasu!

Uniosła kieliszek, opróżniła go i zupełnie jakby nadal był pełen, a ona obawiała się rozlać jego zawartość, bardzo ostrożnie postawiła go na wypolerowanym blacie.

– Ale to bład. Bład!

Khadaji przytaknął kiwnięciem głowy, lecz bardziej własnym myśłom aniżeli słowom kobiety. Nie oślepił go rozbłysk nowej mądrości, nie znalazł się w środku kosmicznej gonitwy skojarzeń, ale naraz ujrzał wszystko wyraźniej. Co on tu właściwie robił? Zasuwał w pubie na jakimś zadupiu galaktyki, wysłuchiwał setek pijusów, pogrążony w rutynie, która była wygodna i przyjemna, ale prowadziła donikąd. Próbował przypomnieć sobie to uczucie, które ogarnęło go podczas bitwy na Maro, kiedy zdezerterował, ale owa pewność i owa świadomość celu były teraz jedynie bladym wspomnieniem. Kiedy to wspomnienie wyblakło? I dlaczego? Przecież dobrze pamiętał przerażenie, jakie budziła w nim masakra. Każda Konfederacja, która godziła się z czymś takim, musiała być wytworem zła. Należało się jej przeciwstawić.

A ty znalazłeś się w idealnym miejscu, by jej zaszkodzić, co nie?

– Jeszcze jeden – zażądała staruszka.

Khadaji odruchowo wprowadził zamówienie do terminalu i odczekał, aż dispenser napelni kieliszek produktami fermentacji soku z winogron trzech szczepów. Zabawne, jak dalece zgłębił wszystkie zagadnienia związane z pracą. W kieliszku znajdowała się mieszanina pinot noir, pinot meunier oraz chardonnay, powstałych w procesie pojedynczej fermentacji. Gdyby miał więcej czasu i poddał je kolejnej, wino zamieniłoby się w szampana. Wiedział to dobrze, ale o wielu innych rzeczach, bardzo istotnych rzeczach, nie miał bladego pojęcia.

– Pospiesz się, skarbie. Zostało mi tylko jakieś dwazieścia pięć lat, pamiętasz?

Postawił kieliszek przed kobietą i nabił należność na jej pasek kredytowy. Staruszka ujęła szkło w obie dłonie.

Khadaji pokręcił głową. Praca barmana nie mogła go przygotować do stawienia czoła Konfederacji. Musiał się douczyć, musiał poznać, w jaki sposób ta bestia jest zbudowana, odnaleźć jej piętę achillesową, o ile w ogóle ją miała. Gapił się na starszą panią i dobrze już rozumiał to, o czym przed chwilą mówiła. Musiał dowiedzieć się tak wiele, a miał na to tak

mało czasu. Musiał zacząć choćby i teraz.

Tak. Teraz.

* * *

Większość gości udała się już do domów – wliczając w to staruszkę, która przepadała za winem – i w pubie zostały tylko najwytrwalsze wampiry, toczące ciche rozmowy we własnym gronie. Juete również wyszła, i to nie sama, z tego co Khadaji zdążył zauważyć.

Kiedy powiedział Kamusowi o swojej decyzji, staruszek przybrał filozoficzny ton.

– Domyśliłem się – oznajmił. – Widać było po tobie. Większość barmanów uskarża się na swędzące stopy. Nigdy nie udało mi się zatrzymać tych naprawdę dobrych. Miałem nadzieję, że ustatkujesz się z Juete i popracujesz tu nieco dłużej, ale skoro przyszło ci coś innego do głowy, nie będę ci stawał na drodze. Dam ci porządne rekomendacje, słowo, jak to mówimy. Zostaniesz na tyle długo, bym mógł znaleźć kogoś na twoje miejsce?

– Pewnie. – Khadaji kiwnął głową.

– Słuchaj, jeśli wtykam nos w niewłaściwe sprawy, to mi to powiedz, ale... gdzie się wybierasz?

– Tak naprawdę to nie wiem. Muszę sporo przemyśleć, chciałbym się też nauczyć kilku rzeczy. Doszedłem do wniosku, że zacznę od planety Bocca w systemie Fausta.

– Aha, jeśli zależy ci na nauce, to właściwe miejsce. Tam uczą wszystkiego, czego uczyć można.

– Tak słyszałem.

Kamus zamyślił się.

– A co z Juete? – spytał po chwili. – Wyglądało mi na to, że jesteście ze sobą blisko. Czyżbyś wpadł na pomysł, żeby wyrwać ją ze sobą?

Upłynęło wiele czasu, nim Khadaji przemyślał sprawę i odpowiedział.

* * *

Planował powiedzieć jej o wyjeździe jeszcze przed seksem, ale nie chciał zepsuć być może ostatniego zbliżenia. Gdy już po wszystkim odpoczywali w pościeli, przyszło mu to łatwiej.

– Wyjeżdżasz? Ale dlaczego?

Nigdy nikomu o tym nie opowiadał, wyłączywszy oczywiście Pena, ale dla niej zrobił wyjątek. Opowiedział jej o życiu w wojsku, o odczuciach przed masakrą na Maro, w jej trakcie i po ucieczce. Opowiedział o ogromie zła, jakie wyczuwał w tym, co przyszło mu ujrzeć i o przeświadczeniu, że musi coś z tym zrobić.

– Jesteś sam – zauważyła Juete cichym, łagodnym głosem. – Przecież pojedynczy

człowiek nie może nawet śnić o zmienianiu całej galaktyki.

– Pewnie masz rację – odparł. – Ja też nie sądzę, by jeden człowiek mógł to wszystko zmienić. Ale może jestem w stanie wpłynąć nieco na całokształt, zmienić choć odrobinę.

– W najlepszym układzie byłyby to drobna fala na powierzchni oceanu.

– Może – westchnął. – Ale taka fala to i tak więcej niż nic.

– Bocca to tropikalny świat. Gorący, deszczowy, z palącym słońcem. Musiałabym bezustannie chronić swoją skórę. Poprosiłbyś mnie, żebym się zgodziła na coś takiego?

Milczał przez dłuższą chwilę.

– A pojechałabyś, gdybym poprosił?

Tym razem wypadła jej kolej na milczenie.

– Dobrze nam było razem – powiedziała w końcu. – Widzę w tobie miłość do mnie i odpłacam ci się tym samym, na swój sposób. Ale prosisz mnie, bym opuściła ojczyznę, świat, w którym się narodziłam, a który ledwie mnie akceptuje, bym udała się wraz z tobą na planetę, gdzie będę jeszcze większym dziwadłem.

Nabrał głęboko tchu.

– Nie. Nie proszę cię o to.

Usiadła niespodziewanie. Serwomotory w łóżku zahuczały cichutko, reagując na gwałtowny ruch.

– Nie prosisz? – W jej głosie zdumienie przeplatało się z gniewem.

– Chciałem się tylko dowiedzieć, jak byś zareagowała, gdybym cię o to poprosił. Nie wydajesz się szczególnie zachwycona, więc cię nie proszę.

Juete odsunęła się i ześliznęła z łóżka. Odwróciła się i spojrzała na Khadajego, zaciskając pięści, a wściekłość tylko podkreślała jej urodę. Khadaji poczuł, jak robi mu się sucho w gardle.

– Ty nie chcesz, żebym z tobą jechała!

Usiadł na łóżku i objął kolana.

– Kocham cię. Chcę z tobą zostać. Ale z drugiej strony muszę coś zrobić. Mam swoją... wizję. Być może nie uda mi się jej zrealizować. Prawdopodobnie dopnę swego, ale tak czy inaczej nie mogę cię prosić, żebyś dzieliła ze mną dolę, która mi przypadnie.

– Nie możesz prosić? – Jej głos zrobił się chłodny, jak zwykle w sytuacjach, gdy ogarniał ją prawdziwy gniew. – Nigdy bym stąd nie wyjechała! Nawet gdybyś błagał mnie na kolanach!

W tej właśnie chwili, gdy Khadaji patrzył na jej cudowną nagość, uświadomił sobie, że nauczył się o niej czegoś nowego. Ona chciała, żeby ją poprosił. Chciała odmówić. On zaś wiedział, że nie opuszczą razem Ciemnej Planety, więc postanowił podarować sobie gierki w stylu „co by było, gdyby”. Przyjmując taką taktykę, skradł jej możliwość odmówienia. Wiedział, że nigdy nie zapomni tej lekcji. Kusilo go, by coś dopowiedzieć, stwierdzić, że świetnie da sobie radę bez niego, że bez trudu znajdzie kogoś innego, ale nie powiedział

zupełnie nic. Oboje przecież dobrze o tym wiedzieli, a poza tym od dawna byli jacyś „inni”.

Ześliznął się z łóżka i zaczął zbierać rzeczy.

Nie rozmawiali, gdy się ubierał. Khadaji zrozumiał, że wcale nie znał jej tak dobrze, jak jeszcze niedawno sądził.

Jego nauka już się rozpoczęła.

* * *

Nikt nie przyszedł do kosmodromu, by się z nim pożegnać. Stojąc tam w oczekiwaniu na prom, Khadaji zastanawiał się, czy Pen przewidział ten moment. Rozmyślał przez chwilę o swoim nauczycielu, o tym, gdzie się znajduje i co porabia. Być może istniał jakiś sposób, by go wytropić za pośrednictwem Rodzeństwa Całunu. Któregoś dnia mógłby spróbować. Ale nie teraz. Teraz musiał odwiedzić kilka miejsc i nauczyć się wielu rzeczy. Nadeszła pora, by się zastanowić, co zrobić ze swoim życiem i jak to osiągnąć, kiedy już podejmie właściwą decyzję. Opuszczenie Juete bolało, ale wiedział, że z czasem żal minie. Było tak, jak mawiał Pen: Dysk nadal się obracał – któż mógł przewidzieć, dokąd go zabierze?

Znów odezwał się jego wścibski, dokuczliwy głos wewnętrzny:

Och, ależ cholernie filozoficzny nagle się zrobiłeś! Spieszyłoby ci się tak bardzo do wyjazdu, gdybyś uznał, że Juete jest ci wierna? Czy to na pewno twoja dawna wizja skłoniła cię do opuszczenia tego zadupia? Czy może tylko urażona duma?

Ów głos zdążył narobić szkód, zanim znikł. Khadaji potrząsnął głową. Nie chciał, po prostu nie chciał rozmyślać nad odpowiedzią na te wszystkie pytania. Cholera!

Wchodząc na prom, wciąż jeszcze żywił skromną nadzieję, że ujrzy biegnącą Juete, która zacznie go błagać, by został – lub by ją zabrał. Nic takiego się nie stało. Samokontrola, jak uczył Pen, to rzecz największej wagi. Musisz się nauczyć kontrolować własne działania, zanim w ogóle pomyślisz o tym, by kontrolować działania innych.

Khadaji wiedział, że czeka go wiele kilometrów i wiele lat podróży.

Cholera!

TRZYNAŚCIE

Flexifotel rozciągnął się, tworząc łóżko z lampami polaryzacyjnymi i wytłumiaczem hałasów, gdy Khadaji wduśił przycisk. Był zmęczony o wiele bardziej niż powinien po zaledwie sześciu godzinach na pokładzie statku międzysystemowego.

Czekało go zaś sześć dni podróży na Bocca. Tyle mniej więcej trwał początkowy etap lotu z prędkością podświetlną, zanim zadziała magia Naginacza oraz etap końcowy po jego wyłączeniu. Prawdziwa nazwa napędu powszechnie określanego Naginaczem brzmiała: „Wzmocnione Urządzenie do Przerzucania w Rzeczywistości Scatesa i Wallera”. Jego działanie najłatwiej było wyjaśnić w ten sposób, że Naginacz przenosił prom w stan, w którym znajdował się on wszędzie w tej samej chwili. Gdy już się tam (a właściwie wszędzie) znalazł, Naginacz oplatał niewidzialnymi metafizycznymi palcami wybrany wcześniej punkt wszechświata i przyciągał go do statku. Wiedza matematyczna i fizyczna potrzebna do skonstruowania Naginacza osiągnęła taki poziom abstrakcji, że przeciętny geniusz doznałby oblędu, usiłując ją pojąć. Trzeba jednak dodać, że Scatesa i Wallera dzieliło od poziomu przeciętnego geniusza mniej więcej tyle, co przeciętnego geniusza od zwykłego idioty.

No i co, Khadaji? O co ci chodzi? Nie próbujesz przypadkiem unikać tego, o czym właśnie powinieneś myśleć?

Tak, do jasnej cholery! I daj mi spokój!

Kładzenie się do łóżka chyba było kiepskim pomysłem, doszedł do wniosku. Może powinien pójść do baru i z kimś pogadać?

Nie. Nie miał na to ochoty.

Spojrzał na menu holoprojektacji na pulpicie łóżka i dostrzegł, że urządzenie ma wbudowany generator snu. Doskonale. Nastawi ten bajer na sześć godzin i w ten oto sposób ucieknie przed swoimi myślami.

W ostatnich chwilach świadomości Khadaji zaczął się zastanawiać, co mu się przyśni...

* * *

...tak głęboko, że cieplejsze kolory zaczęły płowieć i znikać, z wyjątkiem tych, na które

padało sztuczne światło lamp. Widział dookoła odcienie błękitu i fioletu falujące delikatnie w chłodnym jedwabiu Morza Nemui. Zastanawiał się przez moment nad pochodzeniem tej nazwy. Oceany na San Yubi łączyły się ze sobą i bywały chwile, kiedy ten akwen przypominał wszystko inne, tylko nie Senne Morze.

– Emile, raport pozycji.

Głos w komunikatorze sprawił, że chłopak wzdrygnął się, wystraszony. Zerknął na elektroniczny wyświetlacz na obrzeżu maski. Cyfry mrugały do niego blado. Na ścierwo rekina, znowu był spóźniony! Odkaszlnął.

– Jestem w heksie siódmym, tato. Sto dziewięćdziesiąt dwa metry.

System grzewczy skafandra zadziałał, walcząc z zimnem morskiej wody, ale Emile nadal czuł chłód. Nie tylko woda była tego przyczyną, miał niemalże pewność, że ojciec znowu będzie wkurzony za przegapienie pory składania meldunku.

– Naniesione – zameldował ojciec. – Zawiadam mnie łaskawie, gdy dotrzesz do inwersji, o ile nie będziesz akurat drzemał.

– Tak jest.

Sarkazm był niepotrzebny, Emile i tak czuł się winny. Jego stary czasami naprawdę dawał mu popalić. Dobrze, że przynajmniej matka z nimi nie pływała, i tak wściekała się już na nich obu. Nie chciała, by Emile prowadził dozór na głębokości większej niż sto metrów. Gdyby wiedziała, że fałszuje raporty, zmuliłaby dno morza, by tylko wybić ojcu z głowy jego pomysły.

Emile odetchnął głębiej niż zwykle. Gorzko smakująca mieszanka gazów oddalała się od niego ku powierzchni w formie półkolistych bąbli. Matka była dość ograniczona, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę fakt, że pracowała jako lekarka i bibliotekarka. Połowa przyjaciół Emile prowadziła dozór na głębokościach i biedaczek czuł się zdelfinowany, dopóki stary nie pozwolił mu zejść poniżej setki. Na ścierwo rekina, miał już dwanaście lat, nie był berbeciem w pieluchach!

Zerknął w dół, ale nie widział jeszcze warstwy inwersji, wokół wciąż panowała ciemność. Skontrolował szybkość schodzenia i wyregulował nieco balast skafandra, by ją przyspieszyć.

Oczywiście, dozór na głębokościach miał dobre i złe strony. Emile chciał się tym zajmować. Ale co będzie, kiedy stary zacznie podejrzewać, że jego syneczek zmienił zdanie w kwestii hodowli tuńczyka? Na tym mu nie zależało. W systemie Shin było jeszcze pięć innych światów, a on nigdy nie opuścił rodzinnej planety. Nie chciał spędzić reszty życia, oddychając mieszanką gazową i hodując tuńczyka. Odpędzanie rekinów i połowy czasami sprawiały mu sporo radochy, ale w sumie szybko go nudziły. Nie miał pojęcia, skąd ojciec po tylu latach czerpie jeszcze entuzjazm. Było to nudne jak mielizna i Emile nie zamierzał zmarnować w ten sposób reszty życia. Nie planował też iść w ślady matki – studiowanie i katalogowanie trujących wydzielin robaków i innego paskudztwa wydawało mu się równie mało interesujące. Współczuł młodszej siostrze, której przyszłość została już zaplanowana.

Zgodnie z kontraktem, miała zostać hodowcą ryb i wyjść za innego hodowcę ryb, a kiedy będzie na tyle duża, by zająć w ciążę, wychowa kolejnych hodowców ryb! Na rekinie ścierwo, rzygać się od tego chciało. Emile wiedział, że on sam wyrwie się stąd przy pierwszej okazji.

A w międzyczasie będzie uważał, by nie przeoczyć kolejnego raportu. Opadał ku warstwie inwersji, nie spuszczać oka z elektronicznego wyświetlacza.

* * *

...z trzaskiem zamknął właz torpedy i sprawdził, czy pojazd jest szczelny. Przez przejrzyste ściany kopolki ze skondensowanego kryształu widać było nadciągający sztorm. Wyszczrzył zęby niczym delfin. Według raportu pogodowego zapowiadała się niezła jazda.

– Hej, Emile! Zapięty i gotowy?

Emile zaśmiał się. To Mały Hamay we własnej torpedzie, który znajdował się jakieś pół kilometra na południe. Stąd Emile nie mógł go dostrzec, ale mimo to rzucił do mikrofonu:

– Jasne, gotowy!

Torpeda już kołysała się lekko na drobnych falach wywołanych przez odległy sztorm. Był pewien, że czeka go zajebista impreza. W odległości jakichś dwóch kilometrów niebo przecięła błyskawica.

W słuchawce jego komu odezwał się trzeci głos.

– Jesteście pewni, że nie ugrzęźniemy w mule?

To Jeda, nieco na lewo od Emile.

– Nie ma mowy – odparł Emile. – Powiedziałem im, że wyłączymy komy na czas testowania odsalaczy, więc mamy przynajmniej trzy godziny. Nikt nie będzie nam zawracać głowy, a jakby co, zawsze możemy zejść pod powierzchnię i dopłyniemy do stacji z mnóstwem czasu w zapasie.

– Chciałbyś.

– Zaufaj mi, Jeda. Nie okłamałbym ciebie.

Podczas rozmów z Jedą czuł dziwne mrowienie, zupełnie jakby setki drobnych istotek trzepotało skrzydełkami w jego brzuchu. Jeszcze rok temu była tylko jedną z dziewczyn, ale teraz – teraz zaszła w niej jakaś zmiana. Nie wiedział, o co dokładnie chodziło, ale o coś na pewno. Ciągle miał ochotę kręcić się przy niej, zostawać z nią sam na sam... I rozmawiać, ale problem w tym, że przez większość czasu nie miał bladego pojęcia, o czym – w efekcie czego postanowił zaprosić ją na sztorm-bounce.

– Po co żeś ją przyciągnął? – zapytał Mały Hamay.

Emile wzruszył ramionami. A czemu nie?

Wiatr przyganiał chmury deszczu, które rozbryzgiwały fale i dekorowały je białymi czapami piany. Torpeda Emile – dwumetrowe cygaro z bąblem ze skondensowanego

kryształu pośrodku – kołysała się coraz mocniej. Sztorm-bounce był świetną zabawą, ale dorośli za nią nie przepadali. Gdyby dowiedzieli się o tym pomysłe, ukaraliby Emile dwutygodniowym aresztem i pozbawili go wszelkich środków łączności z wyjątkiem edukomu. Na szczęście nie było mowy, żeby się czegokolwiek dowiedzieli.

Znów zgłosił się Mały Hamay.

– Hej, Emile, a słyszałeś historię o Strażniku Głębin?

Strażnik Głębin był bohaterem z serialu wyświetlanego na kanale rozrywkowym. Nosił garnitur z rybich łusek i potrafił po mistrzowsku skopać tyłek każdemu wrednemu koleśowi, który stanął mu na drodze. Zawsze zakładał maskę, by nikt nie rozpoznał jego prawdziwej tożsamości.

– Dawaj!

– Dobra. To kawał o Fuggin Royu. No, Fuggin Roy włącza edukom i okazuje się, że to podstawy wychowania seksualnego. I nauczycielka mówi: „Dobra, to wymieńcie jakieś skojarzenia z seksem”. Fuggin Roy wciska klawisz input, ale nauczycielka nie chce go wybrać, bo wie, że koleś ma hopla na punkcie walenia konia. Wybiera więc Mary, a ta mówi: „Mitoza, czyli podział komórek”. „Bardzo dobrze” – mówi nauczycielka. – „To kto jeszcze?” Fuggin Roy wali w swój klawisz, sygnał ryczy, ale nauczycielka wybiera Billa, a ten nawija coś o miesiączce. „Dobrze” – mówi nauczycielka. – „To jeszcze ktoś”. Tym razem jednak nikt się nie zgłasza poza Fuggin Royem, tak więc musi go wybrać. A ten mówi: „No, to Strażnik Głębin nurkuje sobie i nagle widzi osiem tysięcy złych koleśków, którzy wypływają zza koralu i walą do niego z karabinów harpunnicznych. Strażnik Głębin wyciąga więc swój karabin i pach! pach! pach! – wali do tamtych. W wodzie pełno harpunów, chwila moment i wszyscy źli koleśki padają martwi, naszpikowani jak jeżowce”. Nauczycielka czeka chwilę, ale Fuggin Roy nie mówi nic więcej, więc stwierdza: „Cóż, to doprawdy interesująca historyjka, Roy, ale... co ona ma wspólnego z seksem?”. A Fuggin Roy na to: „No, pokazuje, że Strażnik Głębin nie pierdoli się ze złymi koleśkami!”.

Emile powstrzymał śmiech, chcąc najpierw usłyszeć reakcję Jedy. Słuchawka odezwała się jej głosem po kilku sekundach:

– To było głupie, Hamay. Naprawdę głupie.

Emile nie powiedział ani słowa. Jego torpeda właśnie zsuwała się w dolinę wysokiej fali, a on sam próbował utrzymać nos pojazdu w kierunku wiatru. Tak naprawdę to nie był głupi dowcip, stwierdził. Właściwie to był nawet zabawny. Nagle odniósł wrażenie, że to, co o nim myśli Jeda, jest o wiele ważniejsze od tego, co myśli Mały Hamay, jego najlepszy przyjaciel od wielu lat. Żołądek ścisnął mu się w zabawny sposób, który tylko częściowo mógł przypisać gwałtownym ruchom targanego przez sztorm pojazdu.

* * *

– ...prawo Konfederacji zobowiązuje was do wstąpienia do służb galaktycznych. Powinniście już znać wszystkie możliwości, ale na wszelki wypadek wymienię je raz jeszcze.

Przedstawiciel Konfedu stał w centrum auli przed aktywną projekcją holograficzną, a dwieście zgromadzonych w sali młodych mężczyzn i kobiet nie spuszczało z niego wzroku. Emile Khadaji wpatrywał się w niego nieco intensywniej od reszty.

– Po pierwsze, wojsko. Standardowa służba wojskowa w Konfederacji trwa sześć lat. Po drugie, służba zdrowia, osiem lat. Ci z was, którzy mają słabe żołądki, mogą spróbować w korpusie cywilnym, ale tam liczba miejsc jest ograniczona, a służba trwa dziesięć lat. I to wszystko. Każdy z was musi spełnić swój obywatelski obowiązek i jedyne, co od was zależy, to jego forma. Jeśli o mnie chodzi, mam nadzieję, że wybieriecie wojsko. Lepsza płaca, większe możliwości awansu, krótsza służba. Kto wie, może nawet będziecie stacjonować na rodzinnej planecie.

Kilka osób na sali wybuchło śmiechem. Kontyngent wojskowy na San Yubi składał się ze stu żołnierzy i szanse, by ktokolwiek dostał się do tej jednostki były doprawdy znikome. Poza tym, Emile nie miał najmniejszej ochoty utknąć na ojczystej planecie. Chciał zwiedzić galaktykę, chciał na własne oczy zobaczyć bitwę.

Siedząca obok Jeda pochyliła się ku niemu.

– Służba zdrowia to chyba najlepsze rozwiązanie.

Emile uśmiechnął się. Rozmawiali wcześniej o wspólnym wstąpieniu do służby zdrowia i złożeniu podania o równoległe stanowiska. Ale Jeda nie była już tak... ekscytująca jak kiedyś. Powoli dochodził do wniosku, że była, hmm... nudna. Zaliczył już kilka innych dziewczyn, a nawet paru chłopaków, odkąd przespał się z nią po raz pierwszy i wiedział, że nie jest aż tak gorącą laską. On miał inny plan. Chciał wstąpić do wojska i rozpocząć nowy rozdział swojego życia. Nauczył się już jednej niezwykle ważnej rzeczy: w morzu naprawdę pływają wiele ryb. Zamierzał kilka z nich spróbować.

* * *

– ...nie zaboli, ale możesz doznać przejściowego uczucia swędzenia.

Pieprzony rybisyn! Przejściowe uczucie swędzenia, co? Khadaji czuł się, jakby wpompowano w niego cały kanister jadu. Z całej siły powstrzymywał się przed wydłubywaniem dziur w swoim ciele. Każda z tych pieprzonych bakterii musiała mieć kły i szpony!

Ale proces wzmacniania ciała przynosił rezultaty. Wypróbował test, o którym kiedyś słyszał – ułożył stosik monet na dłoni, a potem szybko ją cofnął. Och, coś niewiarygodnego! Wydawało mu się, że ma aż nadto czasu, by powybierać je co do jednej, zanim spadną na ziemię! Tak, był szybki jak nigdy dotąd. Oczywiście, w koszarach nie miało to najmniejszego znaczenia, gdyż wszyscy żołnierze zostali wzmocnieni bakteriami, ale cywila rozłożyłby bez

trudu. Nie mógł się doczekać wyprawy do pubu, by wszczać jakąś bójkę.

Niestety, okazało się, że w skład dowództwa wchodzi nie tylko kompletni debile. Żołnierzy, którym podano bakterie wzmacniające refleks, trzymano z dala od cywilów do czasu przyzwyczajenia się do nowych możliwości. Kurwa, jaka szkoda...

* * *

– Wartownik? Nie chcę być żadnym walonym w dupę wartownikiem, sub!

– Zamknij pysk, Khadaji. Nikt nie chce być wartownikiem, ale Konfed w całej swojej mądrości uznał za stosowne wysłać nas na jakiś czas na Kontrau'lega. Dobrze wykorzystasz ten czas, gwarantuję ci.

Khadaji odwrócił się do Theris, kumpeli, z którą dzielił pryczę.

– Ja pierdołę, myślałem, że po Nazo wyślą nas gdzieś, gdzie będziemy mogli powąchać więcej prochu. Przecież jesteśmy już ostrzelani! Mamy doświadczenie!

Drobna, ciemnoskóra Theris spojrzała na niego.

– Tak jak połowa wojsk lądowych w całym systemie, Emilio, ty stary przymule. Z tego, co słyszałam, Kontrau'lega to nagroda za dobrze wykonaną pracę.

– Spadaj...

* * *

...szczeknął pistolet pneumatyczny i Khadaji zobaczył, jak lewe oko Theris znika. Upadła na ziemię, zataczając szeroki łuk karabinem trzymany na wysokości biodra. Nastawiona na ogień ciągły broń skosiła tuzin uciekinierów, ci biegnący bliżej zostali rozerwani pociskami wybuchowymi.

– Theris!

Khadaji przypadł na jedno kolano, nie zwracając uwagi na panujący wokół ogłuszający ryk. Wbił kciuk i palec wskazujący w tętnicę szyjną dziewczyny, ale nie odnalazł pulsu. Stalowa kulka musiała przebić się do mózgu. Dziewczyna nie żyła, nim upadła na równo przycięty trawnik.

Gdy się poderwał, zaślepiła go furia. Ci skurwiele zapłacą mu za Theris, każdy z tych cholernych pierdolców...

...nie chcesz, żebym z tobą jechała...

...żebym z tobą...

...nie chcesz...

* * *

Khadaji wyrwał się z odmetów sonicznego snu, próbując odpędzić majaki. Jego umysł wypełniały idealnie biała skóra, poskręcane, śnieżnobiałe włosy i gniew Juete.

Powinieneś mi pozwolić, żebym odmówiła, wydawała się mówić dziewczyna. Jesteś mi to winien.

Khadaji leżał na łóżku, czekając, aż serce powróci do normalnego rytmu. Sen nie stanowił remedium na dręczące go problemy, skoro przynosił koszmary. Przeszłość w żaden sposób nie mogła mu teraz pomóc. Musiał rozpocząć kolejny rozdział, musiał wkroczyć na ścieżkę, którą przez moment podążał na Maro. Po prostu musiał coś zrobić. Cokolwiek.

Nagle zdał sobie sprawę, że czeka go długi lot. O wiele dłuższy, niż się spodziewał.

CZTERNAŚCIE

Tropikalna burza z piorunami szalała w pełni, gdy prom wylądował w porcie Nagas na planecie Bocca. Obsługa statku przesuwała się wzdłuż rzędów siedzeń z pętlami generującymi mikroblonę ochronną. Khadaji już wstał, gdy podeszła do niego młoda kobieta z uniesioną pętlą.

– Proszę wstrzymać na chwilę oddech – poprosiła.

Khadaji zrobił głęboki wdech, a stewardesa przeciągnęła obręcz wzdłuż jego ciała, zaczynając od głowy. Gdy urządzenie dotknęło podłogi, Khadaji przestąpił nad nim, zaś kobieta ruszyła do kolejnego pasażera.

Khadaji czuł, jakby wpadł w gęste pajęczyny i szybko oczyścił nos i usta, by nie połknąć kawałków mikroblony podczas oddychania. Błona już dopasowała się do kształtu jego ciała, tworząc wodoszczelną powierzchnię. Okres jej rozpadu wynosił około dziesięciu minut, ale tyle czasu powinno wystarczyć, by dotrzeć do budynku terminalu. Po dwudziestu minutach po mikroblonie nie pozostawał ślad – nieszkodliwie wyparowywała do atmosfery.

Było gorąco, a wściekle zacinający deszcz wydawał się niemal tak ciepły jak powietrze. Khadaji mrużył oczy przed ostrym światłem błyskawic, po których natychmiast rozlegały się grzmoty przypominające darcie arkuszy blachy. Niewiele dało się zobaczyć, więc szedł po prostu za pasażerem, który opuścił prom przed nim. Nim weszli do budynku, targnął nimi mocny podmuch wiatru.

Wewnątrz został dokładnie skontrolowany przez oficera służb celnych.

– Jaki jest cel pańskiej wizyty?

– Studia – odparł Khadaji.

Funkcjonariusz wydawał się znudzony – główny przemysł planety stanowiła edukacja w tej czy innej formie.

– Kierunek?

Khadaji milczał. Nie podjął jeszcze decyzji. Miał kilka mglistych pomysłów, ale na tym się kończyło.

Co właściwie chciał studiować?

Funkcjonariusz zaczął wyglądać na poirytowanego.

– Politologia – powiedział w końcu Khadaji.

Mężczyzna skinął głową, ponownie przyjmując znudzony wyraz twarzy. Oddał Khadajemu tag tożsamościowy i machnięciem ręki kazał przejść dalej.

* * *

Wyglądało na to, że cała ta cholerna planeta to jeden wielki uniwersytet. Znajdowały się tu tysiące uczelni, na których wykładano dziesiątki tysięcy przedmiotów. Khadaji wpatrywał się w katalog wyświetlany na holoprojeksi. Politologia... Ale który z działów? Miał do wyboru ponad dziesięć specjalizacji! Polityka ludzi czy mutków? Współczesna czy historyczna? Polityka systemu? Planety? Państwa? Teorie polityczne? A gdy w końcu podejmie decyzję, będzie musiał jeszcze wybrać sposób przyswajania wiedzy. Iniekcja wirusowa. Hipnoza. Czas realny.

Iniekcja wirusowa była metodą najszybszą. W ciągu kilku minut człowiek przyswajał sobie cały kurs zaprogramowany w wirusach edukacyjnych, które stawały się elementem systemu nerwowego nosiciela. Hipnoza trwała dłużej i rozkładała się na kilka, kilkanaście sesji trwających po godzinę, ale w ten sposób można było pozyskać ten sam materiał w sposób równie trwały i bez konieczności iniekcji. Czas realny stanowił technikę najbardziej zawodną i niegwarantującą żadnych sukcesów, zależną tylko i wyłącznie od pracy ucznia.

Khadaji doszedł do wniosku, że najbardziej urządzi go iniekcja i tkwił w tym przekonaniu, dopóki nie zobaczył cen. Na Buddę i Jacksona! Zaoszczędził większość pieniędzy zarobionych w pubie, a nie wystarczyłoby mu nawet na jeden kurs! Hipnoza była tańsza, ale i tak kosztowała więcej niż mógł wydać. Pozostawało wyłącznie studiowanie w czasie realnym, i to raczej w skromnym zakresie. Na świętego Allacha, biedni nie mieli czego tu szukać. Khadaji wcześniej nie myślał o tym zbyt dużo – jako dziecko uczył się za darmo, a w ramach świadczeń socjalnych ojca mógł dodatkowo przejść podstawowe szkolenie biblioteczne. W sumie za piętnaście lat nauki nie zapłacił ani standarda. Szkoda, że ten czas już minął.

* * *

Instruktor, osiemdziesięcioletnia kobieta o wynędzniałej twarzy, nosiła krótkie, kędzierzawe włosy przefarbowane na zielono, co jakieś piętnaście lat temu uchodziło za szczyt mody. Stała naprzeciw czterystu studentów zgromadzonych w audytorium i wygłaszała pierwszy i zarazem ostatni wykład o polityce.

– Oto trzy pliki – powiedziała, machając ręką. Po jej prawej stronie wykwitła olbrzymia holoprojeksja, a na niej pojawiła się lista nazwisk. Khadaji naprowadził kom na projekcję i pojedynczym klawiszem uruchomił pobieranie. Wszyscy obecni w audytorium zrobili to

samo, a setki kliknięć osobistych komów zlały się w dźwięk przypominający rój rozzłoszczonych owadów. Pliki zostały sprawnie ściągnięte i zapisane.

– Proszę je dokładnie przestudiować – ciągnęła pani profesor. – Egzamin z wprowadzenia do podstaw polityki ziemskiej odbędzie się za sześć tygodni. Harmonogram pojawi się po zajęciach w głównej matrycy komputera bibliotecznego.

Profesor machnęła dłonią i holoprojektacja znikła, a ona sama odwróciła się i wyszła.

Siedzący obok Khadajego ciemnoskóry chłopak w wieku około szesnastu lat wymamrotał do siebie:

– Kurwa, chyba będę musiał ubłagać starych o kasę na wirusa. Nienawidzę nauki w czasie realnym.

Khadaji wpatrywał się w nazwiska wyświetlone nad jego komem:

Książę, Niccolo Machiavelli, 6934561-pol-1

Księga pięciu kręgów, Miyamoto Musashi, 7105436-pol-1

Sztuka kompromisu, Carlos Perito, 3451509-pol-1

Zerknął na sąsiada i uniósł lekko brew.

– Tak to właśnie wygląda – ona zadaje nam lektury, my czytamy, a potem nas sprawdzają. Robią odsiew, bo jest nas tu zbyt wielu. Lepiej się przyłożyć, postawię swoje jaja, że test będzie masakryczny.

Khadaji pokiwał głową. To, czy zda ów test, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Nie przybył na tę planetę po tytuł naukowy, przybył tu, by się uczyć. Trzy pliki. Szczerze wątpił, czy nauczy się z nich czegoś o polityce.

* * *

Mylił się. Machiavelli był czymś, co w opracowaniu nazywano Włochem, a swoje teorie spisał w czasach przedgalaktycznych, ale jego analiza polityki wprost fascynowała. Spora część tekstu z początku wydawała się Khadajemu całkowicie niezrozumiała ze względu na archaiczne odniesienia do ziemskich państw, takich jak Francja, Rzym czy Toskania, ale Khadaji rozgryzł ją dzięki plikowi z podstawami ziemskiej historii, który ściągnął z biblioteki. Czym dalej zagłębiał się w treść, tym lepiej wszystko rozumiał.

Książka Musashiego pozornie opowiadała przede wszystkim o walce mieczem, ale wystarczyło zagłębić się w jej treść, by odkryć strategię ukrytą za wymachiwaniem ostrą metalową klingą. Khadaji od razu przypomniał sobie lekcje, których z zakrzywionym nożem udzielał mu Pen na Ciemnej Planecie.

Perito pisał na początku okresu postgalaktycznego na Alpha Point w systemie Centauri. Jego analizy psychologiczne okazywały się głębsze niż u dwóch poprzednich autorów, sporo

miejsca poświęcał też etyce.

Zadziwiająco, że tacy ludzie tak dużo wiedzieli. A dzięki tym trzem książkom Khadaji zrozumiał, jak mało sam wie.

* * *

Zajęcia z wojskowości wyglądały zupełnie inaczej – można by powiedzieć, że wręcz trywialnie, bowiem odbywały się w klasach z żywym instruktorem. Khadaji czuł się tam prawie jak w domu. W końcu, mimo wszelkich późniejszych perypetii, miał za sobą karierę żołnierza. Rzucił służbę, ale skoro wojsko stanowiło zbrojne ramię Konfederacji, dobrze by było dowiedzieć się o nim możliwie najwięcej.

– ...to podstawowa, w pełni automatyczna odrzutowa broń ręczna do zwalczania siły żywej – opowiadał instruktor znudzonym głosem. – Magazynek mieści pięćset pocisków wybuchowych kalibru.177, a częstotliwość ognia to osiem pocisków na sekundę. Ta broń waży trzy i sześćdziesiąt trzy dziesiąte kilograma pusta, a naładowana pięć i jedną dziesiątą kilograma. Ludzie, to wasza broń, a nie żadna „pukawka”. – Zamachał parkerem w powietrzu. – Służy do pracy. To – wskazał na swoje krocze – służy do zabawy. Nie mylcie ich ze sobą. Tym z was, którzy nie są mężczyznami lub nie zostali należycie wyposażeni przez naturę, przyjdzie to nieco łatwiej.

* * *

Khadaji znalazł niewielki pub, w którym spotykali się ludzie z branży uniwersyteckiej i zdobył pracę jako drugi barman. Pensja była kiepska, ale w ramach wynagrodzenia miał również prawo do zajmowania pokoju komunalnego oraz przynajmniej jednego posiłku dziennie. Wiedział, że pieniądze, które zaoszczędził u Kamusa, nie starczą mu na wieczność, a wyglądało na to, że nadal nie nauczył się zbyt wiele. Ogrom ludzkiej wiedzy wydawał mu się potworną czeluścią ziejącą tuż pod jego nogami. Zrozumiał, że jest ignorantem nader kiepsko przygotowanym do rzucenia wyzwania galaktycznej Konfederacji na jakimkolwiek polu.

* * *

Po polityce naturalną kolejną rzeczą Khadaji przeszedł do studiowania historii, a potem psychologii, socjologii i socjobiologii. Za dnia mieszał drinki i proszki, zaś wieczorami uczęszczał na zajęcia i pracował na komputerze bibliotecznym. Brał udział w zajęciach z chemii i fizyki, poznał elektronikę i teorię atomu, uczył się o napędach i naginaniu rzeczywistości, pławiał w astronomii i astrofizyce. Czym więcej studiował, tym więcej chciał

wiedzieć. Wiedza stała się dla niego rozrywką, celem samym w sobie. Czas upływał mu na szaleńczej intelektualnej gonitwie, każdego dnia za czymś innym. Po wgrzyzieniu się w dany temat, czasami niespodziewanie dokonywał raptownego zwrotu i zanurzał się w zupełnie innej dziedzinie, która rozkwitała dla niego czystym pięknem. Szcherzył zęby z radości, wałąc w klawisze koma i goniąc za informacjami na podobieństwo drapieżnika ścigającego ofiarę. Astronomia, astrofizyka, medycyna, religia... Wszystkie one wzywały go, wabiły, kusily.

* * *

Historia Konfederacji. To dopiero był przedmiot! Do tej pory Khadaji poświęcał niewiele uwagi temu zagadnieniu, bo w gruncie rzeczy Konfederacja stanowiła twór tak rozległy i wszechobecny, że rozważania na jej temat przypominały filozofowanie o oddychaniu. Daty i wydarzenia na ekranie wydawały się suche i pozbawione życia: 2000 – założenie pierwszej kolonii pozaziemskiej, 2072 – nieszczęsny „Heaven Star”, statek zbudowany w przestrzeni, dociera do innego układu planetarnego, 2193 – udoskonalenie Naginacza. Potem nastąpił gwałtowny skok. Na lata 2195-2255 przypada Ekspansja, okres intensywnej kolonizacji kosmosu. W latach 2255-2295 następuje Konsolidacja, w trakcie której galaktyczna wspólnota przybiera sztywniejszą, bardziej biurokratyczną formę.

Okres po roku 2295, mimo niezadowolenia Konfederacji, zyskał miano Upadku. Na pięćdziesięciu sześciu planetach i osiemdziesięciu siedmiu satelitach wzrasta społeczne niezadowolenie. W galaktyce spiralnej z poprzeczką, zwanej Mleczną Drogą, Konfederacja tego typu była drobiazgiem pośród tworzących ją setek miliardów gwiazd; chociaż ciągnęła się na przestrzeni tysiąca lat świetlnych i nawet pomimo wynalezienia Naginacza, podróże trwały sporo czasu. Oficjalnie spisana historia Konfederacji zazwyczaj pomijała fakt, że z powodu rozmiarów bezdusznego mechanizmu rządowego zwykli obywatele czuli się uciskani. Bestia już dawno przestała służyć, a stała się władcą. Zajmowała się teraz tym, z czego słyną rządy – umacniała i pogłębiała władzę. Opozycja wobec Konfederacji oznaczała zdradę stanu zasługującą na śmierć. Nawet potwór miał więc powody do obaw.

* * *

...etiologia patogenu była z początku nieznaną, ale eksperymenty ujawniły, że matryca wirusa okazała się zgodna z tą, która cechuje oportunistyczną symbiozę klasy...

...typ formacji geologicznej właściwy tylko dla obszarów działalności wulkanicznej...

...czego najbardziej powszechną formą jest tantra...

...królestwo cząsteczek mniejszych od atomu, którym możemy zajmować się tylko w teorii...

...mi Krwawą Mary, dobra, Emile? Kurwa, zaraz mi chyba łeb pęknie!

Khadaji uśmiechnął się i zabrał za przygotowywanie drinka. Miał sporo pracy, ale dawał sobie radę. W pubie jak zwykle panowała cisza – studenci lubili czasem pohłasować, ale działo się to najczęściej podczas sesji egzaminacyjnych. Właściciel lokalu, człowiek imieniem Maurice, nie zatrudniał nawet bramkarza na cały etat. Jeśli istniało ryzyko rozrób, płacił policjantowi po służbie.

Gdy Khadaji przygotowywał Krwawą Mary, do lokalu weszło troje ludzi, wszyscy w mundurach wojskowych Konfedu. Krew zakrzepła mu w żyłach, jak zawsze, gdy widział mundurowych – w końcu był dezertorem. Co prawda, od Maro dzieliło go pół galaktyki, ale Bocca było czymś w rodzaju skrzyżowania na kosmicznym szlaku. Za każdym razem, gdy widział mundur, przypominał sobie o – bądź co bądź niewielkim – ryzyku wpadnięcia na dawnego znajomego.

Uczucie chłodu znikło. Tych troje, dwie kobiety i mężczyzna, wyglądało na dwudziestolatków, a zatem na pewno nie znali Khadajego. Od masakry na Maro minęło już sześć lat.

Nagle znieruchomiał. Sześć lat? To oznaczało, że studiował na Bocca... cztery lata? Przynajmniej cztery! Zamrugał, zdumiony niespodziewanym odkryciem. Kiedy upłynął ten czas? Przecież lista wszystkich rzeczy, których chciał się nauczyć, wcale nie sprawiała dziś wrażenia krótszej! Był młodym człowiekiem, miał zaledwie trzydzieści dwa lata, ale... Aż cztery?

Raptem wyczuł, że coś naruszyło zwykły bieg życia w pubie. Coś się działo, coś niecodziennego. Rozejrzał się dookoła. Jedna z kobiet w mundurze Konfedu stała i wbijała wściekły wzrok w mężczyznę, który siedział przy stole z dwoma żołnierzami.

Khadaji skupił się, próbując wyłowić jej słowa z szumu rozmów.

– ...to, jak się na nas patrzyłeś, gdy weszliśmy do pubu, mały. Co ty sobie, do ciężkiej cholery, wyobrażasz, co?

Mężczyzna, do którego się zwracała, drobnej budowy rudzielec, pokręcił głową. Khadaji nie rozpoznawał go, najwidoczniej nie był to jeden ze stałych bywalców.

– Przepraszam – powiedział nieznajomy. Mówił z trudnym do rozpoznania akcentem. Może baszeliąńskim? – Nie miałem na myśli nic złego.

– Nie podobają mi się twoje maniery, mały. I nie podoba mi się, że coś często łypiesz na moją partnerkę. – Kobieta machnęła ręką w kierunku drugiej z mundurowych.

Khadaji wyszedł z za baru i zaczął się przeciskać w stronę zamieszania. Wyczuwał kłopoty. Agresywna żołnierka z pewnością nałykała się już jakichś chemów. Z jej insygniów na rękawie wynikało, że jest weteranem wojennym, a Khadaji mógł się założyć, że jej towarzysze również nie byli żóltodziobami. Cała trójka miała przy pasie pistolety gazowe w plastikowych kaburach sprężynowych.

– Jak już powiedziałem, nie miałem zamiaru nikogo urazić – raz jeszcze przeprosił rudowłosy. Trzymał ręce na stole. Prawy palec wskazujący zginał tak bardzo, że niemal

dotykał nim wnętrza dłoni.

– Tak sobie myślę, że ci po prostu skopię dupę – oznajmiła żołnierka. – Tu i teraz.

Rudzielec nie odezwał się, pokręcił jedynie głową.

– Nie? Co, może nie dam ci rady? – Kobieta najwyraźniej gotowała się do ataku. Khadaji szedł prosto na nią. Konfrontacja przyciągnęła już sporą widownię.

Żołnierka pochyliła się, złapała rudzielca za tunikę i wyciągnęła go z za stołu. Mężczyzna machnął rękoma i uderzył ją jednocześnie obiema dłońmi w uszy. Wrzasnęła i puściła. Khadaji uśmiechnął się. Niezłe posunięcie.

Nagle poderwali się pozostali dwaj żołnierze, wyszarpując pistolety z kabur, uderzona żołnierka również. Buddo, zanosilo się na strzelaninę! Khadaji zerwał się do biegu, mając nadzieję, że dopadnie ich, nim zastrzelą rudzielca.

Ten błyskawicznie podniósł ręce, celując palcem w każdego przeciwnika z osobna. Rozległy się kolejno trzy odgłosy przypominające kaszlnięcia, a żołnierze Konfedu osunęli się na ziemię, przewracając stół i dwa krzesła. Każdy z nich trzymał dłoń na pistolecie wciąż tkwiącym w kaburze. Co, do cholery...

Rudzielec opuścił ręce, ale Khadaji nadal nie widział u niego żadnej broni. Miał puste dłonie, a nie było fizycznej możliwości, by wyszarpnął skądś gnata, oddał trzy strzały i schował go tak, by umknęło to uwadze Khadajego.

Rudzielec dostrzegł nadchodzącego barmana i odwrócił się częściowo w jego stronę.

– Spokojnie – oznajmił Khadaji i pokazał puste dłonie, szeroko rozstawiając palce. – Jesteś czysty, oni pierwsi sięgnęli po broń.

Rudowłosy rozluźnił się odrobinę. Kiwnął głową, ale nie uśmiechał się.

Khadaji stanął dwa metry od niego.

– Miejscowy gliniarz czasami pracuje u nas jako bramkarz – powiedział. – Powiemy, że działałeś w samoobronie. Łyknij to, jestem pewien.

Rudzielec pokręcił głową.

– Wolałbym nie mieć do czynienia z miejscowymi gliniarzami. Ani z żandarmerią Konfedu. Może po prostu zniknę, zanim się tu pojawią.

Khadaji wzruszył ramionami.

– Nie mam zamiaru cię powstrzymywać – powiedział z krzywym uśmiechem.

Mężczyzna również się uśmiechnął i ruszył ku wyjściu.

– Jeszcze jedno – rzucił za nim Khadaji. – Czym ich trafiłeś?

Rudowłosy odwrócił prawą dłoń, by pokazać mu jej wewnętrzną stronę. Znajdował się tam kanciasty równoległobok, romb o boku długości sześciu, siedmiu centymetrów zakończony rurką – bez wątplenia lufą – która biegła wzdłuż palca wskazującego i wychodziła poza niego o jakiś centymetr. Cała broń zalana była pomalowanym na jaskrawe kolory ortoplastikiem, wystawał z niej jedynie magazynek oraz przycisk spustu.

– To spetsdöd – wyjaśnił nieznajomy. – Korzystam ze strzałek paraliżujących. Ci goście

ockną się za jakiś kwadrans.

Gdzieś w oddali zawyła syrena wojskowego poduszkowca. Rudzielec opuścił dłoń i spojrzał na Khadajego.

– Macie tu jakieś tylne wyjście?

– Tędy.

Kiedy żandarmeria wpadła do lokalu, rudzielca nie było już od jakiejś minuty, a Khadaji rozwlekał się na temat strzelaniny wystarczająco długo, by zapewnić mężczyźnie przewagę czasu i odległości. Gdy w końcu żandarmi i lekarze opuścili pub, Khadaji zaczął się zastanawiać, czego właśnie był świadkiem. W tym zdarzeniu kryło się coś istotnego, coś, czego nie potrafił jeszcze rozgryźć.

PIĘTNAŚCIE

Znowu lało. Wściekły plusk tropikalnej ulewy co rusz przerywały grzmoty potężnych wyładowań elektrycznych, gdy powietrze wypełniało pustkę pozostawioną przez błyskawice. Drzewa o ciężkich liściach płały i kołysały się pod naporem strumieni deszczu, a kałuże przeobrażały się w niewielkie jeziora zalewające szare chodniki i ulice z plastokrety.

Khadaji lubił deszcz. Deszcz przypominał mu ojczysty świat. Gdy był dzieckiem, przyglądanie się burzy sprawiało mu sporą frajdę. Czasami udawało mu się wypatrzeć wodne trąby przetaczające się wśród fal oceanu niczym obdarzone życiem istoty. Burza oczyszczała i jonizowała powietrze, a także ożywiała ryby. Po ulewie praca z ławicami dawała dużo więcej uciechy. Pseudotuńczyki sprawiały wrażenie bardziej niezrównoważonych, oksystreamery w podach były maksymalnie rozstawione, nawet rekiny strażnicze budziły się ze zwykłego letargu. A wszystko to nie działo się bynajmniej kilka metrów pod powierzchnią. Ryby z głębin w jakiś sposób wiedziały o deszczu i dawały po sobie poznać, że padało.

Siedząc pod szerokim dachem pagody, Khadaji przyglądał się deszczowi. Był raczej suchy, chociaż wiatr raz na jakiś czas owiewał go parą wodną. Ludzie przechodzili lub przebiegali obok, wyposażeni w mikrofony i pola ochronne. Życie nie mogło tak po prostu zatrzymać się z powodu ulewy. Mówiono, że za kilka lat Bocca doczeka się systemu kontrolowania pogody, przez co burze stracą na gwałtowności, a ponadto będzie je można planować. Tak mówiono.

Khadaji westchnął. Gdyby wyobraził sobie swoje życie od chwili Uświadomienia na Maro jako wspinaczkę górską, musiałby przyznać, że spędził mnóstwo czasu na przyglądaniu się skałom, kamieniom i jaskiniom. Najpierw zatrzymał go Pen, potem Juete, a teraz uwodzicielski czar nauki. Tymczasem zaczynał czuć silną potrzebę, by coś zrobić czymś się zająć, nawet pomimo tego, że póki co nie wiedział, co miałyby to być. Wiedział tylko tyle, że stał w miejscu. Och, jasne, wiele się uczył – z każdego ze swoich doświadczeń wyciągnął sporo wiedzy – ale gdy zaczynał myśleć o prawdziwych dokonaniach, ogarniała go frustracja.

Zza chmur zaledwie jakieś dwieście metrów od niego wystrzeliła błyskawica i uderzyła w wieżę wzniesioną dla ochrony przed wyładowaniami. Rozległ się grzmot przypominający wystrzał z gigantycznego karabinu, który wydawał się strząsnąć jeszcze więcej deszczu z

czarnych chmur. Obok Khadajego przebiegł niski mutek we wdzianku fosforowym, rozbryzgując kałuże i przeklinając pogodę.

Khadaji pamiętał każdy szczegół bójki w pubie. Pamiętał, jak trzech żołnierze sięgali po broń, lecz chwilę później zostali zneutralizowani przez pojedynczego przeciwnika uzbrojonego w coś, co wyglądało na pneumatyczny miotacz strzałek. Pewnie, mieli już nieźle w czubie, ale byli też weteranami, doskonale wyszkolonymi i śmiertelnie niebezpiecznymi żołnierzami. A tymczasem Rudzielec załatwił ich bez trudu, szybko i skutecznie, nie zdążywszy się nawet spocić. Konfed nie był niezwyciężony – Khadaji jako żołnierz wiedział o tym doskonale. Po prostu dysponował zbyt licznymi siłami, by jakikolwiek człowiek bądź grupa ludzi mogła otwarcie stawić mu czoła. Równałoby się to samobójstwu.

Rozmyślał o masakrze, której był świadkiem, o swoim udziale w rzezi na Maro. Wciąż zbierało mu się na wymioty, gdy pomyślał o wszystkich tych ludziach, którzy zginęli tamtego dnia. Wiele religii głosiło, że po śmierci człowiek wędruje do nowego, lepszego świata, że po życiu doczesnym następuje inna forma egzystencji, ale Khadaji wolał nie wikłać się w podobne rozważania. Może tak było, a może nie – któż to może wiedzieć? Brzmiało to atrakcyjnie, ale póki ktoś nie udowodni ponad wszelką wątpliwość, że życie po śmierci istnieje, należało zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, by dobrze wykorzystać swój czas w rzeczywistości namacalnej. A jeśli wszyscy ci, którzy polegli na Maro, mylili się? Ich ofiara poszłaby wówczas na marne – jak dostawa nieświeżego jedzenia czy skażonych chemów.

Świadomość ta była tak straszna, że nie potrafił wyrazić jej słowami. Każda forma agresji jednej ludzkiej istoty wobec drugiej to coś złego i niestosownego, a agresja prowadząca do zabójstwa jest z nich wszystkich najgorsza. Jak można się na nią godzić? Podczas owej krótkiej chwili kosmicznego olśnienia Khadaji w pełni pojął wartość inteligentnego życia. Jego jedynymi przejawami w galaktyce był człowiek oraz stworzone przez niego mutki. Oczywiście, istniały sztuczne inteligencje – komputery oraz genetycznie zmodyfikowane zwierzęta – ale nie odkryto żadnej obcej formy życia, która przewyższałaby inteligencją zwykłego psa. Ludzie żyli w wielkiej galaktyce, w której wystarczyło przestrzeni dla każdego człowieka i neoczłowieka. Zabijanie kogokolwiek wcale nie było konieczne.

Ulewa siekła drzewa, ściany budynków i ziemię. Khadaji przez chwilę siedział z napiętymi mięśniami rąk, aż w końcu nabrał głęboko tchu i odprężył się, wydmuchując zarówno powietrze, jak i gniew. Ktoś musiał coś z tym zrobić. Ktoś musiał zatrzymać Konfed, musiał poluzować ów żelazny uścisk, musiał zakończyć codzienne szafowanie śmiercią.

Zwrócił twarz ku strugom deszczu. Kto? On? W pojedynkę? Jasne! Wybuchł śmiechem, chociaż sytuacja wcale nie wydawała mu się zabawna. Nie miał pojęcia, co począć. Wystarczyło jednak, by zamknął oczy, a od razu zobaczył Rudzielca – kim on był? Ten człowiek, który bez wysiłku sprzątnął trzech żołnierzy Konfedu? W końcu nawet największa armia składa się z jednostek, z mężczyzn i kobiet takich jak ci w pubie. Takich jak on.

Samotny wojownik nie mógł stawić czoła całej Konfederacji, ale mógł działać przeciwko niewielkim grupkom, o ile potrafił zachować należytą uwagę, a także wykazać się sprytem i odpowiednimi umiejętnościami.

Deszcz zaczął tracić na sile. Krople były coraz mniejsze, wiatr słabł, chmury wyczerpywały swój potencjał.

Tak. Nadszedł czas działania. Ale jakiego? Bez względu na to, jakimi ścieżkami Khadaji kierował swoje myśli, widział tylko jedną drogę wprowadzenia zmian i nie była to ewolucja, a jej gwałtowniejsza siostra – rewolucja. Problem w tym, że integralny element tej metody wprowadzania zmian stanowiła agresja. Wciąż zdumiewała go ironia sytuacji, ironia niewypowiedzianych słów: jestem zwolennikiem pokoju, a ty rób, co ci każe, bo cię zabiję.

Deszcz na moment znów przybrał na sile, usiłując odzyskać chwalebne miano burzy, lecz jego wysiłki spełzyły na niczym. Spadły ostatnie krople i spośród cofających się chmur wyszło słońce. Znad plastokrety i dachówek z płytki łupkowej uniosły się kłęby pary, wracając do atmosfery, by raz jeszcze uruchomić niezmienny cykl.

Khadaji wyszedł spod pagody i ruszył ulicą, oblany światłem wczesnego popołudnia. Czy mógł wykorzystać tę samą wymówkę, co Konfed – że mianowicie cel uswięca środki? Czasami tak bywało, jasne, ale czy wykorzystywanie złych metod wroga po to, by tego wroga powstrzymać, jest z punktu widzenia etyki usprawiedliwione?

Khadaji szedł po kostki w wodzie. Czy istniały jakieś inne sposoby? W trakcie studiów dowiedział się, że zmiany w społeczeństwie zachodzą wyłącznie na drodze ewolucji lub rewolucji. Ewolucja i rewolucja, oparte na nauce i wojnie, polityce i kompromisach, własnych korzyściach i woli przetrwania. Rzecz jasna, historia pokazywała, że sztywne społeczeństwa niepodatne na zmiany, jak choćby prehistoryczne dinozaury, zawsze przegrywały próbę czasu. Konfederacja była największym dinozaurem w dziejach i choć ów dinozaur zdychał od jakiegoś czasu, to Khadaji wiedział, że sporo go jeszcze upłynie, zanim ostatecznie wyzionie ducha. Każde imperium, które wymuszało posłuszeństwo obywateli obecnością kontyngentów wojskowych, znajdowało się na prostej drodze ku upadkowi. To z kolei budziło kolejne pytanie: co pojawi się w miejscu zdechłego potwora, gdy ten zacznie gnić? Jaki pasożyt wyłoni się z jego cuchnącego cielska, by sięgnąć po władzę?

Khadaji pokręcił głową. Nie wiedział jeszcze wystarczająco wiele, ale każda chwila tyranii Konfederacji, której pozwalał biernie upłynąć, oddalała możliwości osiągnięcia jakiegokolwiek sukcesu. Nadszedł czas, by coś zrobić.

Ale co? I jak? Najwyższa pora rozwiązać te dwie zagadki.

Uśmiechnął się do samego siebie. To zabawne, jak bardzo się zmienił przez ostatnich kilka lat. Któżby odgadł, co kiedyś będzie planował i robił w porównaniu do tego, co robił i planował jako młody, nieopierzony żołnierz? On sam, Emile Antoon Khadaji, na pewno by się tego nie domyślił. A wszystko przez kosmiczne olśnienie, którego doznał na polu bitwy, coś, czego nikt nie mógł przewidzieć. W oparciu o ten przeblysł rozumienia oraz wiarę, że

ma on znaczenie, całkiem odmienił swoje życie. Zdezerterował, zdobył wiedzę w dziedzinach, o istnieniu których wcześniej nie miał pojęcia, a teraz planował rzeczy niemożliwe. I nawet w tej chwili wydawało mu się to wszystko całkiem zaskakujące. Ów moment uduchowienia pchnął go na nową drogę życia, skłonił do czynów, o jakich nigdy wcześniej nawet nie śnił. Na swój sposób stał się intelektualistą.

Nadeszła pora, by stał się człowiekiem czynu.

* * *

Odnalezienie Rudzielca potrwało dwa tygodnie, choć Khadaji zawdzięczał sukces raczej łutowi szczęścia, aniżeli talentowi śledczemu. Przeczytał sporo opracowań na temat wykrywania i prowadzenia dochodzeń, ale niektóre z odnalezionych tam mądrości trudno było odnieść do rzeczywistości. Na przykład „zlokalizowanie miejscowego źródła informacji” w praktyce okazało się o wiele trudniejsze, niż sugerowała to teoria.

Rudzielec nie był uszczęśliwiony jego widokiem.

Spotkali się w klubie somatycznym między rzędami kapsułek elektrostymulujących, służących do wzmacniania mięśni. Spocony z wysiłku Rudzielec korzystał ze staromodnego zestawu z ciężarkami. Khadaji zauważył, że nawet podczas treningu nie zdejmował spetsdöda.

– No? – spytał Rudzielec czujnie.

Khadaji wyjaśnił, co go sprowadzało.

– Jaja sobie robisz?

– Nie. Zapłacę ci za naukę.

– Czemu?

– Chodzi o samoobronę.

Rudzielec zmierzył rozmówcę wzrokiem od stóp do głów. Jak większość klientów klubu, Khadaji miał na sobie jedynie przepaskę biodrową. Wśród mężczyzn przebywających na sali był jednym z najlepiej zbudowanych – czas spędzony na treningu sumito pozwalał mu utrzymać znakomitą formę.

– Wyglądasz mi na człowieka, który potrafi o siebie zadbać, jeśli trzeba.

– W walce z trzema uzbrojonymi żołnierzami?

W odpowiedzi Rudzielec cisnął sztangą w Khadajego i wycelował spetsdöda w jego brzuch.

Ten jednakże zniknął. Sztanga zadzwoniła o podłogę, a Rudzielec nagle spostrzegł, jak potężna dłoń zaciska się na jego nadgarstku. Khadaji stał tuż obok, poza zasięgiem strzałki. Rudzielec uśmiechnął się szeroko, gdy Khadaji puścił jego rękę.

– Tak właśnie myślałem. Widziałem w pubie, jak się ruszasz. Tobie nie potrzeba spetsdöda, przyjacielu. Załatwiłbyś tamtych trzech gołymi rękami, bez względu na to, czy

mieliby pistolety, czy nie, prawda?

– Prawdopodobnie tak. Ale nadal chcę się uczyć.

Rudzielec pochylił się i podniósł sztangę. Podźwignął ją kilkanaście razy, a potem powiedział:

– Dobra. Pokażę ci, co i jak.

* * *

Okazało się, że Rudzielec ma na imię Lyle Gatridge, chociaż większość znajomych zwracała się do niego per Rudy. Uniwersytet Nauk Wojskowych dysponował podziemną strzelnicą, gdzie Khadaji spotykał się z nim podczas wspólnych ćwiczeń. Unosiły się tam wszechobecne zapachy smarów i substancji wybuchowych, które budziły wspomnienia z jego pobytu w wojsku. Wciąż pamiętał, jak sub-lojt powtarzał do znudzenia na treningach ze strzelectwa: ładować-i-odbezpieczyć-jeden-magazynek-pocisków-i-podejść-do-linii!

Posiadanie broni zdolnej zabijać było zakazane w cywilizowanej części galaktyki, ale w ramach samoobrony zezwalano na korzystanie z broni porażającej i ogłuszającej, o ile, rzecz jasna, zdobyło się odpowiednie pozwolenie. Tasery, oślepiacze i spetsdödy z pociskami jonowo-chemicznymi nie należały więc wcale do rzadkości, jak opowiedział Khadajemu Rudy. Wyglądało na to, że znał się na rzeczy, ponieważ czasami pracował jako ochroniarz.

– Przejdźmy do tasera. To całkiem porządna broń – wyzwolony przez nią ładunek wystarczy, by ogłupić potężnego faceta. Problem polega jednak na tym, że toto ma bardzo krótki zasięg. Transmitter tasera wyśle ładunek na piętnaście metrów, góra. Jeśli twój cel stoi dalej, możesz równie dobrze w niego tym taserem rzucić. Poza tym istnieją specjalne koszulki ochronne, które absorbują ładunek.

– Oślepiacze też są niezłe. Broń tego typu oślepi przeciwnika równie skutecznie jak flara fotonowa, zwłaszcza w nocy. Ich minusem jest to, że przy świetle dziennym nie są aż tak skuteczne, a może się zdarzyć, że napastnik będzie nosił polaryzujące soczewki, które zneutralizują efekt.

Następnie Rudy wręczył Khadajemu spetsdöda.

– Przyłóż go do wewnętrznej części nadgarstka. To model na prawą rękę. No, ściągnij po prostu błonę i przyłóż go do ręki, o, tak.

Khadaji przez chwilę poruszał palcami, by się przyzwyczaić. Broń wydawała się bardzo wygodna i była tak lekka, że ledwie zauważał jej obecność. Lufa wystawała tylko odrobinę poza palec wskazujący.

– Nie jest naładowany – ciągnął Rudy. – Ale nigdy nie wierz nikomu na słowo i sprawdzaj sam. Magazynek wkłada się tutaj.

Khadaji sprawdził, komora była pusta.

Następnie Rudy wręczył mu plastikowy prostokąt długości małego palca, lecz dwukrotnie

od niego cieńszy.

– Ten magazynek zmieści do piętnastu strzałek, w zależności od tego, z jakiego typu korzystasz. Broń działa na sprężony gaz, a mechanizm miotający jest wbudowany w magazynek. To amunicja ćwiczebna – strzałki z zaokrąglonym ostrzem bez substancji chemicznych. Dobrze się nadaje do treningów – wiesz, że zostałeś trafiony, bo czujesz ukłucie, ale strzałka nie wyrządza żadnych obrażeń, chyba że trafi w oko lub coś podobnego. Wsuń to teraz białym końcem do góry.

Khadaji posłusznie wsunął magazynek na miejsce.

– Zaraz obok magazynka znajduje się przycisk, który go wyrzuca. Spróbuj, czy działa.

Nacisnął – magazynek wyskoczył i spadł na podłogę.

– Przeładowanie zabiera około trzech sekund.

Khadaji ponownie załadował broń. Opuścił dłoń i dotknął biodra, znów przebierając palcami. Czytał, jak korzystać z tego rodzaju broni. Wiedział, że przy końcu lufy znajduje się przycisk spustowy reagujący jedynie na dotyk niektórych rodzajów tkanki naskórka, zwłaszcza paznokcia. Nie było żadnego mechanizmu zabezpieczającego, chyba że w postaci specjalnej nakładki na koniec palca.

Rudy wstukał polecenie do komputera sterującego strzelnicą i w odległości trzech, czterech metrów pojawiła się holoprojekcja. Potężny mężczyzna z wysoko uniesionym nożem pędził w ich kierunku. Khadaji wybuchnął śmiechem.

– Dalej, zastrzel go! – rozkazał Rudy.

Khadaji kiwnął głową i poderwał rękę. W tej samej chwili jego stopa eksplodowała bólem.

– Ach, kurwa, kurwa, kuuurwaaa!

Oparty o słupek toru strzeleckiego Rudy śmiał się do rozpuku, aż mu oczy zaszczyły łzami.

– Zabolało, no nie?

– Jasna cholera, żebyś wiedział! – Khadaji ledwo się powstrzymywał, by chwycić stopę i zacząć skakać dookoła.

– Zapomniałem ci powiedzieć, że mechanizm spustowy jest niezwykle czuły – zachichotał Rudy.

– Pieprzony rybojebca!

– Dobra, dobra. Zapamiętasz to o wiele lepiej, niż gdybym cię tylko ostrzegł. Teraz już wiesz, dlaczego zawsze podkurczam palec wskazujący?

– Wiem.

– Jak stopa?

– Przeżyje.

– Dobrze. To spróbujmy jeszcze raz, tylko tym razem nieco wolniej, okej?

* * *

Spetsdöd w niczym nie przypominał broni, z jaką Khadaji miał dotychczas do czynienia. Po pierwsze, celowanie opierało się na instynkcie strzelca – żadnych celowników, żadnego sposobu, by dokładnie wymierzyć. Wskazywało się palcem jakiś punkt i dokładnie tam trafiał pocisk. Z tego właśnie względu była to niezwykle szybka broń – w czasie potrzebnym na wyprostowanie palca cel miał niewiele możliwości reakcji.

Rozszalała kobieta wymachująca miotaczem biegła po deptaku mechanicznym. Khadaji wymierzył w nią palcem. Rozległ się krótki dźwięk i na panelu kontrolnym zapaliła się dioda. Trafienie.

– W co celowałeś? – zapytał Rudy, zerkając na panel.

– W kobietę – odparł sucho Khadaji.

– Ale gdzie dokładnie? W twarz? Klatkę piersiową? Lewy sutek?

– W klatkę piersiową.

– A zatem chybiłeś. Trafiłeś zbyt nisko, prawie w pępek.

– I co z tego? Przecież ją trafiłem.

– To za mało. Słyszałeś historię o łucznicach?

– Co to są łucznicy?

– Ludzie strzelający z łuków. Łuk wyrzuca aluminiowy pręt długości około jednego metra przy wykorzystaniu prymitywnej...

– Wiem, czym jest łuk.

– OK. No to posłuchaj. Spotyka się trzech najlepszych łuczników w kraju, by wziąć udział w zawodach. Zgodnie z życzeniem władcy celem jest wielki hologram ryby, oddalony od zawodników o dobre pięćdziesiąt, może nawet sto metrów. Strzelają i jeden z nich wygrywa. Po zawodach władca przywołuje całą trójkę przed swoje oblicze i pyta każdego po kolei, w co celował. Pierwszy mówi: ja celowałem w rybę. Drugi: ja mierzyłem w sam środek ryby. A trzeci na to: a ja w rybie oko. Zgadnij, który z nich zwyciężył?

– Oczywiście trzeci.

– Dokładnie. Bo to, jak dobrym staniesz się strzelcem, zależy tylko i wyłącznie od ciebie.

– Rudy machnął prawą ręką, pokazując Khadajemu własny spetsdöd. – Zasięg tej broni wynosi około pięćdziesięciu metrów, ale celnie będziesz strzelać z połowy tego dystansu. Naprawdę skuteczny zasięg to pięć, siedem metrów, i z tej odległości oddasz pewnie większość strzałów. Czasami będziesz miał naprzeciwko siebie gościa w kamizelce kuloodpornej lub w grubym ortoskafandrze, a wtedy twój jedyny cel to dłoń lub szyja.

Rudy przerwał i nachylił się, by podnieść z ziemi pusty magazynek. Trzymał go w tej samej dłoni, do której przymocowywał spetsdöda, a potem po prostu rzucił nim do góry. Na oczach Khadajego skierował palec w stronę wirującego celu i strzelił. Przedmiot nagle podskoczył i zmienił tor lotu.

– Zawsze celuj w rybę oko, dzieciaku. Może i chybisz, może nie trafisz w samo oko, ale

zwiększysz szanse, by w ogóle trafić.

* * *

Zdobycie pozwolenia na posiadanie spetsdöda okazało się bardzo łatwe. Khadaji zarejestrował broń na własne nazwisko – pośród miliardów ludzi zamieszkujących galaktykę prawdopodobnie tysiące nazywało się tak samo jak on – i nazmyślał jedynie w kwestii pochodzenia. Ponadto jako student był obywatelem planety Bocca od czterech lat i przez cały ten czas raczej unikał łamania lokalnego prawa. Pozwolenie wprowadzono więc do jego tagu identyfikacyjnego, a spetsdöd stał się nieodłącznym elementem jego prawej ręki.

Rudy dysponował również modelem na lewą i czasami zmuszał Khadajego, by ćwiczył obiema rękami naraz. Khadaji spędzał na strzelnicy przynajmniej godzinę dziennie i podczas jednej sesji zużywał setki strzałek. Z początku robił znaczne postępy, z lekcji na lekcję strzelał celniej i szybciej, lecz po kilku miesiącach nauka szła mu dużo wolniej. Poczytywał sobie za sukces, jeśli trafił o pół centymetra bliżej celu lub zaliczył dziewięć trafień zamiast ośmiu.

Po trzech miesiącach trafiał sześć na dziesięć wyrzuconych w powietrze magazynków. Po pół roku dziewięć. Z bliskiego dystansu nie chybiał do celu ludzkich rozmiarów bez względu na to, czy stał, siedział czy się toczył. Po dziewięciu miesiącach regularnie wygrywał pojedynki z Rudym, przy czym nie robiło mu żadnej różnicy, czy używa prawej ręki, lewej czy obydwu. Ćwiczył przy różnym oświetleniu, w ciężkiej, niewygodnej odzieży, czasem nawet z zasłoniętymi oczami, orientując się jedynie na dźwięki wydawane przez cel. Jeśli zdarzyło mu się nie trafić, traktował to jako osobistą porażkę, wciąż próbując osiągnąć perfekcję. Celowanie spetsdödem stało się dla niego czymś niemalże instynktownym, czymś równie naturalnym jak chodzenie.

– Gotowy?

Khadaji skinął głową, całkowicie odprężony. Założywszy spetsdödy na dłonie, stał swobodnie z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Rudy znajdował się po jego lewej. Nagle gwałtownym ruchem podrzucił garść pustych magazynków. Cztery plastikowe prostokąty błysnęły w mocnym świetle lamp strzelnicy, wirując w powietrzu.

Khadaji wykonał jeden błyskawiczny ruch. Obie ręce wystrzeliły w górę, palce wskazujące wycelowały prosto w drobne przedmioty. Spetsdödy czterokrotnie kaszlnęły i tyle razy trafiły.

Uśmiechnął się. To przecież nic trudnego. Wciąż nie miał pewności, czym powinien się zająć, ale jednego był pewien – w tej dziedzinie osiągnął mistrzostwo.

* * *

Po zakończeniu zmiany Khadaji usiadł przy stole z Rudym. Popijał swój ostatni eksperyment – szampana. Był znakomity, pod warunkiem, że nie wypiło się go zbyt wiele, bo potrafił zafundować człowiekowi niezły ból głowy. Trzy kieliszki wydawały się maksymalną ilością.

– A więc co teraz? – zapytał Rudy. – W życiu nie widziałem kogoś, kto walczy lepiej od ciebie, bez względu na to, czy masz do dyspozycji gołe dłonie, czy to – wskazał na spetsdöda.
– Nie jestem w stanie nauczyć cię nic więcej.

– Mam coś do zrobienia – odparł Khadaji. – Trening był jedynie niewielką częścią przedsięwzięcia.

– Tak właśnie myślałem.

Rudy nie zamierzał zadawać naturalnego w tej sytuacji pytania, a Khadaji nie palił się, by cokolwiek wyjaśniać. I choć imponowało mu, że ten mężczyzna nigdy nie wtrącał się w cudze sprawy, sam nie potrafił poskromić ciekawości.

– A co z tobą? W czym ci przeszkodziłem?

Rudy pociągnął z kieliszka.

– W niczym ważnym. Zajmuję się wieloma rzeczami, zazwyczaj na pograniczu prawa. Czasem zajmuję się jako ochroniarz, czasem jako... kurier. Biorę różne zlecenia, jak leci. Nigdy jeszcze nie znalazłem świata na tyle interesującego, by zostać tam na dłużej niż kilka miesięcy. Uczenie ciebie było ciekawym wyzwaniem, więc przedłużyłem pobyt, ale nasza nauka dobiegła końca, więc chyba będę się zmywał. Jest jeszcze cała kupa planet, których nie widziałem.

– Nie masz rodziny?

– Nie mam, przynajmniej takiej, którą mógłbym się pochwalić. Żeniłem się kilka razy, ale za każdym z niewłaściwą kobietą. Mam córkę, której nigdy nie widziałem, jest już pewnie wyrosniętą nastolatką. Geneva. Chciałbym jej dawać coś więcej niż tylko standardy, ale szczerze mówiąc, niewiele mam do zaoferowania. Tak naprawdę to znam się wyłącznie na tym, czym się zajmuję.

Khadaji pokiwał głową. W ciągu tych kilku miesięcy znajomości z Rudym nigdy nie dowiedział się na jego temat więcej niż teraz. Niespodziewanie pod wpływem impulsu postanowił powiedzieć coś, czego wcześniej nie planował. Jeśli ktokolwiek na tym świecie zasługiwał na jego zaufanie, był nim Rudy.

– Posłuchaj, jeśli wszystko ułoży się tak, jak to sobie zaplanowałem, za kilka lat mogę się znaleźć w interesującym miejscu. W takim, w którym być może będziesz chciał zamieszkać z córką. Zarejestrowałem na Bocca stałą skrzynkę kontaktową pod nazwą „Spit Enterprises” – Khadaji uśmiechnął się. – Daj znać raz na rok czy dwa, gdzie można cię znaleźć.

Rudy wyszczerzył zęby.

– Nigdy nie byłem dobry w korespondowaniu, dzieciaku, ale w sumie, do licha, czemu

nie? Płonie w tobie ogień, to widać. Nie mam pojęcia, co to oznacza, ale to coś potężnego.
Będziemy w kontakcie.

SZESNAŚCIE

Khadaji siedział w jednej z dwóch tysięcy kabin głównej biblioteki uniwersyteckiej i wpatrywał się w holoprojekcję generowaną przez komputer. Wiedział, że jeśli ma stworzyć jakąkolwiek formę opozycji wobec Konfederacji, to musi wyjść z pozycji siły. Był atletycznie zbudowany, dysponował kilkoma rzadkimi umiejętnościami, a teraz dodatkowo stał się mistrzem strzelania ze spetsdöda. Potrzebował jednakże czegoś więcej, musiał w jakiś sposób zapewnić sobie władzę.

Władza zaś, jak dowiedział się podczas studiów politycznych, pochodzi z różnych źródeł. Czasem daje ją przewaga wojskowa, czasami zabiegi polityczne bądź religia, bywa też, że zapewnia ją bogactwo materialne. Nierzadko zresztą wszystkie te źródła przeplatają się i wzajemnie uzupełniają.

Khadaji dotknął termoczułego klawisza. Holoprojekcja zamazała się, gdy komputer rozpoczął poszukiwanie tematu wybranego przez użytkownika.

Przewaga wojskowa nie wchodziła w grę. Żeby stanąć na czele sił zbrojnych wystarczająco potężnych, by rzucić Konfedowi wyzwanie, musiałby piastować urząd co najmniej marszałka sektora, a szanse na dotarcie tak wysoko miał równie małe, jak śnieżka na przetrwanie w sąsiedztwie supernowej. Polityka również nie dawała łatwego dostępu do władzy, a ponadto działalność polityczna wymagałaby zbyt wielkich nakładów czasu, o ile w ogóle zdołałby narzucić swoją wizję jakiejś skutecznej organizacji. Religia odpadała, tym tematem nigdy się nie interesował.

Pozostawały pieniądze. O wiele łatwiej było zdobyć bogactwo niż sławę, istniało wiele sposobów na zarobienie dużej ilości standardów.

Problem polegał na tym, by zarobić je możliwie najszybciej, w przeciągu, dajmy na to, od pięciu do dziesięciu lat. Tak krótki okres właściwie wykluczał uczciwą pracę. Żmudna wspinaczka po szczeblach kariery w korporacji trwałaby zbyt długo, nawet gdyby dysponował jakąś cenną umiejętnością w danym zakresie. Niestety, tym akurat poszczycić się nie mógł. Zdobył niebagatelne wykształcenie w wielu dziedzinach, ale w większości była to wiedza akademicka. Barmani zaś nigdy nie umierają jako bogacze.

Istniały, rzecz jasna, szybsze sposoby uczciwego dorabiania się fortuny. Motto setek

tysięcy przedsiębiorców na przestrzeni dziejów brzmiało: „znajdź niszę i ją wykorzystaj”. Jeśli ktoś miał odpowiedni talent, sporo motywacji i nieco szczęścia, szybko mógł dołączyć do grona milionerów-dorobkiewiczów.

Tak czy inaczej, jednak najszybsza metoda zdobycia dużych pieniędzy była o wiele prostsza – należało po prostu ominąć prawo. Najmniej legalne nisze zawsze przynosiły największe zyski. Istniały choćby narkotyki zakazane na planecie A, legalnie sprzedawane na planecie B. Cała filozofia polegała na opracowaniu bezpiecznego sposobu transportowania chemów. Do tego dochodziły nielegalna broń, holofilmy, gadżety seksualne... Krótko mówiąc, niezmierzone bogactwo produktów mogących przynieść góry pieniędzy człowiekowi, który miał wystarczająco duże jaja, by je dostarczać i dość oleju w głowie, by nie dać się złapać.

Oczywiście, z takimi przedsięwzięciami wiązało się spore ryzyko. Pluton egzekucyjny czy pranie mózgu nie były przyjemnymi perspektywami, nie wspominając o śmierci z ręki konkurencyjnego „przedsiębiorcy”. No i co ze względami moralnymi? Czy miałyby dla siebie chociaż odrobinę szacunku, zbijając majątek na niewolnictwie czy handlu wyniszczającymi życie narkotykami?

Nie należało jednak zapominać, że prawo nie zawsze było sprawiedliwe. Niektóre przepisy piętnowały zjawiska złe z założenia, jak choćby molestowanie nieletnich, ale inne nazywały nieszkodliwe czynności zbrodniami tylko dlatego, że komuś były one nie na rękę, jak na przykład współżycie w niezalegalizowanych związkach podczas świąt religijnych. Na niektórych planetach jednego dnia zezwalało na takie zachowania, drugiego ich zakazywano, a trzeciego znów przymykano na nie oko. Według Khadajego łamanie praw tego rodzaju nie wiązało się z żadnym dylematem moralnym.

Na holoprojeksji zamigotały słowa: ANALIZA STATYSTYCZNA I PORÓWNAWCZA DZIAŁAŃ NIEZGODNYCH Z GŁÓWNYMI PRAWAMI PLANETARNYMI Z UWZGLĘDNIENIEM PRZESTĘPSTW ZWIĄZANYCH Z NARUSZENIEM WŁASNOŚCI – ZESTAWIONE PRZEZ SYSTEM GWIEZDNY.

Khadaji pokręcił głową. Wykaz, który miał przed sobą, wyglądał na niezakończony projekt studentów ostatniego roku, podlegający ustawicznemu przeróbkom. Wedle komputera, plik liczył 25 973 strony wydruku. Po chwili liczba ta wzrosła o kolejnych sto, a następnie o dodatkowych siedemdziesiąt. Nawet gdyby chciał przejrzeć go możliwie najszybciej, zabrałoby to mnóstwo czasu. Zdecydował, że będzie się zatrzymywać jedynie przy najważniejszych fragmentach. Nie miał zamiaru spędzić reszty życia na próbach przestudiowania pliku, który rósł szybciej, niż ktokolwiek potrafił czytać.

* * *

Kupił dwie identyczne walizki, każdą w sklepie detalicznym, który w ciągu roku sprzedawał tysiące podobnych. Przed zakupami pokrył dłonie mikrobloną, by nie zostawić

odcisków palców ani żadnych wydzielin. Jedną z walizek zapełnił zwykłym wyposażeniem turysty – ubraniami, przyborami toaletowymi, taśmami i książką. Do drugiej włożył mniej więcej to samo, ale w odtwarzaczu ukrył kilkaset porcji mescabynu – łagodnego i nieszkodliwego halucynogenu, który na dodatek był legalny. Cóż, legalny na planecie Bocca. U jej najbliższego sąsiada (i ostatniej zasiedlonej planecie w systemie Fausta) – na Księżycu Ago – już nie, podobnie jak większość innych narkotyków. Gdyby udało mu się sprzedać te porcje odpowiednim ludziom, zarobiłby jakieś pięćset razy więcej, niż za nie zapłacił.

Podróż z Bocca na Księżyc Ago zwykle przebiegała bez większych problemów. Oczywiście, między tymi dwoma światami kursowali przemytnicy, ale bagaże sprawdzano losowo. Khadaji załatwił sobie zawczasu fałszywy tag identyfikacyjny na nazwisko Reachardo Hollee i wykorzystał go, by kupić bilet w jedną stronę. Pod tym samym nazwiskiem nadał walizkę z mescabynem. Zaraz potem wykupił bilet na ten sam lot już na własne nazwisko i nadał drugą walizkę. Pospieszył się, dzięki czemu numer drugiego nadania był o jeden większy od fałszywego. Krok pierwszy zakończony.

Emile Khadaji nieco bardziej zdenerwowany niż zwykle wszedł na pokład porannego promu na Księżyc Ago i usiadł w piankowym fotelu, otaczającym podróżnego na podobieństwo matczynego łona. Steward zaproponował mu coś na sen, ale odmówił. Pomyślał, że powinien się zrelaksować. Jeśli będzie po nim widać niepokój, z pewnością zostanie złapany.

Statek kosmiczny wylądował bez przeszkód i Khadaji udał się do strefy odbioru bagaży. Przyglądał się torbom i walizkom wypadającym przez otwór w ścianie. Zdarzało się, że roboty wyznaczone do transportu wkładały w pracę zbyt wiele siły i bagaż przelatywał nad pasem transmisyjnym, by spaść na podłogę. W końcu dostrzegł walizkę zawierającą kontrabandę. Gdy po nią sięgnął, był spocony jak szczur, spodziewał się, że lada chwila ktoś zaciśnie dłoń na jego ramieniu.

Nic się jednak nie wydarzyło – wyglądało na to, że nikt go nie obserwuje – i Khadaji grzecznie stanął w kolejce. Z przodu obsługa portu kosmicznego sprawdzała na tagach, czy ludzie poodbierali właściwe bagaże. Starsza pani obsługująca czytnik wyglądała na znudzoną. Urządzenie, z którego korzystała, nie posiadało automatycznej pamięci. Gdyby było inaczej, plan Khadajego spaliłby na panewce.

Kobieta zerknęła na odczyt z fałszywego taga, doszła do wniosku, że numery się zgadzają i ruchem głowy nakazała Khadajemu iść dalej. Nawet na niego nie spojrzała i natychmiast przystąpiła do sprawdzania kolejnego pasażera.

Khadaji głęboko odetchnął. Jak dotąd wszystko szło jak z płatka. Pora na krok drugi.

Korytarzem dotarł do stanowisk odprawy celnej. Między strefą odbioru bagaży a stołami, na których dokonywano ich inspekcji, nie było przejścia, ale wzdłuż ścian korytarza biegingy wąskie rury na odpadki. Starając się nie rzucać w oczy, Khadaji podszedł do jednej z nich. Wyciągnął drobny, nie większy od paznokcia kciuka pasek z ładunkiem fosforowym,

przykleił go do fałszywego taga i wrzucił do rury. Usłyszał szum, gdy rura zassała plastikowy identyfikator, a zaraz potem dobiegło go ciche echo eksplozji. Reachardo Hollee przestał istnieć. A zatem krok trzeci.

Urzednicy celni wyglądali na równie zdruzonych jak kobieta przy odprawie bagażowej, ale Khadaji wiedział, że to tylko pozory. Miał przed sobą najbardziej niebezpieczną część przedsięwzięcia. Gdyby tylko otworzyli jego walizkę, gdyby znaleźli chemy ukryte w odtwarzaczu, byłoby po wszystkim. Wiedział jednak, że nie mógł się lepiej zabezpieczyć, a przebieg akcji, w której właśnie uczestniczył, rozgrywał w głowie setki razy:

– I co my tu mamy? Spójrz no, Johann, przemytnik narkotyków!

Khadaji udaje klasyczne zdumienie.

– Co takiego?! Przecież ja nigdy wcześniej czegoś takiego na oczy nie widziałem!

Przygląda się zawartości walizki, a potem odgrywa nagłe olśnienie.

– Hej, poczekajcie no chwilę! To nie moja walizka!

– Jasne, chłopie, jasne. Chodźmy lepiej do mojego biura. Pokaż swój tag. Aha, nie rób żadnych gwałtownych ruchów. Sięgnij po niego powoli, Johann wszystko rozpieprza, kiedy się zdenerwuje.

Khadaji wyciąga tag, oczywiście bardzo ostrożnie, usiłując wyglądać jak niewiniątka, a oni go sprawdzają.

– Faktycznie, zły numer! W takim razie wszystko w porządku. Jak ci się udało przejść obok Marlerry? Zadzwoń no do niej, Johann. I sprawdź, czy jest walizka z takim numerem.

Musiałby pewnie czekać z tysiąc lat, ale druga walizka w końcu by się pojawiła, przypuszczalnie w towarzystwie starszej pani z odprawy bagażowej. Zostałaby gruntownie przeszukana, ale przecież nie znajdowało się w niej nic nielegalnego. Numery też by się zgadzały. Tag wskazywałby, że Khadaji nadał wyłącznie bagaż bez lewej zawartości. Zapewne celnicy nadal byłiby pełni podejrzeń, ale puściliby go i rozpoczęli poszukiwania pana Hollee, przemytnika narkotyków.

– Pański tag – głos urzędnika przerwał Khadajemu rozgrywany w głowie scenariusz.

– Och, przepraszam.

Wyciągnął identyfikator, a celnik wsunął go do czytnika.

– Cel wizyty?

– Wakacje. Wybieram się do Giant Falls, chcę trochę popływać, może ponurkować.

– Aha. Ma pan coś do oclenia?

– Nie, proszę pana.

Urzednik wyciągnął tag z czytnika i obrzucił wzrokiem walizkę Khadajego.

– To cały bagaż?

– Tak, proszę pana. – Khadaji chwycił walizkę, jakby miał zamiar położyć ją na stole.

Celnik zerknął najpierw na niego, a potem na bagaż.

– Dobra, dajmy sobie z tym spokój. Przyjemnego pobytu na Księżycu Ago.

Skinął na kolejnego pasażera.

Khadaji zmusił się, by odejść powolnym krokiem. Przeszedł! Pora na krok czwarty.

* * *

Miał na Księżycu pewien kontakt – człowieka, którego poznał w pubie na Bocca. Przed spotkaniem odnalazł pozwolenie na broń, udał się do handlarza i kupił spetsdöd oraz cztery magazynki strzałek z ładunkiem odurzającym. Tak na wszelki wypadek.

Transakcja odbyła się jednak bez najmniejszych trudności. Dziesięć minut po tym, jak przybył do biura znanego producenta odzieży, sprzedał mescabynę wartości pięćdziesięciu standardów za dwadzieścia pięć tysięcy. Zobaczył, jak pieniądze wpływają na jego rachunek i rozstał się z klientem w dobrym nastroju. Ten drugi na pożegnanie obiecał płacić w przyszłości za każdą ilość towaru.

Khadaji wyszczerzył zęby, zmierzając w kierunku wynajętego mieszkania. W ciągu dwóch godzin zarobił więcej niż przez całe swoje życie. Roześmiał się w głos. Kusiło go, by spędzić na Ago kilka dni i wydać jakąś sumkę na przyjemności przewidziane dla zamożnych, ale szybko odpędził tę myśl. Przecież to dopiero początek. Teraz musiał sprawić, by zasiane przez niego ziarno szybciej zakiełkowało. Trick z dwiema walizkami zadziałał, ale Khadaji nie zamierzał korzystać z niego ponownie. Z tego, co wyczytał podczas swoich badań, przestępcy najczęściej dawali się złapać, ponieważ próbowali zmusić złotą kurę do zniesienia zbyt wielu jajek. Nie zamierzał popełnić tego błędu.

* * *

Określenie „nieszkodliwe przestępstwo” mogło co prawda brzmieć dwuznacznie, ale właśnie tak Khadaji nazywał swoje operacje. Przemyt nadal wydawał mu się najlepszym sposobem na szybki zarobek. Nie parał się handlem bronią, a jeśli szmuglował narkotyki, to tylko miękkie. Zwykle kupował je tam, gdzie były legalne i sprzedawał tam, gdzie ich zakazano. Duże zyski stanowiły wystarczające usprawiedliwienie dla podejmowanego ryzyka – tak mu się przynajmniej wydawało.

* * *

– ...coś do oclenia, bracie?

– Kupiłem ten aparat na Muta Kato – powiedział Khadaji. – To prezent dla mojego starego przyjaciela, który tu mieszka.

– Wygląda na drogi, bracie. Jaka jest jego wartość?

– Cztery standardy, obawiam się. – Nie licząc ognistych opali ukrytych w silniczku,

pomyślał. – Czy będę musiał zapłacić cło?

– Cóż, niestety tak, bracie. Pięćdziesiąt procent wartości.

Khadaji udał, że krzywi się z niesmakiem.

– Ech, i tak oto mogę zapomnieć o upominkowej statuetce Jego Eminencji dla mamy... – mruknął i sięgnął po pasek kredytowy.

– Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym pozbawił twoją matkę tak wspianiałego podarunku. To może ustalmy, że wartość tego aparatu to... dajmy na to, trzysta standardów?

Khadaji uśmiechnął się szeroko.

– Prawdziwy z ciebie święty, bracie.

Nie przestając się uśmiechać, przeszedł przez strefę odprawy celnej. Nie żałował czasu spędzonego na studiowaniu historii. Łatwo zarobione dwanaście tysięcy standardów zawdzięczał autorowi starego pliku pod tytułem *Skradziony list*.

* * *

Kiedy Dyrektoriat Simba Numa ogłosił rekrechemy plugastwem i rozkazał zamknąć wszystkie puby, Khadaji nie należał do tych chemodilerów, którzy wyprzedawali zawartość ładowni swoich statków żadnym klientom na ulicach miasta. Wystarczyło zamachać paskiem kredytowym przed nadjeżdżającym pojazdem, by kupić dowolny środek odurzający lub alkohol. Dyrektoriat spodziewał się takiej reakcji i był na nią dobrze przygotowany. Każdego dnia zatrzymywano dziesiątki takich objazdowych sklepików, a ich właściciele i piloci trafili do aresztu. Korzystając z wiedzy zdobytej podczas pracy za barem, Khadaji zaczął działać na rynku legalnych produktów, które łatwo można było przerobić na rozmaite popularne rekrechemy i sprzedawał instrukcje, jak owych przeróbek dokonywać. Środki psychodeliczne czy dżin rodem z wanny domowej były rekordy sprzedaży, a Khadaji opuścił planetę na długo przed tym, nim władze zaczęły go szukać.

By zatuszować kryminalną działalność, założył legalny interes, firmę specjalizującą się w pomaganiu mniejszym przedsiębiorstwom zwiększać efektywność działania. Stworzył ją, rejestrując całą serię rozmaitych wyspanych z palca korporacji i przykrywek, a następnie zatrudniając samego siebie jako działającego niezależnie agenta odpowiedzialnego jedynie przed dyrektorem naczelnym. Ów dyrektor miał prawo zajmować się legalną stroną interesu dopóty, dopóki poświadczał za Khadajego i nie zadawał żadnych pytań.

Zgromadziwszy całkiem sporo środków, Khadaji zaczął inwestować w inne legalne operacje – akcje, banki i przedsięwzięcia przynoszące duże zyski. Pożądał bogactwa, ale interesowało go jedynie takie, z którego mógł korzystać. Płacił więc podatki od legalnych zarobków, zatrudnił cały sztab księgowych, którzy kamuflowali dochód z nielegalnych przedsięwzięć i dalej zbijał krocie. Mir, jakim się cieszył w społeczeństwie, pozwalał mu bez problemu zamieniać brudne standardy w najczystsze z możliwych. Bardzo szybko dołączył

do obywateli średniej klasy, potem stał się zamożny, a w końcu całkiem bogaty.

W zbijanie fortuny włożył całą energię. Stało się to dla niego grą, która z początku ekscytowała go ze względu na ryzyko. Później wolał postawić na przezorność i zaczął płacić innym, by podejmowali to ryzyko za niego. Wysługiwał się marionetkami i wysyłanymi z nieznanego źródła zleceniami komputerowymi, stosując przy tym niezawodne, niepozostawiające śladów zabezpieczenia. Gdyby nawet któryś z jego ludzi wpadł, dojście do niego byłoby praktycznie niemożliwe. Rzadko bo rzadko, ale zdarzały się takie sytuacje. Uruchamiał wówczas któryś z legalnych funduszy, by wpłacić kaucję za pracownika, a jemu samemu podsuwał sporą sumę opodatkowanej gotówki. Mało kto godził się z własnej woli współpracować z władzami, a nawet jeśli do tego dochodziło, nie potrafił powiedzieć nic konkretnego na temat enigmatycznego mocodawcy.

* * *

W ciągu pięciu lat Khadaji osiągnął dwie rzeczy. Po pierwsze, zasłynął w świecie przemytniczym jako Widmo, bowiem nikt tak naprawdę nie wiedział, kim jest ów tajemniczy mężczyzna. Po drugie, zbił spory majątek. W galaktyce, w której człowiek wart pięć milionów standardów już coś znaczył, Khadaji liczył się za dwunastu. Z tym, że nikt o tym nie wiedział. Nikt go nie znał. Podczas spotkań z ludźmi niezwiązanymi z jego legalną działalnością zakładał maskę. Stworzona przez niego procedura wysyłania wiadomości była tak skomplikowana, że istniała doprawdy znikoma szansa, by ktokolwiek zdołał dotrzeć do niego jej krętymi ścieżkami. Ponadto obsesyjnie utrzymywał tożsamość w tajemnicy. Nikt nawet nie podejrzewał, że to on jest Widmem, a dla tych, którzy go znali, uchodził za dobrze opłaconego sługusa bliżej nieokreślonej korporacji lub niewyróżniającego się członka społeczności przedsiębiorców. Miał już jednak pewne kontakty i wystarczająco dużo pieniędzy, by stać się kimś znaczącym i wpływowym. Miał także zaczątki planu.

SIEDEMNAŚCIE

W systemie Shin istniało sześć zaludnionych światów, z czego planeta Renault, krążąca jako piąte z kolei ciało wokół słońca zwanego Shin, była najslabiej rozwinięta. Parametry fizyczne pozwalały jej mieszkańcom poruszać się bez skafandrów i swobodnie oddychać miejscowym powietrzem, siła grawitacji nieznacznie przewyższała standardową, a powietrze było nieco bogatsze w tlen. Planeta miała mocno pochyloną oś. Znajdujące się na niej trzy kontynenty stanowiły ojczyznę dla dziewięciu milionów ludzi i społeczności dobranych odpowiednio mutków. Ludność utrzymywała się głównie z leśnictwa i uprawy, zaś na towary eksportowe składały się niewielkie ilości oczyszczonych metali.

Znajdujący się na uboczu świat nie miał wielkiego znaczenia dla Konfedu i jego machinacji. Stacjonował tam niewielki kontyngent liczący zaledwie sto osób, choć przydział na Renault dla każdego ambitnego żołnierza stanowił coś na kształt kary.

Wioska Simplex-by-the-Sea leżała na południowo-zachodnim wybrzeżu najmniejszego kontynentu. Lata bywały tam gorące, zimy łagodne, a miejscowa ludność żyła przede wszystkim z rybołówstwa i turystyki. Nowoczesna technologia wyciągała już swoją wszędobylską łapę po kontynent, ale na miasteczko spadło tylko kilka jej owoców. Flota rybacka dysponowała co prawda pełną bioaparaturą do namierzania ławic, ale rybacy wciąż korzystali ze zwykłych sieci. Na planecie znajdował się również ośrodek badawczy, choć skanery wchodzące w skład wyposażenia kutrów zasługiwały na miano antyków i ich pracę zakłócała to miejscowa pogoda, to znów awarie. Trudno było o mniej istotne dla Konfedu miejsce, przez co wydawało się ono wręcz stworzone dla potrzeb Khadajego.

Przez miesiąc pławił się w blasku słońca w Simplex-by-the-Sea, a wyjeżdżał stamtąd już jako właściciel budynku niegdyś pełniącego funkcję szkoły dla miejscowych dzieci. Ostatni uczniowie, którzy z niej korzystali, w wielu przypadkach byli już dziadkami – w miasteczku mieszkało niewiele dzieci, które zresztą podłączały się do edukomu w domach.

Oczywiście, mieszkańcy Simplex-by-the-Sea wyparliby się znajomości z kimkolwiek o nazwisku Emile Khadaji. Nie potrafiliby również zidentyfikować twarzy człowieka, który kupił starą szkołę, ponieważ tak naprawdę to jej nie widzieli. Mężczyzna płacił jednak dobrym pieniądzem i miał go sporo. W tym miasteczku każdy wiedział, co porabiają sąsiedzi,

a plotki były czymś równie powszechnym, jak zapach ryb czy mew, ale nikt nie odważyłby się obrazić obcego – szczególnie takiego, który chętnie wydawał pieniądze i być może zamierzał stworzyć nowe miejsca pracy. Człowiek-Który-Kupił-Szkołę stał się więc tematem wielu plotek, które jednakże nie wyszły poza granice miasteczka. Lepiej za dużo nie gadać, może nawet lepiej utajnić transakcję, no nie?

Khadaji wysłał na Renault cztery zespoły agentów. Zgromadzili oni potrzebne zapasy, zdobyli zezwolenia – czasem wręczając po cichu łapówkę, czasem nie – i zatrudnili pracowników. Kiedy to tylko było możliwe, pracę oferowano miejscowym i wynagradzano ich grubo powyżej miejscowej średniej. Człowiek-Który-Kupił-Szkołę stał się bardzo popularny w Simplex-by-the-Sea.

* * *

Khadaji wszedł do swojego biura na Bocca. Otaczały go ręcznie woskowane panele z hebanowca, a na biurku wyrzeźbionym z gigantycznego korzenia wrzośca stał najbardziej skomplikowany i wyszukany terminal holograficzno-komputerowy dostępny na rynku. Zwykły agent nie zasługiwał na takie biuro, więc Khadaji załatwił sobie „awans” do pozycji wicedyrektora. Rozpuścił po firmie plotkę, że został przesunięty w górę wbrew własnej woli w wyniku kilku nieskutecznych posunięć, po których zaczął być kimś niemile widzianym w politycznych kręgach. Gdy przyłgnęła do niego reputacja nieudacznika, pozostali pracownicy zaczęli go unikać, dokładnie tak, jak to sobie zaplanował. Zauważył przy tym, że manipulacja innymi ludźmi przychodzi mu z coraz większą łatwością. Ta świadomość powoli zaczynała go dręczyć.

– Juete – rzucił w powietrze. Nim zdążył się rozsiaść w flexifotelu, holoprojekcja zamigotała, otwierając właściwy plik. Uśmiechnął się. A więc podjęła zeszlomiesięczne dofinansowanie na Wisznu, słynącym z przyjemności cielesnych księżycu orbitującym wokół Sziwy w systemie Tau. Każdego miesiąca Juete otrzymywała pięć tysięcy standardów z funduszu, który miał istnieć aż do jej śmierci. Nigdy więcej nie będzie musiała pracować ani martwić się o utrzymanie. Co prawda nie powiedział wprost, że fundusz był jego dziełem, ale przekazał jej wskazówkę. Dołączył do depozytu krótkie pozdrowienie: „Teraz rozumiem wszystko lepiej. Kocham cię, Starszy”.

Nawiązywał do jednej z ich wcześniejszych rozmów, kiedy Juete na swój sposób próbowała go ostrzec i dać mu do zrozumienia, że zrobi wszystko, co konieczne, by o siebie zadbać. Powiedziała mu wówczas, że z wiekiem przychodzi doświadczenie, które jest o wiele ważniejsze od zwykłej mądrości. Wtedy nie potrafił tego w pełni zrozumieć, teraz rozumiał to aż za dobrze.

Juete nie była głupią dziewczyną, od razu się zorientowała, z jakiego źródła pochodzą standardy. Niemalże natychmiast do biura banku zarządzającego funduszem dotarła

lakoniczna wiadomość głosowa, którą w końcu przekazano Khadajemu: „To ty, Emile, prawda? Teraz rozumiem, że naprawdę mnie kochasz. Jeśli kiedykolwiek zechcesz, z przyjemnością znów się z tobą zobaczę i okażę ci moją wdzięczność”.

Khadaji uśmiechnął się, słuchając tych słów. Dzięki nim jego dzień stał się nieco cieplejszy, nawet pomimo tego, że nie przypominał już naiwniaka z czasów, gdy się poznali. Przyjemnie było pomyśleć, że Juete myślała tak naprawdę.

Albo – zasugerował cyniczny głos, który stawał się coraz silniejszy na skutek kontaktów ze skorumpowanymi urzędnikami i światkiem przemysłowców – albo po prostu miała ochotę capnąć całą kurę, a nie tylko jedno jajeczko.

Cóż, teraz i tak nie miało to znaczenia. Robił to wszystko nie tylko dla niej, ale i dla siebie. Gdyby swego czasu nie była z nim tak szczerą, opowiadając mu o swoich potrzebach, zatrzymałaby go na zawsze. Szczerość zasługiwała zaś na nagrodę, nawet jeśli okazywała się bolesna. Poza tym, gdyby się nie rozstali, nigdy nie osiągnąłby pozycji, dzięki której stać go było na hojność.

– Sir? – odezwał się terminal.

– Co takiego?

– Pańskie ćwiczenia rozpoczną się za piętnaście minut.

– Aha. Racja. Dziękuję.

– Proszę, sir.

Khadaji wstał i przeciągnął się, nasłuchując, jak trzeszczą mu stawy. Wyraźnie czuł przesuwające się mięśnie pleców i ramion. Na razie wszystko szło doskonale, ale i tak nie warto było tracić formy. Od tego zależało jego życie.

* * *

Przed włączeniem symulatora przestronne, prostokątne pomieszczenie przypominało nieużywany magazyn. Ściany z pianki skalnej, wsparte na szkielecie z zagęszczonego plastiku, kryły w sobie jedynie pustkę. Po uruchomieniu urządzenia przestrzeń wypełniały zawczasu przygotowane projekcje. Wystarczyło wypowiedzieć odpowiednie słowo kodowe, a wokół pojawiała się pustynia, dżungla lub ulica miasta. Powstające dzięki ujarzmionym energiom projekcje, których działanie Khadaji rozumiał tylko częściowo, wyglądały niezwykle realistycznie. Były też nalezycie materialne, a co więcej, użytkownik mógł je zaludnić dzięki odpowiednio zaprogramowanym symulatorom. Oprzyrządowanie służące do tego celu, stosowane chyba tylko przez policję i wojsko, kosztowało ponad dwa miliony standardów. Z tego, co Khadaji się orientował, był jedynym człowiekiem w galaktyce, który posiadał podobne cacko na własność. W zwykłych salonach gier takie urządzenia uznano by za nielegalne.

Otworzył walizeczkę i wyciągnął parę spetsdödów. Niczym podczas rytuału, który już

dawno wszedł mu w krew, mocował każdą z broni na odpowiedniej ręce, a potem ładował pełne magazynki. Na próbę machnął rękami, przyzwyczajając się do niewielkiej zmiany wagi. Po tylu latach treningu był to właściwie bezwiedny odruch – to właśnie drobne miotacze strzałek sprawiały, że ręce nabierały właściwego ciężaru, bez nich czuł się nagi. Stał w centrum magazynu, w neutralnym punkcie, który po uruchomieniu komputera sterującego symulacją nie zamieniał się w drzewo ani ścianę. Teren zawsze powstawał losowo – Khadaji nigdy nie wiedział, czym komputer tym razem go zaskoczy. Nie miał też pojęcia, jak wielu iluzorycznych, choć materialnych przeciwników już za moment go zaatakują.

Czuł napięcie w karku i ramionach. Zaczerpnął głęboko powietrza i powoli je wypuścił, pozwalając, by mięśnie się rozluźniły. Na wczesnym etapie treningu zwykle robił małą rozgrzewkę przed każdą sesją – rozciągał się i wykonywał układy *kata* – ale w końcu z tego zrezygnował. W sytuacjach z życia wziętych mógł nie mieć czasu na ćwiczenia.

Raz jeszcze nabrał tchu.

– Jazda – powiedział.

Rzeczywistość uległa zmianie. Pusty magazyn błyskawicznie stał się tropikalnym lasem, realnym i materialnym. Khadajego otoczyły drzewa o grubych liściach i niskie, przysadziste krzaki. Obok przemykały widmowe insekty, imitując bzyczenie. Z wierzchołków drzew nawoływały ptaki.

Khadaji znajdował się na niewielkiej polance. Momentalnie padł na miękki humus i zaczął pełznąć w kierunku najbliższego krzaka. Tej lekcji nauczył się już podczas pierwszych scenariuszy rozgrywanych na symulatorze. Wielokrotnie obrywał, gdy stał wyprostowany, próbując się rozeznać w nowym „świecie”.

Dżungla tętniła odgłosami, ale żaden z nich nie świadczył o obecności ludzi. Powietrza nie przecięły żadne pociski, nikt nie wzywał Khadajego, by się zatrzymał, nie było słychać ryku detektorów ruchu. Uśmiechnął się. Dobra nasza.

Bardzo ostrożnie, nadal kucając, zaczął się przedzierać przez krzaki, nasłuchując zagrożenia. Kwadrans później wyczuł delikatny zapach smaru karabinowego. Poślinił palec i wyciągnął go ku górze. Aha, a więc wiało z tamtej strony.

Ruszył w kierunku wrogów.

Było ich trzech. Jeden opierał się o drzewo, drugi – kobieta – czyścił karabin, siedząc na ziemi, trzeci stał na warcie. Ten ostatni stanowił największe zagrożenie. Khadaji od razu go rozpoznał – Wiecznie Czujny, model, którego komputer używał w niemalże każdej symulacji, diablo szybki przeciwnik. By upodobnić swoje twory do prawdziwych żołnierzy, komputer generował postaci o różnym poziomie umiejętności. Wiecznie Czujny, który teraz omiatał gąszcz baczny spojrzeniem, stanowił najszybszy model. Poruszał się z nadludzką prędkością, przewyższając w tym aspekcie nawet żołnierzy wzmocnionych bakteriami. Taka przewaga sprawiała, że rozgrywka wydawała się nie fair, ale Khadajemu to odpowiadało. Skoro potrafi rozwalić Wiecznie Czujnego, potrafi pokonać każdego innego przeciwnika w

realnym świecie.

Czekała go jednak potyczka trzech na jednego, a to zmieniało postać rzeczy. W teorii wszystko wyglądało łatwo – najpierw zdjąć Czujnego, potem kolesia opartego o drzewo, a z kobietą jakoś sobie poradzi, miała przecież opuszczony karabin. Musiał się martwić jedynie Czujnym.

Zamarł. Stał teraz całkowicie nieruchomo, wykorzystując techniki ninja. Dzięki całym latom trenowania sumito mógł trwać w jednej pozycji godzinami, ale metody ninja były lepsze. W myśl rządzących nimi zasad, nie trenowało się po prostu bezruchu, lecz niewidzialność. Między oboma stanami istniała subtelna i zarazem bardzo istotna różnica, której nie dało się w pełni wyjaśnić słowami. Najpowszechniejsza teoria głosiła, że świadomość bycia niewidzialnym pomagała uniknąć wykrycia nawet przez człowieka ponadprzeciętnie wyczulonego. Kolejny pogląd, który nigdy nie został udowodniony.

Khadaji czekał, aż Czujny się odwróci, by strzelić mu w plecy. Nie myślał teraz o zasadach fair play czy heroicznym wyczynach, przewaga od początku znajdowała się po stronie żołnierzy. Czujny był tak szybki, że potrafił wystrzelić, zanim sparaliżował go spazm, a Khadaji nie miał najmniejszego zamiaru stać się celem ataku.

W końcu Czujny zrobił kilka kroków i odwrócił się. Żołnierz oparty o drzewo nie zmienił nawet położenia ciała, a kobieta jedynie częściowo rozłożyła karabin. Khadaji wyciągnął rękę, ostrożnie balansując łokciami i oddał pojedyncze strzały z obu spetsdödów.

Ten oparty o drzewo przewrócił się natychmiast, Czujny zdołał wykonać półobrót, zanim spazm całkiem go sparaliżował. Pociągnął serią w kierunku przeciwnika, ale kule przeszły za wysoko. Gdyby jednak Khadaji stał, holograficzne pociski z pewnością by go dosięgły. Uśmiechnął się i nim ciało Czujnego padło na ziemię, już zmieniał pozycję, by załatwić ostatniego wroga.

Kobieta zniknęła. Co się z nią stało?

Wyskoczyła zza drzewa. Khadaji machnął ręką, celując. Żołnierka padła. Złagodziła upadek ramieniem, przetoczyła się po ziemi i zerwała tuż naprzeciwko niego, w odległości pięciu metrów. Łatwy strzał. Wypuścił strzałkę w jej splot słoneczny, ale w tej samej chwili dostrzegł w jej ręku coś dziwnego, czym z całej siły rzuciła prosto w niego.

Cholera! Uskoczył w prawo i zerwał się do biegu. To mógł być granat bliskiego...

Nagle rozległ się dzwon, czysty i natrętny dźwięk, który Khadaji nauczył się już nienawidzić. Spojrzał w dół i zobaczył nóż do rzucania tkwiący w jego piersi. Nierdzewna stal wyglądała bardzo realnie nawet pomimo tego, że był to jedynie obraz wygenerowany przez komputer.

Cholera, dorwała go!

– Koniec – rzucił zniesmaczony.

Nóż w jednej chwili znikł, a wraz z nim wszystkie pozostałe rekwizyty i dekoracje będące dziełem zabawki za dwa miliony standardów. Khadaji stał w pustym magazynie. Westchnął i

pokręcił głową. Oto do czego prowadzi zbyt pewność siebie. Nie doceniał tej kobiety, martwił się jedynie Czujnym. Fatalny błąd. Gdyby coś takiego wydarzyło się naprawdę, byłby trupem.

– Zestawienie procentowe wszystkich sesji – powiedział. – I ostatnich dziesięciu.

– Przeżycie: siedemdziesiąt osiem przecinek osiemdziesiąt sześć procent – oznajmił komputer głosem wypranym z emocji. – Sesje od dwieście siódmej do dwieście szesnastej: dziewięćdziesiąt procent.

– Dzięki.

Bez wątplenia stawał się coraz lepszy. Tylko jedna porażka na dziesięć sesji, czyli w sumie nie najgorzej. Wiedział jednak, że to za mało. Gdyby w rzeczywistości wygrał dziesięć walk na dziewięć, to tak naprawdę by przegrał. W pojedynku strzeleckim na ostrą amunicję nie rozdawano srebrnych medali.

Cóż, mógł teraz potrenować układy i poćwiczyć walkę bez broni przed kolejną sesją. Odkleił spetsdödy od skóry obu rąk i zaczął się rozciągać. I przy okazji rozmyślać.

Rewolucja kontra ewolucja. Broń przeciwko podręcznikowi. Siła przeciwko środkom pokojowym. Nie były to proste decyzje, nie wybierał między czarnym a białym, między dobrem a złem. Niewiele rzeczy na tym świecie dało się tak łatwo zakwalifikować, a jego dylemat z pewnością do nich nie należał, przynajmniej w jego odczuciu. Zdecydowany opór z pewnością stanowił dobry przykład dla innych, a przy okazji sposób na osłabienie bezlitosnych rządów Konfedu.

Wiele rozmyślał o sensie tworzenia legendy, która poruszałaby serca. Legendy, która by inspirowała. Musiałby walczyć środkami, którymi sam pogardzał. Och, mógł sobie to wszystko wytłumaczyć, mógł się usprawiedliwić przed samym sobą, twierdząc, że tak naprawdę tylko się bronił, że Konfed automatycznie zrezygnował ze swoich praw, atakując wolne ludy. Wedle obiektywistycznej filozofii Khadajego, każdy miał prawo bronić się przeciwko najeźdźcom. Jeśli najeźdźca nie stosował agresji, ludzie wciąż mogli stawiać mu opór, o ile ich działania nie wywoływały poważniejszych reperkusji. To miało sens.

Khadaji powoli opuścił się do szpagatu. Pomimo długich lat praktyki, wciąż nie potrafił całkowicie się rozciągnąć, brakowało mu jakichś trzech centymetrów do podłogi.

Usprawiedliwienia nie wystarczały. Nie potrafił tak po prostu przyjąć zasady „cel uświęca środki”, nie sądził, by cokolwiek dawało mu moralne prawo do podejmowania decyzji o odbieraniu życia. Żołnierze wygenerowani przez komputer, których eliminował swoimi strzałkami, nie mieli rodzin, przyjaciół, nadziei i marzeń. Co innego prawdziwi żołnierze. Sam dobrze o tym wiedział, nie tak dawno był przecież jednym z nich. Cel, który miałby uświęcić wszystkie te środki, musiałby być naprawdę istotny. Nie wystarczyła zwykła rewolucja, żywioł zbyt chaotyczny i przypadkowy. Rewolucja stwarzała wiele luk, które ludzie chętnie by wykorzystali, żeby tworzyć własne rządy o wiele gorsze od Konfedu. Musiał wymyślić coś lepszego – i tu zaczęły się schody.

Pochylił się w szpagacie, próbując dotknąć klatką piersiową podłogi. Prawie.

Znów pomyślał o szkole, którą kupił na Renault. Tak. Tu zaczynały się schody. Tyle czynników mogło zawieść.

Wstał, by przeciwżyć sześć *kata* sumito. Zabrało mu to prawie godzinę, ale gdy już skończył, czuł się znacznie lepiej. Podniósł spetsdōdy i przymocował je do rąk.

– Jazda! – krzyknął.

Stał na zielono-czarnym piasku, a pustynny wiatr owiewał mu twarz. Odwrócił się w poszukiwaniu przeciwników. Nie zauważył żadnego, ale wiedział, że gdzieś tam na niego czyhają.

Czekał.

* * *

Procent sesji zakończonych powodzeniem wciąż wzrastał. Khadaji wiedział, że będzie rósł jeszcze przez jakiś czas, sukcesywnie, lecz bardzo powoli, choć ostateczny wynik należało interpretować raczej w teoretycznych niż praktycznych kategoriach. Symulator był znakomity, ale kilku rzeczy mu brakowało, w tym na pewno realnego zagrożenia. Walkę z żyjącymi, oddychającymi przeciwnikami dzieliła przepaść od walki z maszyną. Zastanawiał się, gdzie może zdobyć potrzebne doświadczenie. Kiedyś słyszał o Bractwie Musashiego, dość luźno zorganizowanej grupie współczesnych roninów, którzy wędrowali po galaktyce, rzucając sobie wyzwania. Mógłby spróbować w ten sposób. No i istniał jeszcze Labirynt, ryzykowna przygoda i z pewnością dobry test. W tej grze śmierć zdarzała się często, a rany jeszcze częściej. Gdyby udało mu się przeżyć, może byłby gotowy.

Może.

OSIEMNAŚCIE

Khadaji nie spuszczał z oczu trzech przeciwników, którzy próbowali go okrążyć. Dwóch było potężniej zbudowanych od niego, trzeci znacznie drobniejszy. Jedyne, co łączyło większych mężczyzn, to postura; pierwszy obnosił się z poszarpaną szramą na twarzy, ani chybi pozostawioną przez paznokiec, drugi miał pojedyncze, grube pasmo czarnych włosów w miejscu brwi. Trzeci z napastników – Krewetka – nie wydawał się szczególnie niebezpieczny, ale Khadaji nie dawał się zmylić mikremu wzrostowi. Skoro ten facet nadal brał udział w grze, to musiał mieć jakiegoś asa w rękawie.

Szrama przysunął się, szukając sposobu, by zaskoczyć Khadajego. Brew obrzucił przelotnym spojrzeniem plecy Szramy, ale najwyraźniej zdecydował się dotrzymać umowy, przynajmniej dopóki nie wyeliminują pozostałych. Krewetka próbował dostać się za plecy Khadajego, chwilowo bez rezultatu, gdyż jego cel nie przestawał się wolno cofać. Na szczęście ten fragment Labiryntu składał się głównie z pustych ulic i człowiek, który stapał ostrożnie, nie miał się o co przewrócić.

Szrama przyspieszył. Najwyraźniej chciał się znaleźć na tyle blisko Khadajego, by móc go zaatakować i nie wejść przy tym w jego strefę obronną. Był od niego wyższy, przez co powinien mieć przewagę.

Khadajemu przemknęła przez głowę myśl, by rzucić się do biegu. Nie miał pojęcia, ilu uczestników nadal znajduje się w grze, a walka przeciwko trzem facetom jednocześnie nie należała do łatwych. Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać po grupie, tym bardziej, że panowała tu zasada „wszyscy przeciwko wszystkim”. Gdyby Szramie, Brwi i Krewetce udało się wyeliminować pozostałych, zwróciliby się przeciwko sobie. W tej grze istniał tylko jeden zwycięzca.

Brew był coraz bliżej. Khadaji nie skupiał wzroku na żadnym z wrogów, polegał wyłącznie na widzeniu obwodowym. Cofał się nieco szybciej, nie pozwalając, by Brew zbliżył się na odległość umożliwiającą atak. Każdy z tych facetów miał opanowaną do perfekcji jakąś sztukę walki, a tacy nie wykonują pochopnych ruchów, nie atakują, jeśli nie są pewni sukcesu. W grze brało udział stu uczestników, z których każdy uiszczał dziesięć tysięcy standardów wpisowego, a pulę zgarniał zwycięzca – ostatni mężczyzna (bądź

kobieta), który trzymał się na nogach lub chociażby oddychał.

Krewetka przeszedł do natarcia. Jeśli uciekać, to teraz. Zamiast tego Khadaji stanął pewnie, a na jego twarzy rozlał się uśmiech. Nie. Nie potrzebował pieniędzy, chciał się tylko dowiedzieć, czy potrafi wygrywać z żywymi ludźmi, a nie tylko z symulacjami komputerowymi, nawet najbardziej realistycznymi. W tej grze przegrana była czymś poważnym, oznaczała ból, rany, a nierzadko również śmierć. Służba medyczna, czuwająca nad uczestnikami gry, dysponowała najnowszymi osiągnięciami techniki, ale przypadki śmierci w Labiryncie wcale nie należały do rzadkości.

Szrama wykonał pierwszy ruch. Uniósł pięść i natarł bokiem na podobieństwo pędzącego konia, wpatrując się w Khadajego sponad lewego ramienia. Był potężnym, dobrze zbudowanym mężczyzną i Khadaji podejrzewał, że spróbuje ataku siłowego, prawdopodobnie kopnięcia.

Osilek kopnął, celując piętą w krocze ofiary. Cóż, przynajmniej miał dość zdrowego rozsądku, by nie kopać wysoko, jak niektórzy wojownicy z holoprojektacji. Khadaji płynnie usunął się w bok i złapał jego nogę obiema rękami, chcąc wykorzystać siłę kopnięcia. Szrama natychmiast stracił równowagę i ciężko padł bokiem na ziemię.

Wtedy niespodziewanie wkroczył Brew, gdy Khadaji był jeszcze zajęty Szramą. Usztywniona dłoń o palcach złożonych w kształt grota włóczni wystrzeliła prosto w kierunku gardła Emile.

Khadaji wykonał półobrót i zszedł z linii ciosu. Uśmiechnął się szeroko, uświadomiwszy sobie, że właśnie instynktownie powtórzył sekwencję kroków, której uczył go Pen. Przypomniał sobie nawet ich numery – siedemdziesiąt jeden i siedemdziesiąt dwa – a potem złapał Brew za nadgarstek. Kontynuując obrót, wykręcił mu rękę, by zmusić go do upadku. Napastnik niespodziewanie stał się osiemdziesięciopięciokilogramowym pociskiem z pięciopalczystą głowicą, który wylądował prosto na powstającym Szramie. Rozległ się nieprzyjemny trask, gdy czaszka Brwi uderzyła prosto w twarz mężczyzny. Szrama momentalnie padł bez przytomności na asfalt, a Brew zatoczył się ogłuszony. Khadaji obrócił się w kierunku Krewetki, który nagle stanął jak wryty i przyjął postawę obronną. Obrzucił spojrzeniem Szramę i Brew, by przenieść wzrok z powrotem na rozluźnionego Khadajego.

– To co? – spytał. – Rozejm? Razem wykończymy tych dwóch, a potem pozostałych. Ilu ich zostało? Sześciu, ośmiu? A potem...

– Nie – przerwał mu Khadaji. – Ja gram solo.

Krewetka najwyraźniej wciąż się wahał pomiędzy walką a ucieczką. Khadaji słyszał za plecami, jak pojękiwanie Brwi nagle cichnie. Gdzieś w górze zawył skaner telemetryczny, co oznaczało, że niebawem miała się tu zjawić jednostka medyczna. Dwóch z głowy.

Krewetka podjął decyzję. Odwrócił się i uciekł.

* * *

A więc zostało od sześciu do ośmiu uczestników. Khadaji miał wrażenie, że powinno ich być więcej – musiał przegapić kilka sygnałów, co niestety źle o nim świadczyło. Chyba że Krewetka się mylił. Wyglądał jednak na bystrego i Khadaji znów zadał sobie pytanie, jakie umiejętności pozwoliły mu tak długo pozostać w grze. Od rozpoczęcia rozgrywki w Labiryncie – specjalnie skonstruowanym holograficznym otoczeniu – minęły już trzy dni. Skoro zostało około ośmiu uczestników, gra niebawem miała dobiec końca. Kilku z nich bez wątplenia gdzieś się zadekowało w nadziei, że w międzyczasie reszta się powyrzyna, ale prędzej czy później nawet oni musieli wyściubić nosy z kryjówek. Wedle przepisów gra trwała tydzień i jeśli po tym czasie na polu bitwy znajdował się więcej niż jeden uczestnik, rozgrywkę unieważniano. Nie chodziło o to, by przetrwać – należało przeżyć pozostałych.

Khadaji rozejrzał się. Szedł ulicą pomiędzy holograficznymi wyobrażeniami budynków dzielnicy przemysłowej. W takich rejonach nie brakowało kryjówek – drzwi, zaułków, przesmyków, kontenerów na śmieci... Niespodziewanie mniej więcej w połowie przecznicy dostrzegł jakiś ruch. Uklęknął za pokrywą metalowego kontenera i ostrożnie wysunął głowę.

Na ulicy trwał pojedynek. Wysoka kobieta o ciemnej karnacji walczyła z niższym mężczyzną o budowie ciała godnej ciężarowca. Oboje krążyli naprzeciwko siebie, trzymając ręce w gardzie.

Khadaji podszedł bliżej, ostrożnie stąpając w cieniu alejki. Pilnował się, by walka za bardzo go nie zaabsorbowała – gdzieś w pobliżu mogli się kryć inni uczestnicy. Przystanął jakieś dwadzieścia metrów od walczących i przyjrzał im się dobrze.

Już w pierwszej chwili doszedł do wniosku, że wolałby postawić pieniądze na ciężarowca, chyba że kobieta była naprawdę znakomicie wyszkolona. Mężczyzna poruszał się bowiem umiejętnie, a w jego mięśniach z pewnością kryła się ogromna siła. Gdyby tylko udało mu się do niej zbliżyć, wpadłaby w poważne tarapaty.

Oboje wykonali po kilka zwodów, by podpuścić przeciwnika, lecz żadne nie odważyło się zaatakować. Kobieta cofała się nieznacznie. Ciężarowiec mógł być pewien swego, ale najwyraźniej miał też nieco oleju w głowie i pamiętał, że jego przeciwniczka przetrwała w grze aż do tego momentu, podczas gdy wielu innych odpadło. W końcu zapędził ją do rogu, między obskurny mur a rząd ciężkich maszyn. Zebrał się w sobie i zaszarżował z uniesionymi dłońmi, gotów ją pochwycić.

Wtedy kobieta dała popis swoich umiejętności. Wymierzyła przeciwnikowi z dziesięć uderzeń i kopniaków, mocnych i celnych, lecz bynajmniej nie zdołała go zatrzymać. Ciężarowiec natarł, oplótł ją ramionami w niedźwiedzim uścisku i uniósł wysoko nad ziemię.

Kobieta nie przestawała go okładać, ale on tylko przywarł głową do jej piersi i nadal ścisnął. Jej ciosy przypominały ukąszenia osy próbującej powstrzymać goryla. Khadaji usłyszał trzask pękających żeber.

Wtedy kobieta wsunęła koniuszek małego palca w usta i zagryzła go mocno. Khadaji

zmarszczył brwi. Co ona...

Wyszarpnęła palec z ust, wypluła końcówkę na dłoń, a potem tą samą dłonią uderzyła w czaszkę ciężarowca. Rozległ się głośny huk i mężczyzna upadł na kolana, wypuszczając przeciwniczkę z objęć.

Zaraz potem zawyła syrena, a wraz z nią metaliczny głos jednostki medycznej:

– Pogwałcenie zasad! Pogwałcenie zasad! Pogwałcenie zasad!

Kobieta rzuciła się do ucieczki, ale natychmiast została otoczona przez cztery roboty wymachujące obezwładniaczami. Jednostka medyczna nadal wykrzykiwała komunikat. Khadaji uznał za stosowne pospiesznie oddalić się z miejsca zdarzenia. Podobne zamieszania odstraszały niektórych uczestników gry, ale przyciągały innych. Owa kobieta rzeczywiście złamała zasady, jakimś cudem udało jej się przemycić broń przez skanery. Khadaji domyślał się, że był to organiczny ładunek wybuchowy, odpowiednio silny, by usmażyć mózg człowieka bądź mutanta. Ciężarowiec pewnie nie żył, a kobieta zostanie zdyskwalifikowana i ukarana. Ubyło kolejnych dwóch graczy.

* * *

Punkty wydawania żywności były doskonałymi miejscami do organizowania zasadzek i z tego powodu Khadaji unikał ich jak ognia. Czekał na zapadnięcie zmroku, a zanim wszedł do środka, obserwował otoczenie przynajmniej przez godzinę. Potem wbiegał do środka i równie szybko wychodził. Wielu graczy kończyło przygodę z grą w porach posiłku, gdy wpadali w starannie przygotowane pułapki doświadczonych łowców. Podobnie jak wodopoje na sawannie, punkty wydawania żywności w Labiryncie były niebezpiecznymi miejscami, ponieważ korzystała z nich zarówno zwierzyzna, jak i drapieżniki.

Khadaji siedział na dachu budynku, z którego rozciągał się widok na jeden z dziesięciu takich punktów w Labiryncie. Dochodziła północ, a on tkwił tam od prawie dwóch godzin, przyglądając się i nasłuchując. W innych okolicznościach już dawno wszedłby do środka, ale po trzydziestu minutach obserwacji usłyszał jakiś hałas i jak dotąd nie zdołał ustalić jego źródła. Był głodny, chciało mu się pić, ale to jeszcze bardziej wyostrzało jego wyćwiczone zmysły. Cóż, taką przynajmniej miał nadzieję.

Już miał ochotę dać sobie spokój z obserwacją i uznać swoje obawy za efekt przewrażliwienia, gdy zza sterty pustych beczek wyłonił się jakiś mężczyzna i chyłkiem pospieszył w kierunku dystrybutorów. A więc jednak, pomyślał Khadaji. Zabawne, wydawało mu się, że hałas rozległ się gdzieś bliżej, ale w Labiryncie dźwięki nieraz płały figle. Przyjrzał się uważniej nieznajomemu.

Gdy ten znalazł się jakieś dwa metry przed dystrybutorem, Khadaji wypatrzył jeszcze inne źródło ruchu. Nie wiadomo skąd wynurzył się drugi mężczyzna i naskoczył na pierwszego. Nie silił się na delikatność – splótł palce dłoni i kilkakrotnie z całej siły rąbnął

przeciwnika obiema rękami w nasadę czaszki. Nieszczęśnik padł na ziemię, ale napastnik nie zwolnił tempa ataku. Kopał i okładał ofiarę, aż brzęczenie naciągającej jednostki medycznej stało się głośnie i wyraźne.

Khadaji poczuł mdłości. Konkurs, w którym brał udział, nie był tylko i wyłącznie grą. Zaatakowany z pewnością dojdzie do siebie, a poza tym doskonale wiedział, na co się pisze i odnalazł w sobie determinację, by podjąć ryzyko z własnej, nieprzymuszonej woli. Ale mimo to Khadaji miał wrażenie, że przygląda się walce zwierząt.

Niespodziewanie rozległ się głos:

– Zgodnie z zasadami rządzącymi Labiryntem ogłaszamy, że po upływie pięciu dni, dziewięciu godzin, czterdziestu minut i dwunastu sekund w grze pozostało dwóch uczestników.

Khadaji nabrał głęboko tchu. Sumito, jego sztuka samokontroli, dawała mu swobodę wyboru. Dzięki niej nie robił tego, co właśnie uczynił obserwowany przez niego napastnik. Nie atakował, a jedynie wykorzystywał impet ataku, bronił się, wykorzystując siłę przeciwnika przeciwko niemu samemu. Ale teraz, gdy w ciemnościach na powrót zapadła cisza, pokręcił głową.

Czy jestem w czymś lepszy od tego człowieka na dole? Czy przemoc nie pozostanie przemocą bez względu na to, czym ją usprawiedliwię? Inni uczestnicy gry rozwalali się dla pieniędzy, a ja mam wyższy cel: zrzucenie jarzma Konfederacji. Ale za jaką cenę? Ci gracze byli ludźmi, wszyscy mieli rodziny, przyjaciół i życie, które chcieli przeżyć, zgadza się?

Bogowie, czy to, czym się zająłem, jest słuszne? Czy ja naprawdę jestem w stanie to jakoś usprawiedliwić?

Khadaji przyglądał się robotom odcinającym pokonanego. Zwycięzca stanął w kręgu bladobłękitnego światła rzucanego przez dystrybutory z jedzeniem. Rozpoznał go bez trudu – Krewetka.

Czy to, co robię, jest słuszne? Nawet za taką cenę? Kiedyś miałem pewność, miałem wiedzę, ale teraz wszystko się rozmywa. Spędziłem mnóstwo czasu, próbując tę pewność odnaleźć. I co, powinienem tak po prostu dać za wygraną?

Nie. Nie, nie ma mowy. Może i będzie go to coś kosztowało, ale jeśli osiągnie cel, uzna, że było warto. Nie może być inaczej.

* * *

– Na twoim miejscu wylazłbym stamtąd – powiedział Khadaji, stojąc w odległości pięciu metrów od dystrybutorów. – Wiem, gdzie siedzisz. I wiem, że zostało nas tylko dwóch.

Krewetka po chwili wygramolił się na ulicę. Tym razem Khadaji doskonale wiedział, gdzie się go spodziewać. W ciemnościach nocy niczego nieświadomy człowiek prędzej by się potknął o sprytnie obmyśloną kryjówkę, niż ją zauważył.

– Tak właśnie sądziłem – rzucił na powitanie Krewetka. – Byłem niemal pewien, że uda ci się przeżyć. Widziałem te cuda, które wyczyniasz. To jakaś religijna sztuka walki, co? Dziwi mnie tylko, że ktoś tak dobry jak ty interesuje się Labiryntem.

– Szczerze mówiąc, nie interesuję się grą – odparł Khadaji. – Przyciągnęło mnie tu coś innego, pieniędzy nie potrzebuję.

– Tak? To czemu się nie poddasz i nie pozwolisz mi ich zatrzymać? – Krewetka podszedł bliżej.

– Zrobiłbym to. Problem w tym, że chyba na to nie zasłużyłeś.

– Możesz być pewien, że zasłużyłem. Już kiedyś wygrałem tę grę. Dwa razy byłem drugi. Ale mi właściwie też nie chodzi o kasę.

Khadaji pokiwał głową.

– Wiem. Ty po prostu to lubisz. Lubisz zadawać ból. Lubisz walkę.

Krewetka przesunął się odrobinę w prawo, by padało na niego więcej światła.

– Jasne. Nie mogę się temu oprzeć. Po prostu muszę grać. Trzeba w to grać, trzeba wygrywać.

Khadaji pokręcił głową.

– Nie, nie trzeba. Jeśli masz wystarczająco dobry powód, możesz nienawidzić tej gry, a mimo to ją wygrać.

Krewetka uniósł dłonie i powoli złączył je na wysokości klatki piersiowej.

– Żarty sobie stroisz, przyjacielu. Komuś innemu pewnie namieszałyś we łbie tym filozoficznym łajnem, ale w tej grze zostaliśmy tylko my dwaj i każdy z nas dobrze wie, kim jest, no nie?

Palce Krewetki niespodziewanie rozpoczęły osobliwą grę. Migotały w bladym świetle dystrybutora, to splatały się, to znów rozplatały, tworząc skomplikowane, przyciągające uwagę wzory. Była to odmiana klasycznej kuji-kiri, zwana *Neshomezoygn*, w której Krewetka okazał się całkiem sprawny. Khadaji po raz pierwszy widział organomechaniczną hipnozę wiele lat temu, kiedy Pen wykorzystał ją, by go pokonać podczas ich pierwszej walki. Dawno też nauczył się, jak ją stosować – i co zrobić, by nie paść jej ofiarą. Teraz już wiedział, w jaki sposób Krewetka potrafił tak długo przetrwać w Labiryncie. Tym razem jego sztuczka miała się jednak okazać niewystarczająca.

Khadaji ruszył w jego kierunku.

Chwilę później ogłoszono zwycięzcę Labiryntu, gry, która jednocześnie zyskała nowego przegranego. Wpatrując się w nieprzytomnego mężczyznę, Khadaji doszedł do wniosku, że między zwycięzcą a przegranym tak naprawdę nie ma większej różnicy. Coś jednak zyskał, czegoś się nauczył – zrozumiał, że jest gotów rozpocząć kolejną fazę planu.

Z szumem nadjechały roboty, a on stał w miejscu i kiwał głową. Tak. Był gotów.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Khadaji zgromadził grupę kompetentnych ludzi, by prowadzili jego interesy i zajmowali się pieniędzmi. Nie było to trudne, gdyż wielu z nich już dla niego pracowało. Następnie wsiadł na prom kosmiczny i wkrótce znalazł się po drugiej stronie galaktyki, na planecie o wystarczająco dużym znaczeniu, by Konfed umieścił tam kontyngent okupacyjny liczący dziesięć tysięcy żołnierzy.

Czternaście lat po rzezi na Maro, odległej o całe miliardy kilometrów, Emile Khadaji przybył na Greaves.

Staruszek nazywał się Hinton i przypominał Kamusa pod wieloma względami – i nie chodziło tylko o wiek czy fakt posiadania pubu, ale również charakterystyczny chichot. W odróżnieniu od Kamusa, Hinton był jednak człowiekiem zmęczonym. Prowadził lokal rekrechemiczny od trzydziestu miejscowych lat i jeśli sprawiało mu to kiedyś radość, to naprawdę dawno temu. Agenci zawczasu zdobyli wszelkie informacje zarówno na temat staruszka, „Nefrytowego Kwiatu”, jak i trzech innych lokali, zatem nic nie było w stanie zaskoczyć Khadajego.

Z pubów, które dokładnie sprawdzono, „Nefrytowy Kwiat” wydawał się najlepszym wyborem. Jedyny problem stanowiła cena. Nie chodziło o to, że Khadaji nie dysponował wystarczającą sumą – za zaoszczędzone dziewięćdziesiąt milionów standardów mógł kupić niejedno miasto. Musiał zaproponować odpowiednią, niezbyt wysoką cenę, bo nie chciał, by dziadek nabrał jakichś podejrzeń. Na szczęście doskonale znał wartość pubu, co dawało mu w targach przewagę.

Zasiedli w biurze Hintona – staruszek za biurkiem z plastiku, Khadaji w wysłużonym, rozklekotanym flexifotelu, który uwierał go w lewy pośladek.

– Moi partnerzy i ja jesteśmy gotowi zaoferować sto pięćdziesiąt kawałków – zaczął Khadaji. Zaproponowana cena była niższa o jakieś piętnaście procent od rzeczywistej wartości pubu, który został wyceniony przez agentów na sto siedemdziesiąt dwa i pół tysiąca standardów.

– Nie ma mowy! – parsknął Hinton. – Dwie stowy mógłbym przyjąć, ale i tak oszukałbym sam siebie.

Khadaji zachował pokerową twarz.

– Może uda mi się nakłonić partnerów do dorzucenia jakiejś dychy.

– Chcecie puścić starego człowieka na żebry? Kuuurwa...

Khadaji zapłaciłby i dziesięć razy tyle, ale chodziło o to, by Hinton na to nie wpadł. Po kilku minutach targów i udawanej „rozmowie z partnerami” starszy dał się namówić na sto dziewięćdziesiąt tysięcy. Zarówno on, jak i Khadaji dopięli swego – „Nefrytowy Kwiat” zmienił właściciela.

* * *

Przedstawiciel firmy odpowiedzialnej za dystrybucję chemów był zaskoczony, ale bynajmniej nie wpłynęło to na jego chciwość.

– Pełne spektrum? O ilu rodzajach mówimy?

Khadaji pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Planuję rozwinąć tu niezły interes. Uzyskaliśmy już pozwolenia od władz wojskowych i chcę... To znaczy ja i moi partnerzy chcemy działać przez całą dobę.

Handlarz pokiwał głową i Khadaji niemalże widział, jak zlicza w głowie procenty płynące z nowego zamówienia. Wedle zapisków Hinton, „Nefrytowy Kwiat” przez większość czasu co najwyżej wychodził na swoje. Po zamówieniu pełnego spektrum rekrechemów prowizja przedstawiciela miała znacząco wzrosnąć. Mężczyzna uśmiechnął się więc szeroko i machnął przenośnym przetwornikiem w kierunku holoprojektora.

– W takim razie proponuję podstawowe zamówienie na następujących zasadach...

Już na początku dodał jakieś dwadzieścia procent do tego, co tak naprawdę potrzebował. Khadaji z uprzejmym uśmiechem kiwał głową. Pozwolił facetowi dokończyć, a potem obciął zamówienie o dziesięć procent. Pokazał w ten sposób, że nie jest głupkiem, ale jednocześnie pozwolił się orznąć na tyle, by przedstawiciel wyszedł zadowolony.

* * *

– Zaraz, zaraz – wtrącił budowlaniec. – Niech no się upewnię, że wszystko dobrze zrozumiałem. Chcesz pan kupić okrągłe stoły w zestawie z czterema taboretami, a potem przyśrubować je do podłogi?

– Dokładnie – potwierdził Khadaji. Stali w samym środku ośmiokątnej sali „Nefrytowego Kwiatu” pomiędzy masywnymi ławami, z których korzystał Hinton.

– No, w sumie to żaden problem. No a... a co chcesz pan zrobić z tymi tu? Ze starymi meblami?

– Nie wiem. Może je sprzedam?

– No to... No to może ja je kupię?

Khadaji uniósł brew.

Budowlaniec przyglądał mu się przez chwilę, a potem wymienił kwotę, która stanowiła połowę wartości wszystkich ław i stołów. W odpowiedzi Khadaji pokiwał głową i złożył kontrpropozycję. W końcu zgodził się na dość niską cenę, by mężczyzna mógł odsprzedać meble z niezłym zyskiem.

* * *

Nie życząc sobie problemów ze strony byłych pracowników Hintona, Khadaji nie zamierzał nikogo zwalniać. Zdawał sobie zresztą sprawę, że po zwiększeniu zakresu usług przyda mu się każda para rąk do pomocy. Na pierwszym spotkaniu wyłuszczył obsłudze swoje wymagania.

Anjue Yesmar Levart był chudym, ciemnowłosym i silnym przybyszem z planety Spandle. Podczas rozmowy dużo gestykulował, tkając obrazy wokół swoich słów. Khadaji dostrzegał w nim wszystkie umiejętności, których wymagał od bramkarza. Mężczyzna wydawał się szybki, miał dobrą pamięć i dziesięć lat praktyki. Khadaji przeprowadził mały eksperyment – obok każdego z kandydatów przepuścił biegiem sześciu pomagierów budowlanca i tylko Anjue bezbłędnie wymienił ich imiona już po pierwszym spotkaniu. W dodatku pamiętał również, w co byli ubrani. Poza tym zachowywał się uprzejmie, ale nie okazywał po sobie unizoności czy służalczości. Khadaji zatrudnił go i dał mu wolną rękę w kwestii wyboru pomocnika.

Znalezienie głównego barmana okazało się stosunkowo łatwe. Mogąc się pochwalić sporym doświadczeniem w tej materii, dobrze wiedział, o co wypytywać. Z pierwszych sześciu kandydatów przysłanych przez agencję tylko jeden podał wszystkie składniki Pocałunku Shin. Samar „Butch” Beavens znał zresztą nie tylko Pocałunek – wyglądało na to, że potrafi przyrządzić o wiele więcej drinków niż Khadaji. Został więc przyjęty i również otrzymał pozwolenie na zatrudnienie pomocników wedle własnego uznania. Oprócz tego Khadaji zlecił mu zadanie doboru prostytutek.

* * *

Facet był potężnie zbudowany i nieszczęśliwie bystry. Gapił się tępo na Khadajego. Stali pośrodku głównej sali, pomiędzy dopiero co zamontowanymi stołami i taboretami. Khadaji powtórzył polecenie.

– Chcę, żebyś podniósł taboret. Uważaj, są przykręcone do podłogi.

Mężczyzna strawił jego słowa, wzruszył ramionami i podszedł do najbliższego taboretu. Pochylił się nad nim, złapał za brzegi, wygiął się, napiął mięśnie...

– Dobra – przerwał mu Khadaji. – Dzięki.

– He?

– Dam znać agencji, w razie czego oni się z tobą skontaktują.

Minęła dość długa chwila, nim znaczenie słów dotarło do osiłka, aż wreszcie kiwnął głową i ruszył do wyjścia. Khadaji stuknął w klawisz, kasując kolejnego kandydata z listy. Ktoś, kto pochyla się podczas podnoszenia ciężarów, nie ma bladego pojęcia, jak najlepiej wykorzystać siłę mięśni. Poza tym ten facet nie poruszał się jak człowiek w pełni świadomy swoich ruchów. Khadaji kazał Anjue wprowadzić kolejnego kandydata.

Mężczyzna przemierzył parkiet pewnym krokiem, zupełnie jakby był właścicielem pubu. Poruszał się płynnie i swobodnie, co już przemówiło na jego korzyść. Khadaji zerknął na plik – nazywał się Sleel. Jeśli wierzyć CV, od kilku lat trenował tahrae, odmianę jujitsu.

– Sleel. To nazwisko?

– Tak chcę, żeby się do mnie zwracano.

Khadaji kiwnął głową. Ubrany w dwuczęściowy kombinezon Sleel nie wyglądał na człowieka szczególnie muskularnego, choć ramiona miał dość szerokie.

– Te taborety zostały przyśrubowane do podłogi. Chciałbym się przekonać, jak mocne są śruby. Spróbuj wyrwać któryś z nich.

– W porządku.

Gdy tylko Sleel ściągnął kurtkę, Khadaji natychmiast zmienił zdanie na jego temat. O tak, był umięśniony. Nie ugiął się co prawda pod ciężarem własnych mięśni, ale miał doskonale wyrzeźbioną sylwetkę bez grama tłuszczu.

Sleel dotknął któregoś z taboretów, pokręcił nim, a potem pochylił się i przyjrzał jego podstawie. Następnie obszedł go, rozstawił szerzej nogi, kucnął i z wyprostowanymi plecami chwycił za poprzeczkę. Nabrał głęboko tchu i spróbował się wyprostować. Minęło dziesięć sekund. Na mięśniach nabrzmiały poskręcane żyły przypominające miniaturowe, rozdęte węże. Mięśnie karku, pleców i ramion napięły się, cały tors aż poczerwieniał. Po chwili Sleel poluzował chwyt, złapał poprzeczkę w nieco inny sposób i szarpnął ponownie. Próbował jeszcze trzykrotnie długo po tym, jak większość mężczyzn dałaby sobie spokój. Khadaji próbował go nawet zatrzymać, ale wtedy Sleel włożył świeże siły do boju przeciwko taboretowi i w końcu śruby puściły. Wyszarpnął mebel z podłogi przy akompaniamencie zgrzytu rozdieranego metalu. Przez krótką chwilę stał nieruchomo, trzymając wyrwany mebel, a potem delikatnie położył go na najbliższym stole.

Odwrócił się do Khadajego.

– Coś jeszcze?

Khadaji wyczuł arogancję i bezgraniczną wiarę we własne siły. Wyszczerył zęby.

– Otwieramy za tydzień. Możesz wtedy zacząć? Butch obgada z tobą godziny pracy i wynagrodzenie.

Sleel odpowiedział uśmiechem.

– Się robi!

* * *

Kolejnych czternastu kandydatów, dwunastu mężczyzn i dwie kobiety, nie zdołało nawet poruszyć taboretów. Potem pojawił się Saval Bork. W ocenie Khadajego miał przynajmniej dwa metry wzrostu i ważył sto dwadzieścia, sto dwadzieścia pięć kilo. Przypominał mu niedźwiedzia, którego swego czasu widział w zoo, chociaż w ruchach Borka nie dało się zauważyć nic ciężkiego czy niezgrabnego. Kroczył z taką pewnością siebie, że wydawał się niemalże niepowstrzymany.

– Chcę, żebyś podniósł jeden z tych taboretów. O, tamten – Khadaji wskazał mebel ręką.

– Tak jest, sir.

Bork prawą ręką złapał taboret za nogę.

Khadaji już chciał go uprzedzić, że wszystkie taborety przyśrubowano do podłogi, ale olbrzym sam szybko to zrozumiał. Zawahał się, lecz nie dłużej niż sekundę. Potem wyprostował plecy. Khadaji dostrzegł, jak mięśnie górnych partii ciała Borka napinają się pod kombinezonem. Mężczyzna sapnął i nagle oderwał mebel od podłogi. Jedną ręką dokonał tego, czego tuzin innych nie zdołało dokonać dwiema.

– Gdzie mam postawić? – zapytał.

– Gdziekolwiek. Możesz zacząć za tydzień?

* * *

Na stanowisko ochroniarza zgłosiło się dwudziestu dziewięciu ludzi, ale z tej liczby Khadaji zdecydował się zatrudnić jedynie dwóch. Potrzebował tymczasem trzech.

Dirisha Zuri była wysoką, ciemnoskórą kobietą o zielonych oczach. Khadaji patrzył, jak zbliża się ku niemu i nagle doszedł do wniosku, że zrobiła na nim o wiele lepsze wrażenie niż ktokolwiek przed nią. Miała na sobie błękitne body z żabotem i poruszała się z niewysłowioną zwinnością. Wedle jej akt trenowała przynajmniej cztery różne sztuki walki i ze wszystkich osób, z którymi Khadaji dotychczas rozmawiał, to właśnie ona wydała się osiągnąć największe mistrzostwo w tej dziedzinie. Wiedział, że da jej tę pracę, zanim przed nim stanęła, ale mimo to chciał zobaczyć, jak sobie poradzi z testem.

Dirisha lekko musnęła taboret palcami i pchnęła nogą jego nasadę. Pochyliła się, by zerknąć pod stół, przy którym przymocowano mebel. Zacisnęła dłonie na krawędzi blatu, kilkakrotnie odetchnęła głęboko, skupiła się, wydała z siebie cichy, gardłowy okrzyk i jednym pociągnięciem odłamała blat stołu z nasady. Odwróciła się do Khadajego z uśmiechem i walnęła blatem w taboret. Musiała uderzyć pięciokrotnie, nim udało jej się wyrwać śruby z podłogi. Następnie odłożyła blat na miejsce.

– Kazałeś mi ruszyć z miejsca taboret – powiedziała. – No to go ruszyłam.

– I masz tę robotę! – zaśmiał się Khadaji.

* * *

Budowlaniec wydawał się zaskoczony i nieco wyprowadzony z równowagi.

– Co tu się stało?

– Zrobiłem mały test moim przyszłym ochroniarzom – odparł Khadaji. – Chciałbym, żeby użył pan dłuższych i mocniejszych śrub, gdy będzie pan naprawiał meble. Proszę je również wymienić w pozostałych. Nie chcę, żeby klienci napażali się taboretami, kiedy im skoczy ciśnienie.

Gdyby do tego doszło, wojsko natychmiast zakazałoby sprzedaży używek, a Khadaji potrzebował tego interesu – w końcu stanowił on kluczowy element jego planu. „Nefrytowy Kwiat” miał się stać popularnym, cichym miejscem, idealnym dla żołnierzy, którzy chcieli się zrelaksować i zapomnieć o walce. Wszelkie bójki zakazane. Sleel, Bork i Dirisha mieli się zatroszczyć o praktyczną stronę regulaminu.

– To potrwa parę dni.

– To proszę się przyłożyć. Chcę otworzyć równo za tydzień. Jak idzie wykańczanie dragerii?

– Już prawie koniec. Jutro technicy zakładają okno ze skondensowanego kryształu, a ślusarz jeszcze dziś po południu zainstaluje kosiarzy. Za parę dni wszystko będzie na cacy.

– To dobrze.

Khadaji skierował kroki do swojego biura. Na razie wszystko szło jak z płatka, przynajmniej fizycznie – istniał przecież ten drugi, umysłowy aspekt planu. Chociaż przygotowania ruszyły pełną parą, wciąż nie był pewien, czy w ogóle powinien je rozpoczynać. Wciąż towarzyszyło mu poczucie misji, które nie gasło ani nie słabło. Wciąż prześladowało go wspomnienie masakry na Maro. Wciąż pamiętał Uświadomienie, moment, w którym doznał oświecenia. Czas zatarł wiele szczegółów, ale wciąż wyraźnie pamiętał towarzyszące mu przekonanie o prawości i słuszości działania.

Te odczucia go nie opuściły, ale dostrzegał znaczną różnicę między myślą a czynem. Niełatwo przekroczyć przepaść dzielącą teorię i praktykę. Zabijanie czujących istot to zło, a masowe rzezie na taką skalę urządził Konfed, by podtrzymać władzę, są złem jeszcze większym. Konfed był zły do szpiku kości i obumierał, lecz jego zgon należało przyspieszyć, by uniknąć kolejnych bezsensownych ofiar. To, co Khadaji planował dokonać tu, na Greaves – pod warunkiem, że mu się powiedzie – miało przyspieszyć upadek tyrana.

Jeden człowiek musiał dokonać wielkich rzeczy, by uratować nadzieje milionów ludzi. Konfedowi można było stawić czoło. To jednakże był tylko jeden aspekt, a istniały kolejne, o wiele ważniejsze. Rewolucję i ewolucję różniła prędkość działania, ale mimo to pozostawały one siostrami. Galaktyka niebawem ujrzy, że coś zaczyna się dziać, zaś w międzyczasie

wydarzy się coś jeszcze, coś niewidzialnego... O ile mu się uda. Problem w tym, że musiał krzywdzić ludzi. Nie zabijać – nie będzie zabijał, o ile nie zostanie do tego zmuszony – ale z pewnością zadawać ból, okradać z wielu miesięcy życia. Myślenie o tym przychodziło mu z trudem. Z wielkim trudem.

DWADZIEŚCIA

Pozostawała jeszcze kwestia broni. Oczywiście, wybór padł na spetsdödy. Khadaji mógł bez większych problemów kupić wystarczającą ilość sprzętu, by zorganizować własną armię, ale istniały pewne ograniczenia. Po pierwsze, chodziło o spetsdödy z wyposażenia wojsk Konfedu. Po drugie, musiały być kradzione, a nie kupione od handlarza poszukującego większej ilości gotówki. Wojsko nie korzystało ze spetsdödów zbyt często – znajdowały się one przede wszystkim na wyposażeniu służb więziennych oraz służb bezpieczeństwa działających tam, gdzie korzystanie z ostrej amunicji było niebezpieczne, jak chociażby w laboratoriach *in vitro*. Wyszukanie przecieku na temat transportu nieśmiertelnej broni okazało się dziecinnie proste dla człowieka posiadającego potężny komputer. Gorzej z kradzieżą.

* * *

Magazyn był standardową konstrukcją Konfedu, wykonaną z utwardzanej pianki i zaopatrzoną w plastikowe drzwi. Strażników rozstawiono między głównym wejściem a podjazdem załadunkowym, a dodatkowe patrole doglądały wyjść awaryjnych. W sumie ośmiu żołnierzy. Zazwyczaj gromadzili się w świetle lamp stojących przy każdym rogu budynku – przykład ogromnego niedbalstwa, ale z drugiej strony, od wielu miesięcy na Greaves panował spokój. Poza tym w magazynie nie trzymano niczego naprawdę wartościowego czy niebezpiecznego. Zazwyczaj składowano tam mundury, papier i inne materiały użytkowe. A także, jak wynikało z informacji Khadajego, kilka skrzynek drobnej broni, w skład której wchodziły spetsdödy.

Wejście do środka wiązało się z kilkoma trudnościami. Khadaji nie chciał żadnych problemów aż do chwili, gdy będzie miał to, na czym mu zależało. Musiał więc zmylić zarówno strażników, jak i system alarmowy. Wejście przez drzwi bądź przebicie się przez ścianę odpadało. Pozostawał dach.

Zdecydował się przeprowadzić akcję pewnej deszczowej nocy, gdy gęsta warstwa chmur przesłoniła jakiegokolwiek naturalne światło. Deszcz był zimny i padał miarowo, przez co

strażnicy kulili się pod ścianami magazynu, szukając schronienia przed niepogodą. Patrole nadal obchodziły budynek, ale szybko i z wyraźną niechęcią.

Khadaji przywarł do ziemi w ciemnościach i przyglądał się dwóm żołnierzom, którzy pospiesznie przeszli obok. Ich głosy niemalże ginęły w szumie strug wody ściekających z dachów rynnami prosto na rozmokły grunt.

– ...pierdolone, gównno warte rupiecie...

– ...cieknie mi skafander, mokro mi w nogę...

Poderwał się, gdy tylko go minęli. Przypadł do ściany budynku, wyciągnął z plecaka drabinkę z synlonu i ostrożnie ją rozwinął. Usunął zabezpieczenie z dwóch bryłek przylepca znajdujących się na jej końcu i delikatnie ścisnął każdą z nich, by aktywować substancje chemiczne. Następnie ostrożnie opuścił drabinkę przylepcami w dół. Wystarczyło kilka sekund, by bryłki na stałe przywarły do każdej substancji bardziej stabilnej i materialnej od wody. Można je było oderwać dopiero po użyciu specjalnego rozpuszczalnika, a i wtedy wymagało to sporo wysiłku. Zachowując czujność, Khadaji rozkołysał linę z synlonu niczym wahadło i zarzucił obciążony koniec na krawędź dachu. Obie bryłki przylepca weszły w reakcję z materiałem i w jednej chwili stały się jego częścią.

Khadaji wspiał się pospiesznie na górę i wciągnął drabinkę za sobą, a potem położył się płasko. Dach miał niewielki kąt nachylenia, by woda mogła swobodnie po nim spływać, ale był śliski.

Upadek z wysokości pięciu metrów na nic mi się nie przyda, pomyślał Khadaji.

Wyszarpnął niewielki nóż wstrząsowy z pochwy przy pasie i wyciął w piance dziurę wielkości dłoni. Nasunął na oczy gogle noktowizyjne, które dotychczas nosił na czole. Wnętrze magazynu zajaśniało upiorną zielenią. W odległości kilku metrów dostrzegł kilka pudeł z rupieciami. Dobrze. Zapieczętował otwór i zaczął się przesuwac. W pewnym momencie ześliznął się nieco w dół, ale zdołał wyhamować. Gdy już mniej więcej dotarł nad pudła, wyciął kolejny otwór wielkości dłoni. Tak, idealnie, znalazł się dokładnie tam, gdzie chciał. Wyciągnął z plecaka elektroniczny zakłócaacz, do którego doczepił cienką linę. Opuścił urządzenie na dół, aż znikło między pudłami. Wtedy przeciął linę, zapieczętował drugi otwór i wyciągnął z plecaka urządzenie sterujące.

– Przepraszam, że zakłócam wam sen, chłopaki – mruknął i wdusił odpowiedni przycisk.

Natychmiast zawyły alarmy antywłamaniowe.

Budynek aż drżał, gdy strażnicy gwałtownie otwierali drzwi i wbiegali do środka. Khadaji wiedział, że pomieszczenie za chwilę utonie w świetle, a dowódca warty otrzyma meldunek: coś uruchomiło alarmy w magazynie siódmym, coś większego niż szczur!

Przeszukiwanie magazynu trwało około trzydziestu minut. Żołnierze rozglądali się za intruzem, a nie elektronicznym gadżetem ukrytym wśród rupieci, więc nie znaleźli ani jednego, ani drugiego. Łata, którą Khadaji nałożył na wykrojony otwór, była dość cienka, dzięki czemu słyszał wszystkie rozmowy:

- ...pewnie tylko spieprzony obwód, co, Hal?...
- ...nie ma takiej opcji, drzwi były zapieczętowane...
- ...przynajmniej nie musimy po tym pieprzonym deszczu chodzić...
- ...pusto jak na moim tagu kredytowym...

Wyłączył nadajnik – używał do tego celu wskaźnika maserowego, przez co człowiek przeszukujący pomieszczenie wykryłby go tylko wówczas, gdyby stał bezpośrednio nad nim – i alarm ucichł.

Począł jakiś piętnaście minut, a potem znów włączył zakłócacz. Alarmy zawyły, powtórzono przeszukiwanie magazynu. Khadaji wyłączył zarówno nadajnik, jak i zakłócacz.

Uruchomił je ponownie po jakichś dziesięciu minutach. Tym razem żołnierz dowodzący zmianą warty zawrzeszczał do kogoś:

– Wyłączcie to! Nie ma żywej duszy, przeszukaliśmy tę pierdoloną budę trzy razy, kurwa jej mać! Może to ten jebany deszcz przepalił jakiś pierdolony obwód nie wiadomo, kurwa, gdzie! W dupie to mam. Ściągnij mi tu technika. Co? To nie moja wina, że są porzrucani po całej planecie. Ile? Godzinę? Dobra. Nikt się nie ruszy z tego jebanego pudła. Będziemy sterceć na zewnątrz jak na dobrych żołnierzy przystało i strzec tej sterty zasranego ścierva w środku. Tak, kurwa, jasne. Koniec, rozłączam się.

– Co za pierdolony dupek! – dorzucił po chwili.

Gdy Khadaji uruchomił zakłócacz po raz czwarty, nie usłyszał już syren. Uśmiechnął się. No, w samą porę. Zaczynało mu być zimno, nawet pomimo ortoskafandra. Wyciągnął nóż wstrząsowy zza pasa.

Odszukanie spetsdödów zabrało mu jakieś dziesięć minut, a przez kolejne trzy zapakował do plecaka dwadzieścia wraz z dziesięcioma tysiącami pocisków. Dwa inne przytwierdził do nadgarstków, a do magazynków wsunął strzałki ze spazmami. Ustawił kilka skrzyń jedna na drugiej, by łatwiej wrócić na dach i wysliznął się na zewnątrz przez wyciętą uprzednio dziurę. Wyglądało na to, że ulewny deszcz narobi w środku niezłego bałaganu, co można było uznać za pierwszy cios Sił Wyzwoleńczych Shamba.

Zostawił drabinkę synlonową na dachu i zniknął wśród strug deszczu. Być może powinien zdjąć kilku żołnierzy, ale doszedł do wniosku, że po odkryciu kradzieży i tak czeka ich sporo problemów. Poza tym wciąż miał wątpliwości, wciąż nie mógł podjąć ostatecznej decyzji o rozpoczęciu akcji. Zdobył spetsdödy i amunicję – wystarczający sukces jak na jedną noc.

* * *

Upłynął niemalże tydzień, zanim wyeliminował pierwszych żołnierzy, czteroosobową drużynę, którą kilka godzin wcześniej widział w barze. Mieli niezłe w czubie, przez co atak nie należał do wielkich wyzwania. Zaatakował ich od tyłu – zagrywka nie fair, ale kto

obiecował, że będzie inaczej? W końcu rozpoczęła się wojna.

Tak mijały całe miesiące na Greaves – Shambiarze siali żniwo zniszczenia wśród najlepszych ludzi Konfederacji. Wedle meldunków Konfedu, które przechwytywał Khadaji, powstańcy rośli w siłę. W oficjalnych kręgach niewielki początkowo problem powstania zaczął przyciągać coraz więcej uwagi.

Z czasem Khadaji przyzwyczał się do swojej roli, przynajmniej częściowo. Gdy tylko zaczynał o tym myśleć, natychmiast odzywały się wyrzuty sumienia, więc wołał darować sobie rozmyślenia. Eliminowanie żołnierzy Konfedu stało się jego pracą. Czasami tylko miewał koszmary, i to nie zawsze wywołane przez narkotyki. Musiał doprowadzić tę misję do końca, chociaż nie czerpał z tego przyjemności.

W końcu, jak wszystko inne we wszechświecie, plan Khadajego dotarł do punktu kulminacyjnego.

W końcu dowiedzieli się, kim jest.

W końcu po niego przyszli.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Khadaji siedział na podłodze w dragerii. Czekał, aż Konfed przyjdzie się zemścić. Nie wątpił, że będą chcieli dostać go żywcem, ale nie miał zamiaru na to pozwolić. Zmarnowałyby całe miesiące ciężkiej pracy, cały jego wysiłek poszedłby na marne. O, z pewnością dokonał czegoś wielkiego, ale gdyby go teraz aresztowali, dzieło nie zostałoby dokończony. Nie miał złudzeń – gdy znajdzie się w mocy Konfederacji, jego oprawcy postarają się, by zrobił czy powiedział wszystko, co mu każą. Obraliby mu umysł jak cebulę.

Dobra, dość milczącej medytacji. Przez tych kilka chwil przeszłość przemknęła mu przed oczyma, znów ujrzał wszystkie dobre i złe chwile, znów zobaczył ludzi, których kiedyś znał lub kochał. Doszedł do wniosku, że bardziej gotowy już nie będzie.

Miał jeszcze kilka rzeczy do zrobienia przed przybyciem żołnierzy. Spojrzał na stojącą w rogu paczkę pokrytą grubą warstwą kurzu. Uśmiechnął się. Stała tam od samego początku, bite sześć miesięcy. Zrobił kilka kroków i podniósł ją z ziemi. Plastikowa skrzynka zabezpieczona dodatkowymi paskami była cięższa, niż się spodziewał, choć może to przez zmęczenie...

– ...szukać właściciela, Khadajego! – Nadajnik za oknem wychwycił głos żołnierza.

Khadaji znów się uśmiechał. A więc to już. Wreszcie. Przyszli. Staną przed okienkiem i dotkną kontrolki, by depolaryzować kryształ. Szyba znów stała się przejrzysta. Do sali wpadł tuzin wymachujących karabinami żołnierzy, wszyscy w pancerzach klasy trzeciej. Jeden dźwigał nawet ręczny granatnik. Uśmiechając się szerzej, poczuł, jak ogarnia go spokój. Najtrudniej było czekać, a nie działać. Pomachał do żołnierzy.

– Tu jestem! – zawołał, a potem dotknął kontrolki i okno na powrót ściemniało.

* * *

– Otwieraj! – zażądał lojtnant, trącając Butcha.

– Nie mogę! To się da otworzyć tylko od środka.

– Co się dzieje, lojt? – zapytał Sleel.

– Chcę tego człowieka.

– Czemu?

– A kim ty, do cholery, jesteś? – warknął nagle lojtnant, odwracając się do Sleela.

– Jestem gościem, który zaraz przeważkuje ci mordę, jeśli mi nie wyjaśnisz, co tu wyprawiasz.

Lojt zaśmiał się. Mierzył z pistoletu raketowego w brzuch Sleela i miał na sobie pancerz trzeciej klasy, który chronił przed każdą bronią w tym pokoju może z wyjątkiem granatnika. Tak czy owak, śmiać się nie powinien.

Sleel podszedł jeszcze bliżej, niespodziewanie zahaczył piętą o kostkę oficera, a potem mocno pchnął go w pierś. Ten padł prosto na plecy. Wyglądał jak gigantyczny żuk, gdy machał bezradnie rękami i nogami, desperacko usiłując się podnieść. Istniała oczywiście ćwiczona przez żołnierzy metoda powstania z tej pozycji, lecz najwyraźniej o niej zapomniał.

Sleel uśmiechnął się, ale mina mu zrzędała, gdy oberwał kolbą karabinu w potylicę. Padł na ziemię. Butch przypadł do niego i własnym ciałem osłonił jego głowę.

Trzech żołnierzy pomogło lojtnantowi dźwignąć się na nogi. Przesłonięta kuloodporną płytką twarz była sina ze wściekłości.

– Otwierać!

Dwóch ludzi podeszło ciężkim krokiem do drzwi. Pierwszy zaczął w nie kopać, a drugi walić kolbą w klamkę.

– Na waszym miejscu dałbym sobie spokój – powiedział kłęczący Butch. – W tych drzwiach zamontowano kosiarzy.

Niespodziewanie odezwał się przeszywający sygnał alarmu. Z głośników ryknął metaliczny syntezytor głosu:

– OSTRZEŻENIE! URUCHOMIONO SEKWENCJĘ ZAMKÓW! COFNAĆ SIĘ OD DRZWI. OSTRZEŻENIE! URUCHOMIONO...

Obaj żołnierze spojrzeli na lojta, który machnął pistoletem w stronę drzwi.

– No, dalej!

Alarm wybrzmiał po raz ostatni, a wtedy zadziałały zamki. Z framugi błyskawicznie wysunęły się cztery stalowe rygle o grubości ludzkiego palca, dwa po przekątnej przy prawym górnym rogu drzwi, a dwa przy lewym dolnym. Nim żołnierze zdążyli drgnąć, każda sztaba wypluła z siebie stalowy pręt. Dwa wystrzelone z górnej części trafiły żołnierzy na wysokości klatki piersiowej, dwa niższe tuż pod kolanami. Człowiek pozbawiony pancerza zostałby pocięty na kawałki – żołnierz w klasie trzeciej odleciał do tyłu jak zabawka. Rygle przeładowały się automatycznie.

– Cholera!

– A nie mówiłem? – parsknął Butch.

– Cofnąć się! – ryknął lojt. Uniósł pistolet i pociągnął za spust. Wystrzelona rakietka przekroczyła barierę dźwięku tuż przed uderzeniem w drzwi. W pomieszczeniu rozległ się podwójny huk i rozbłysła eksplozja, ale drzwi wytrzymały.

– Cywile, wynocha!

Kiedy w pubie zostali tylko żołnierze, lojt rzucił kolejny rozkaz:

– Rozwalić okno!

Wysoka żołnierka potraktowała okno serią z parkera. Skondensowany kryształ zadrżał, wstrząsany pociskami wybuchowymi, ale nie ustąpił. Ba, nie pojawiła się na nim nawet siateczka pęknięć. Jediną pamiątkę po serii stanowił ciąg czarnych śladów.

– Jasna cholera! – Lojt aż trząsał się ze złości. – Hej, ty tam, słuchaj mnie! Wyłaż w tej chwili, albo implodujemy ten przeklęty pokój, kapujesz?!

Bez odpowiedzi.

– Wszyscy na zewnątrz! Wszyscy z wyjątkiem L-45!

– Sir, czy nie powinniśmy przechwycić... – zaczął jeden z sub-lojtów, ale dowódca nie dał mu dojść do słowa.

– Powiedziałem: na zewnątrz!

Żołnierze pospiesznie ruszyli do wyjścia. Nie minęła minuta, gdy jedynymi osobami w pomieszczeniu zostali oficer oraz żołnierz z L-45, obaj stojący w progu.

– Rozpieprz to – rozkazał lojt. Wyszczrzył zęby w uśmiechu niczym człowiek, który właśnie postradał rozum.

– Ale chyba nie stąd! Wciągnie nas po wybuchu!

– Rozwał to!

Żołnierz zerknął na dowódcę i błyskawicznie doszedł do wniosku, że z dwóch złych możliwości niesubordynacja skończy się dla niego znacznie gorzej. Uniósł granatnik, wycelował w okienko, a potem nabrał głęboko tchu i nacisnął spust.

Gdy granat uderzył w kryształ, rozległ się stłumiony łoskot implozji. W całej sali nieprzymocowane przedmioty poderwały się, zassane gwałtownym podmuchem. Żołnierz trzymający granatnik zdążył uciec za drzwi, ale lojt stał twardo niczym skała, opierając się podmuchiowi. Rozbłysło jaskrawe czerwone światło, które zmieniło się w błękitne, a zaraz potem fala dźwiękowa zmieliła w drobny mak szyby w promieniu kilometra. I nagle zapanowała cisza.

W rumowisku niegdyś zwanym „Nefrytowym Kwiatem” drageria oraz wszystko, co się w niej znajdowało, zbiło się w kulę o średnicy trzech metrów. Większość przestrzeni wokół cząsteczek pozornie tworzących mocne materiały uległa sprasowaniu. Gęsta, zwarta kula zmiażdżyła swoim ciężarem podłogę pubu i niczym ołów wśród puchu, wbiła się głęboko w ziemię.

Lojt z twarzą ukrytą za osłoną hełmu nadal uśmiechał się z zawziętością. Nie wiedział tego jeszcze, ale wojna o Greaves właśnie dobiegła końca.

Na razie.

DWADZIEŚCIA DWA

W sumie dobrze, że Creg oberwał spazmem, pomyślał over-befalhavare Venture. W przeciwnym razie modliłby się teraz, żeby nim dostać.

Musiałby bowiem wysłuchiwać wszystkiego, czego słuchała starsza sub-befalhavare, wychudła kobieta imieniem Pease.

– ...nieudolne dowodzenie, jakie w życiu widziałem! – dokończył over-befalhavare i urwał, by zaczerpnąć tchu. Pease wykorzystała chwilę, by się wtrącić:

– Sir, ten Khadaji, dowódca ruchu oporu, był niezwykle pomysłowy i przedsiębiorczy. Należał kiedyś do formacji uderzeniowych...

– Jakieś piętnaście lat temu! – grzmiał OB. – I gdzie się podziewał od dnia, kiedy zdezerterował na... – zerknął na holoprojekcję – ...na Maro aż do przybycia na to cholerne zadupie?!

Pease nabrała tchu, lecz pytanie miało charakter retoryczny.

– Creg nigdy by go nie złapał, gdyby facet, ot tak, nie wszedł do jego biura i się nie przedstawił! – ciągnął OB.

– Ataki na nasze oddziały ustały – broniła się Pease. – Śmierć ich przywódcy...

– Sub-befalhavare Pease, wiem, że słyszała pani nagranie, które zostawił ten Khadaji, ale chyba pani nie sądzi, że ataki ustały, bo ten człowiek mówił prawdę? Bo sam jeden był całym ruchem oporu?!

Kobieta przyjęła paradną wersję pozycji „spocznij”, pomimo nazwy równie sztywną co pozycja „na bacność”. Była błada, ale z jej głosu przebijała determinacja:

– To niemożliwe, sir. Logistyczna strona ataków oraz liczba ofiar całkowicie to uniemożliwiają. On kłamał.

OB pokiwał głową jakby sam do siebie. Tak. Widział statystyki, wiedział, ilu ludzi zostało wyeliminowanych. Bardzo nieprawdopodobne, by jeden człowiek potrafił wyrządzić takie szkody. Plotki o walkach na Greaves już przedostały się na inne planety i nawet opowieści o tym, że za atakami stoją setki lub tysiące partyzantów, szkodziły reputacji Konfedu. Gdyby ludzie zaczęli choćby przypuszczać, że to jeden człowiek dawał im tak popalić... Cóż, nie była to przyjemna myśl, ani trochę.

Venture znów zerknął na holoprojekcję.

– A zatem przez ostatnie dwa tygodnie, od chwili, gdy implodowano Khadajego, nie nastąpił ani jeden atak na nasze oddziały?

– Ani jeden, sir. – Pease pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Czy mamy pewność, że ten właściciel pubu nie żyje?

Pease skinęła na komputer.

– W raporcie znajdzie pan analizę chemiczną, sir. Po użyciu broni implodującej jedynym sposobem sprawdzenia, czy w skondensowanym materiale znajdują się ludzkie szczątki, jest dokładna analiza materiału, która w tym przypadku wykazała obecność fragmentów ludzkiego ciała. Uchybienia w parametrach mieszczą się w dopuszczalnej granicy błędu dla skompresowanej masy.

Over-befalhavare Venture kiwnął głową. Tak czy owak, były to raczej dobre wieści.

Wtedy ożył interkom.

– Słucham.

– Sir, mamy raport na temat przywódcy rebeliantów.

– Dawaj mi go na komputer.

Lojt, który zgłosił się z meldunkiem, milczał przez chwilę:

– Ale... nie wydaje mi się, żeby to było... eee... żeby to był najlepszy pomysł, sir. W wywiadzie sądzą, że raport należałoby sklasyfikować jako A1A... eee... za pańskim przyzwoleniem, rzecz jasna.

Venture westchnął. A1A. Ścisłe tajne. Do wglądu jedynie dla kadry o najwyższym stopniu dostępu. Jasna cholera. Czego jeszcze od niego chcą?

– Dobra. Przynies to tutaj.

Drzwi rozsunęły się i do biura wmaszerował lojt sztywny, jakby połknął kij. Niósł niewielki czytnik, który wręczył oficerowi, a potem cofnął się o krok i wyprężył na baczność. Venture zerknął na ekran czytnika.

– Dobrze, lojtnancie, cóż takiego za chwilę zobaczę?

– Sir, to lista przedmiotów znalezionych w prywatnej kwaterze rebelianta Khadajego.

Over-befalhavare spojrzał kwaśno na młodego oficera.

– Słuchaj, synu, mam tysiące spraw na głowie. Może po prostu powiesz mi prosto z mostu, dlaczego, zdaniem wywiadu, lista skarpetek i kombinezonów tego człowieka jest aż tak istotna, żeby ją oznaczać jako A1 A?

Lojtnant przełknął ślinę i nabrał głęboko tchu.

– Sir, jeśli zechce pan wbić kod A-ukośnik-S-ukośnik-D, myślę, że natychmiast uzyska pan odpowiedź.

Venture rzucił oficerowi spojrzenie spode łba.

– Lepiej dla ciebie, żeby tak było, synu.

Gdy wstukał kod, przekaźnik komputera stojącego na biurku natychmiast wychwytił

sygnał czytnika i wyświetlił plik. Dokument, oczywiście, został sformułowany w wojskowym żargonie, ale ten nie sprawiał Venture żadnych trudności od jakichś pięćdziesięciu lat. Choć ukończył niedawno osiemdziesiątkę i być może najlepsze lata miał już za sobą, jego umysł wciąż pracował na najwyższych obrotach.

STRZAŁKI / ZWALCZANIE CELÓW LUDZKICH / SPAZM / SPETSDÖDY

Ilość skrzyń: 25

Ilość pocisków: 7500

Pełne magazynki luzem: 9 (108 pocisków)

Częściowo pełne magazynki luzem: 1 (4 pociski)

Ogólna ilość pocisków: 7612

OB uniósł głowę i spojrzał na lojta.

– Jestem pod wrażeniem, w wywiadzie wreszcie nauczyli się dodawać. Najwidoczniej plotka, że wciąż używacie tam liczydeł, nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości. Czy jest w tym jakiś głębszy sens, lojtnancie?

Młody człowiek zgarbił się niedostrzegalnie.

– Sir, te strzałki ze spazmem wraz z czternastoma pneumatycznymi, w pełni automatycznymi egzemplarzami broni ręcznej – spetsdödami – zostały skradzione z wojskowego magazynu w tej bazie siedem i pół miesiąca temu. Dwadzieścia spetsdödów i dziesięć tysięcy strzałek, ściślej mówiąc.

– A zatem eliminował naszych ludzi naszą bronią. Powiedziałbym, że podczas wojny partyzanckiej to norma, synu. Powróćmy do kwestii sensu.

Młodzieniec przełknął ślinę i westchnął:

– Sir, poproszę o jeszcze odrobinę pańskiej cierpliwości i wywołanie pliku T-ukośnik-W-ukośnik-S.

Venture pokręcił głową.

– Dlaczego cały czas odnoszę wrażenie, że zależy panu, bym to ja uznał sprawę za zamkniętą, lojtnancie?

Oficer nie odpowiedział. OB jeszcze raz pokręcił głową i wstukał kod. W powietrzu zawisły kolejne szeregi akronimów z wojskowego żargonu. Venture przesuwając dokument, póki w gmatwaniu informacji nie odnalazł podstawowych danych.

ŻOŁNIERZE PODDANI HOSPITALIZACJI Z POWODU ZATRUCIA SPAZMEM – 2388.

Venture uniósł spojrzenie, ale tym razem młody oficer nie czekał, aż przełożony udzieli mu głosu:

– Jak pan marszałek bez wątplenia jest świadom, większość naszych ludzi na Greaves

została wyeliminowana strzałkami z trucizną paraliżującą.

OB uśmiechnął się.

– Pan marszałek jest również świadom, że nasze straty poniesione na skutek użycia innej broni są, w najlepszym razie, podejrzane. Krążą plotki o żołnierzach, którzy strzelali sobie w stopy, a potem głosili, że napadło ich pół setki Shambiarzy.

– Jeśli pan marszałek raz jeszcze zechce się przyjrzeć...

– Do cholery, chłopcze, mam już dosyć twoich gier! Czego tak bardzo nie chcesz powiedzieć mi wprost, co?

Lojt przełknął ślinę.

– Liczby, sir.

Marszałek Venture, over-befalhavare systemu Orb, spojrział na rozciągniętą tuż przed nim holoprojekcję. Dlaczego ten chłopak tak trząś portkami? Khadaji trzymał w magazynie siedem tysięcy sześćset dwanaście strzałek z ukradzionych dziesięciu tysięcy. Oznacza to, że wystrzelił, powiedzmy, dziesięć minus dwa to osiem, dziewięć minus jeden...

Niespodziewanie Venture otworzył szeroko oczy, jak gdyby komunikat na ekranie komputera kazał mu się pierdolić. Nie, to niemożliwe! Dokonał obliczeń raz jeszcze, ale nie popełnił błędu. Dziesięć tysięcy strzałek minus liczba odzyskanych – siedem tysięcy sześćset dwanaście – równa się dwa tysiące trzysta osiemdziesiąt osiem. Spojrzenie Venture powędrowało po holoprojekcji do ramki, w której znajdowała się liczba sparaliżowanych żołnierzy.

Dwa tysiące trzysta osiemdziesiąt osiem.

– Jesteście pewni tych wyliczeń? – Venture popatrzył na lojta.

– Tak, sir. Sprawdzaliśmy wielokrotnie.

– Na lewe jajo świętego Buddy... – wyszeptał Venture. – Nie wierzę, po prostu nie wierzę. Ten skurwysyn mówił prawdę. Niech mnie szlag...

Nagle jego podziw przeszedł w troskę.

– Tych informacji nie można tak zostawić, lojtnancie. Proszę dokonać odpowiednich zmian w statystykach. Proszę napisać, że niektórzy z naszych dostali z broni ręcznej, inni zostali zranieni ładunkami wybuchowymi czy czymś tam, rozumie pan? Chcę zobaczyć te zmiany na moim komputerze w ciągu godziny.

– Tak jest.

– Dokonajcie też kilku aresztowań. Znajdźcie mi paru przywódców Shambiarzy, chcę, żeby w oficjalnym raporcie napisano, że, powiedzmy, pięćdziesięciu przywódców złapano i stracono, rozumiemy się?

– Jasno i wyraźnie, sir.

– I jeszcze jedno. Macie to wszystko utajnić. Każdy człowiek, który znajdzie się w promieniu stu metrów od tej informacji, musi zostać dokładnie sprawdzony. Wszyscy mają trzymać gębę na kłódkę! Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek opowiadał o tym komukolwiek,

nie życzę sobie żadnych, najmniejszych nawet plotek. Nawet najdrobniejsza wzmianka o tych statystykach nie ma prawa wypłynąć w świat! Jeśli ktoś to ujawni, wywiad Konfedu wyjdzie na skończonych idiotów, a ja razem z nim. A wtedy wszyscy, absolutnie wszyscy, którzy pode mną służą, pożałują tego tak bardzo, że nawet sobie tego nie wyobrażasz. Kapujesz?

– Tak jest, sir – odrzekł sucho lojt. Wykonał pospiesznie w tył zwrot i wymaszerował z biura, zostawiając over-befalhavare z jego myślami.

Marszałek systemu zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie jest już za późno. Wojskowa linia komunikacyjna była szybsza od radia i o tym, co wiedział jeden z nich, w końcu dowiadywali się pozostali, bez względu na zakazy. Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Wszystkiemu oczywiście zaprzeczą, zatrudnieni przez wojsko specjaliści od PR powinni się natychmiast zabrać do roboty, ale jeśli ludzie wyczują, że Konfed ze wszelkich sił stara się zatuszować sprawę, będzie jeszcze gorzej. Niech to cholera! A dlaczego? Skąd to wszystko? Co odbiło temu facetowi, by rzucić wyzwanie całej armii? I po co przerywać walkę w ten właśnie sposób? Ten skurwiel musiał być naprawdę nietuzinkowym gościem. Po jednej strzałce na żołnierza! Żeby ani razu nie chybić... Na Budę, jeśli to nie obudzi całego pieprzonego podziemia, to już nic nie da rady! Jeden cholerny kutas! Na pewno wiedział, że wieści się rozniosą, musiał wiedzieć, pewnie sam to zaaranżował, może nawet miał sprzymierzeńców w wojsku. Cholera!

Pease chrząknęła uprzejmie, ale Venture zignorował ją. Mimo to odezwała się po chwili:

– To wszystko nie ma znaczenia, sir, prawda? Chodzi mi o to, że wojna na Greaves dobiegła końca.

Jest ślepa i durna do potęgi, pomyślał Venture.

– Tak, wojna na Greaves dobiegła końca.

– I wygraliśmy, sir.

Miał wrażenie, że minęła wieczność, nim w końcu oderwał wzrok od holoprojektacji i przeniósł go na kobietę stojącą przed jego biurkiem. Wygraliśmy, tak? Wybuchnął śmiechem, a potem powiedział powoli, jak do dziecka:

– Nie, sub-befal Pease, nie wygraliśmy. Udało nam się go tylko zabić. To ten cholerny, jebany w dupę cyckożuj Khadaji wygrał!

Oczywiście, over-befalhavare Venture nie znał nawet połowy prawdy.

Podziękowania

Kilkoro ludzi pomogło mi w pracy twórczej – jeśli podobała Ci się ta książka, im należy oddać sporą część zasług. Jeśli Ci się nie podobała, to wszystko moja wina. Najwyraźniej pochrzałem wszystkie dobre rady, jakie od nich usłyszałem.

Mając to wszystko na uwadze, pragnę podziękować:

Dianne Perry za pewną kłótnię przy śniadaniu, w trakcie której doznałem olśnienia w kwestii przemocy,

Slickowi Reavesowi za to, że moja sprawa zawsze leżała mu na sercu (i za staruszką Kamusa),

Beth Meacham za wkład włożony w sprzedaż „The Committee” (pomimo późniejszych poślizgów czasowych), i wreszcie Johannowi Pachelbelowi, którego muzyka, choć powstała trzysta lat temu, nadal jest dla mnie numerem jeden.